

L. SPRAGUE DE CAMP
LIN CARTER
BJÖRN NYBERG

CONAN SZERMIERZ

PRZEŁOŻYŁ CEZARY FRAĆ
TYTUŁ ORYGINAŁU: CONAN THE SWORDSMAN

LEGIONY ŚMIERCI

Conan, urodzony w posępnych i pochmurnych górach Cymmerii, jeszcze przed ukończeniem piętnastego roku życia zdobył zasłużoną sławę wojownika, a opowieści o jego wyczynach rozbrzmiewały wokół ognisk Rady. W tymże roku cymmeriańskie plemiona przerwały odwieczne waśnie i połączyły siły, by odeprzeć aquilońskich najeźdźców, którzy zbudowali nadgraniczną twierdzę Venarium i zaczęli kolonizować południowe obszary Cymmerii. Żądne krwi hordy górali spłynęły z północnych wzgórz, wzięły szturmem twierdzę i wypędziły Aquilończyków za dawną granicę. Conan był jednym z wyjących, opętanych bitewnym szałem wojowników. Wówczas, pod Venarium, był ledwo wyrostkiem i choć jego budowa daleko odbiegała od potężnej postury, jaką miał się szczyścić w późniejszych latach, już mierzył sobie sześć stóp i ważył sto osiemdziesiąt funtów. Był czujny i zwinny jak urodzony człowiek lasu oraz twardy jak mieszkaniec gór. Po ojcu kowalu odziedziczył siłę, która wraz ze zręcznością w posługiwaniu się nożem, toporem i mieczem czyniła zeń straszego przeciwnika.

Po splądrowaniu aquilońskiej twierdzy Conan wraca do swego plemienia. Gnany młodzieńczymi tęsknotami i ciekawością świata, lecz krępowany rodową tradycją, wplątuje się w plemienną waśń i w końcu bez żalu opuszcza rodzinną wioskę. Przyłącza się do bandy Aesirów i bierze udział w najazdach na Vanirów i Hyperborejczyków. Niektóre z hyperborejskich cytadel znajdują się w rękach budzących powszechną grozę czarowników. Właśnie na jedną z tych warowni ruszają Aesirowie.

1. KREW NA ŚNIEGU

Jeleń zatrzymał się na brzegu strumienia i podniósł łeb, wdychając mroźne powietrze. Krople wody skapujące z jego oszronionego pyska wyglądały niczym kryształowe paciorki. Słońce błyszczało na kasztanowej skórze i migotało w rosochach rozgałęzionego poroża.

Cichy dźwięk, który zaniepokoił zwierzę, nie powtórzył się, więc jeleń schylił łeb, by napić się wody szemrzącej wśród połamanego lodu.

Po drugiej stronie strumienia brzeg pokryty był gładką warstwą świeżego śniegu. Pod ciemnymi gałęziami sosen rosły gęste, bezlistne zarośla. Z mrocznego lasu dobiegał jedynie plusk kropel topniejącego śniegu. Między czubkami drzew widać było szare jak otów niebo.

Z gąszczu wyleciał rzucony z zabójczą precyzją oszczep. Długie drzewce utkwilo za łopatką jelenia. Zwierzę podskoczyło, zachwiało się, kaszlnęło krwią i upadło. Przez chwilę leżało na boku, kopiąc śnieg i szamocąc się w daremnej próbie powstania. Potem ślepią jelenia zeszkliły się, głowa opadła bezwiednie, a kopyta zneruchomiały. Krew, zmieszana z pianą, skapywała ze szczęki, plamiąc szkarłatem dziewiczy śnieg.

Dwaj mężczyźni, którzy wyłonili się pomiędzy drzew, badawczo rozejrzeli się po zaśnieżonej okolicy. Masywniejszy i starszy, najwyraźniej przywódca, był olbrzymem o zwalistych barkach i długich, potężnie umięśnionych rękach. Muskuly ogromnej klatki piersiowej i ramion pęczniały pod futrzaną opończę i bluzą z szorstkiej wełny. Prócz tego miał na sobie szeroki pas ze złotą sprzączką oraz kaptur z wilczego futra, który przysłaniał mu twarz. Gdy zrzucił go, by się rozejrzeć, w słońcu zajaśniały złociste, lekko upstrzone siwizną włosy. Szerokie policzki i toporną szczękę porastała krótka, byle jak przycięta broda tej samej barwy. Kolor włosów, jasna karnacja, rumiane policzki oraz śmiałe, niebieskie oczy wskazywały, że jest Aesirem.

Towarzyszący mu młodzieniec różnił się od niego pod wieloma względami. Był zadziwiająco wysoki i krzepki jak na swój wiek. Miał proste, gęste, czarne włosy przycięte nad czołem, a skóra jego posępnego oblicza była albo naturalnie śniada, albo głęboko opalona. Oczy, ukryte pod gęstymi czarnymi brwiami, były błękitne jak te u towarzyszącego mu olbrzyma. Jednak podczas gdy w oczach złotowłosego wojownika błyszczała radość z polowania, oczy młodzieńca jarzyły się niczym ślepią dzikiego i głodnego drapieżnika. W przeciwieństwie do starszego towarzysza, młodzieniec nie nosił brody, chociaż kwadratową szczękę ocieniał ciemny, kilkudniowy zarost.

Brodacz nazywał się Njal i był jarlem, czyli wodzem Aesirów, a zarazem hersztem znanej i cieszącej się złą sławą bandy grasującej na granicy między Asgardem a Hyperboreją. Młodzieniec imieniem Conan był zbiegiem z urwistych, pochmurnych gór Cymmerii.

Mężczyźni zeszlizli niżej i przebrnęli przez lodowaty strumień do miejsca, w którym na skrwawionym śniegu leżał ich łup. Jeleń ważył prawie tyle samo co oni, a rozgałęzione rogi sprawiały, że był zbyt nieporęczny, by

Sprague de Camp Lyon - Conan Szermierz

zanieść go do obozu. Dlatego też Njal schylił się i za pomocą długiego noża szybko rozciął mu brzuch, wypatroszył, zdarł skórę i oddzielił łopatki, comber i zebra od reszty. Młodzieniec w tym czasie bacznie obserwował okolicę.

— Wykop dół, chłopcze, i to głęboki — burknął na koniec wódz.

Młodzieniec zdjął z pleców topór o długim stylisku i zaczął rąbać zamrożony stok. Nim Njal skończył ćwiartować mięso, Conan wyrył dół dostatecznie duży, by ukryć w nim zbędne resztki. Podczas gdy brodac płukał skrwawione półcie dziczyzny w strumieniu, młodzieniec zagrzebał łeb, jelita oraz szkarłatny śnieg i ubił poruszoną ziemię. Potem rozwiązał futrzaną szubę i zamiótł nią śnieg, zacierając ślady swych poczynań.

Njal zawinął mięso w świeżo zdartą skórę i związał całość sznurem, który zabrał specjalnie w tym celu. Conan ściął młode drzewko, ogołocił je z gałęzi i skrócił. Njal przywiązał worek na środku drąga, którego końce obaj zarzucili sobie na ramiona. Ciągnąc za sobą płaszcz Conana, by zatrzeć odciski stóp, wspięli się na zbocze i wrócili do lasu.

Rosnące na hyperborejskim pograniczu sosny były wysokie, grube i ciemne. W miejscach, gdzie wiatrołomy pozwalały spojrzeć w dal, roztaczał się widok na ciągnące się w nieskończoność pagórki porośnięte ośnieżonymi sosnami. W mrocznych ostępach wyły wilki, a w górze unosiły się bezszelestnie wielkie, białe sowy.

Dwaj dobrze uzbrojeni myśliwi nie bali się miejscowych stworzeń. Tylko raz z szacunkiem ustąpili z drogi, gdy przed nimi pojawił się niedźwiedź. Jak duchy przemykali między ponurymi drzewami. Obaj byli urodzonymi ludźmi puszczy, nie czynili więc hałasu i pozostawiali niewiele śladów. Nawet suche krzaki nie szeleściły, gdy torowali sobie przez nie drogę.

Obóz Aesirów był tak dobrze ukryty, że pierwszą oznaką jego istnienia okazał się dopiero cichy pomruk głosów wokół małego ogniska. Podstarzały strażnik, którego loki stały się już srebrne, wyszedł zza drzewa i przywitał powracających. Jedno oko wojownika było jasne i bystre, w miejscu zaś drugiego znajdował się pusty oczodół zakryty skórzaną łatką. Był to Gorm, skald Aesirów. Na jego zgarbionych plecach, w worku ze skóry jelenia spała harfa.

— Są jakieś wieści od Egila? — zapytał wódz zdejmując drąg z ramienia i gestem nakazując jednemu z obecnych, by zabrał worek z mięsem.

— Ani słowa, jarlu — rzekł ponuro jednoooki. — To mi się nie podoba — poruszył się niespokojnie, jak zwierz wyczuwający niebezpieczeństwo.

Njal wymienił spojrzenia z milczącym Conanem. Dwa dni wcześniej, w czasie bezksiężycowej nocy z obozu wymknęła się grupa zwiadowców, którzy mieli za zadanie dotrzeć do wielkiego zamku Haloga i zbadać jego okolicę. Zamek leżał niedaleko za wzgórzami, które obrzeżały horyzont od południowego wschodu.

Trzydziestu doświadczonych wojowników, prowadzonych przez Egila, miało przetrzeć drogę i zbadać fortyfikacje hyperborejskiej warowni. Conan, nie pytany, zuchwale wypowiedział się przeciwko tym zamiarom. Stwierdził, że tak duży podział sił pod boki wroga jest nierozsądny i zbyt ryzykowny. Njal w odpowiedzi zrugał go wtedy i kazał mu trzymać język za zębami.

Posłańcy od Egila powinni byli przybyć wiele godzin temu. Brak wieści budził obawy w sercu Njala, który żałował teraz, że nie posłuchał ostrzeżenia młodego Cymmerianina. Porywcze zachowanie Njala i pośpiech, z jakim poprowadził swoich ludzi przez dzicz do hyperborejskiej granicy, nie były bezpodstawne. Dwa tygodnie wcześniej hyperborejscy łowcy niewolników z czerwonymi znakami rodu Haloga na czarnych płaszczach uprowadzili jego jedyną córkę, Rann. Jarl, dumając nad nieznanym losem swego dziecka i ludzi wysłanych na zwiad, zdusił ogarniające go drżenie. Czarownicy posępnej Hyperborei słynęli daleko i szeroko ze swej niesamowitej biegości w sztukach tajemnych, okrutna zaś królowa Halogi wzbudzała strach większy niż czarna śmierć. Njal walcząc z chłodem, który lodowatymi szponami ścisnął jego serce, odwrócił się do Gorma skalda.

— Dopilnuj, by szybko przyrządzono mięsiwo — rozkazał. — Nie możemy ryzykować dymu otwartego ognia, więc niech się piecze na węglach. I niech ludzie jedzą szybko. Ruszamy o zmroku.

2. OPRAWCY

Wojownicy z Asgardu przez całą noc, bezgłośnie niczym wataha wilków, brnęli jeden za drugim przez ośnieżone wzgórza osnute lepką mgłą. Z początku na niebie połyskiwały gwiazdy, ale w miarę upływu czasu zimne opary zgasiły ich lekkie, jakby zamrożone migotanie. Kiedy w końcu wzeszedł księżyc, wilgotna mgła przyćmiła jego blask tak, że wyglądał na niebie jak perłowa plama. Mimo iż gęsty mrok zasnuwał tę jałową, bagnistą i słabo zaludnioną krainę, wojownicy wykorzystywali najmniejszą nierówność terenu, każdy bezlistny krzak oraz każdą łatą cienia, by wtopić się w otoczenie. Zamek Haloga był bowiem potężną i dobrze strzeżoną fortecą. Njal zaś, choć zdesperowany i żądny zemsty, w głębi serca wiedział, że jedyną nadzieję na zwycięstwo daje tylko atak z zaskoczenia.

Księżyc i mgła zniknęły, gdy dotarli do Halogi. Zamek stał na niewysokim wzniesieniu na skraju płytkiej, nieckowatej doliny. Potężne mury z czarnego kamienia zwieńczone były blankami, a po obu stronach jedynej, ciężkiej bramy wznosiły się potężne przypory. W wieżach znajdowało się kilka wysoko osadzonych okien,

Spraque de Camp Lyon - Conan Szermierz

jednolitą zaś płaszczyznę megalitycznych murów urozmaicały jedynie wąskie strzelnice.

Njal wiedział, że wzięcie zamczyska szturmem nie będzie łatwe. Poza tym niepokoiło go jeszcze jedno. Gdzie byli ludzie, których wysłał na zwiady? Nawet idący przodem bystroocy tropiciele nie znaleźli ani śladu. Niedawno spadły śnieg skutecznie zatarł wszelkie tropy.

— Czy mamy wdrzeć się na mury, jarlu? — zapytał jeden z wojowników — banita, który uciekł do nich z Vanaheimu.

— Nie, nadchodzi świt, niech będzie przeklęty! — warknął wódz. — Musimy czekać do nocy albo prosić bogów, by sprawili, aby te białowłose diabły stały się nieostrożne i podniosły kratę w bramie. Powiedz ludziom, by spali tam, gdzie który stoi, i niech nasypią śniegu na futra, tak by nikt ich nie zobaczył. Zawiadom Throra Żelazną Rękę, że jego ludzie pierwsi obejmą wartę.

Njal położył się, owinął futrem i zamknął oczy. Ale sen długo nie chciał nadejść. Kiedy wreszcie nadszedł, mroczne, chichoczące okropieństwa przemieniły go w koszmar.

Conan wcale nie spał. Targały nim niespokojne przeczucia, ponadto nadal czuł się urażony, że Njal zlekceważył jego radę. Jako wygnaniec z rodzinnego kraju, był obcy wśród aesirskich rozbójników i wywalczenie swego miejsca w bandzie kosztowało go niemało wysiłku. Twardzi synowie Północy potrafili jednak docenić jego umiejętność znoszenia niedostatku bez skarg. Z kolei liczne bijatyki nauczyły ich szacunku dla ciężkich pięści Cymmerianina. Mimo młodego wieku Conan walczył z zawziętością zapędzonego w kąt dzikiego kota i jedynie kilku ludzi siłą mogło odciągnąć go od powalonego przeciwnika. Ale zapalczywemu Cymmerianinowi to nie wystarczało. Pragnął zdobyć uznanie starszych dokonując jakiegoś śmiałego czynu.

Conan bacznie przyjrzał się oknom twierdzy. Umieszczono je zbyt wysoko, by można było ich dosięgnąć, a wspięcie się po murze bez drabiny wykraczało poza ludzkie umiejętności. Młodzieniec w swoim rodzinnym kraju pokonał wiele stromych urwisk, lecz tam przynajmniej mógł znaleźć choć minimalne oparcie dla palców rąk i stóp. Niestety, kamienie składające się na mury zamku Haloga były dobrze dopasowane i wygładzone niczym szkło, co uniemożliwiało wspinaczkę wszystkim stworzeniom większym od pająka.

Jednakże wąskie strzelnice były osadzone niżej i tym samym wydawały się łatwiej dostępne. Te najniższe znajdowały się na wysokości nieco większej od sumy wzrostu trzech ludzi. Oczywiście dla rosnącego wojownika były zbyt wąskie, ale czy również dla młodego i wciąż jeszcze szczupłego Conana?

Kiedy nadszedł świt, w obozie brakowało jednego człowieka — młodego cymmeriańskiego banity, Conana. Njal miał daleko ważniejsze sprawy na głowie i stąd mało czasu na zastanawianie się nad losem ponurego młodzieńca, którego najwyraźniej obleciał tchórz.

Gdy świt rozjaśnił puste niebo i rozproszył wilgotną mgłę, która niczym całun spowijała ten przeklęty kraj, jarl na własne oczy zobaczył powód, dla którego nie otrzymał żadnych wieści od ludzi wysłanych na zwiad. Wszyscy wisieli na blankach i jeszcze żyli. Tańczyli w śmiertelnych podrygach na końcach trzydziestu lin.

Njal wytrzeszczył oczy, a potem kłął, dopóki nie zachrypnął. W bezsilnej złości zaciskał pięści, aż paznokcie poraniły stwardniałe dłonie. Chociaż czuł się chory do głębi duszy, nie mógł oderwać oczu od strasznego widowiska.

Wiecznie młoda królowa Halogi — Vammatar Okrutna, stała na murze jasna jak sam poranek. Miała długie, prawie białe włosy i krągłe piersi, które kusząco napinały tkaninę ciężkiej, białej szaty. Na pełnych, czerwonych ustach królowej igrał leniwy, rozmarzony uśmiech. Towarzyszący jej ludzie, rodowici Hyperborejczycy, byli chudzi, długonodzy, mieli blade oczy i bezbarwne, jedwabiste włosy. Oszałeli z gniewu i przerażenia Aesirowie patrzyli, jak ludzie z oddziału Egila umierają powoli, wbici na haki i krojeni zakrzywionymi nożami. Skrwawione, poszarpane strzepy ludzkie, które dwa dni wcześniej były silnymi, roslymi wojownikami, jęczały, wyły i szamotały się daremnie. Wojowie mieli konać jeszcze przez wiele godzin.

Njal patrzył gryząc usta. Z każdą mijającą godziną przybywały mu lata. Nic nie mógł zrobić! Byłoby szaleństwem rzucić na wysokie mury oddział wojowników uzbrojonych jedynie w broń ręczną. Gdyby miał wielką, dobrze wyposażoną armię, zdolną do wielomiesięcznego oblężenia, mógłby zaatakować bramę taranami i pociskami z katapult. Mógłby wykopać pod murami tunele albo podtoczyć wieże oblężnicze i z ich szczytów wdrzeć się do zamku. Mógłby też otoczyć szczelnie warownię i czekać, aż głód zwycięży obrońców. Nie mając jednak wielkiej armii, jarl potrzebował przynajmniej drabin długich na wysokość muru oraz łuczników i procarzy, którzy w czasie szturm trzymaliby obrońców w szachu. Przede wszystkim jednak potrzebował zaskoczenia.

Zaskoczenie, na jakie liczył Njal, zostało bezpowrotnie zaprzepaszczone. Czarownicy służący Vammatar Okrutnej musieli dzięki swym niezmiernym sztukom dostrzec zbliżających się Aesirow. Złowieszcze legendy okazały się prawdą. Potwierdzały je szkarłatne dowody wiszące na tle czarnych kamieni. W zamku Haloga przez cały czas wiedziano, że Aesirowie tu są i teraz nawet rozmiłowani w pomście bogowie północnych krain nie mogli im pomóc.

Raptem z wysokich okien twierdzy buchnęły pióropusze czarnego dymu i oprawcy, krzycząc ze zdumienia, zbiegli z murów. Ich czarne szaty łopotały w powietrzu niczym krucze skrzydła. Ospały, koci uśmiech zniknął

z miękkich ust królowej Halogi. W sercu Njala z Asgardu zatlił się drżący płomyk nadziei.

3. CIEŃ ZEMSTY

Wspinaczka nie była ani łatwiejsza, ani trudniejsza, niż Conan się spodziewał. Za piętnastą czy szesnastą próbą pętla liny zacisnęła się wreszcie na łbie wykutego w kamieniu smoka.

Kiedy dotarł na poziom strzelnicy, oplótł sznur nogami i zaczął kołysać się niczym dziecko na huśtawce. Przerzucając ciężar ciała z jednej strony na drugą, stopniowo zwiększał wychylenie. Rozhuśtywał się coraz bardziej, aż wreszcie przy maksymalnym wychyleniu w prawo dosięgnął otworu strzelniczego.

Złapał się kamieni. Trzymając linę ręką, wsunął do otworu jedną, a potem drugą nogę. Powoli i ostrożnie przemieścił ciężar ciała, aż w końcu usiadł pewnie na parapecie. Nadal trzymał linę, ponieważ pamiętał, że jeśli ją puści, sznur odsunie się i zawisnie poza jego zasięgiem, co uniemożliwi mu odwrót.

Strzelnica była zbyt wąska, by Conan mógł prześliznąć się w obecnej pozycji. Jego szczupłe biodra zaklinowały się w otworze, którego boki były wycięte na zewnątrz, by zapewnić obrońcom jak najszersze pole rażenia. Cymmerianin przekręcił się więc i bokiem wsunął w szczelinę biodra i brzuch. Kiedy jednak ramiona i klatka piersiowa dotarły do najwęższego miejsca strzelnicy, wejście uniemożliwiła wełniana tunika zwinięta pod pachami. Conan przez chwilę miał wrażenie, że utknął na zawsze w kamiennej pułapce. Pomyślał, że jeśli strażnicy znajdą go zaklinowanego w strzelnicy, to wyjdzie na kompletnego głupca. Gdyby zaś nie został odkryty, czekałaby go powolna śmierć z głodu i pragnienia, a później jego ciało stałoby się żerem dla kruków.

W końcu otrząsnął się z przygnębiających myśli i doszedł do wniosku, że jeśli całkowicie wypuści powietrze z płuc, to zdoła się precyzować. Odetchnął głęboko kilka razy, jakby przygotowując się do nurkowania, zrobił wydech i z całej siły wpełchnął się w szczelinę. Wierzgające stopy namacały twardą powierzchnię, na której mógł się wesprzeć. Odwrócił głowę, przepelzył na drugą stronę i straciwszy równowagę upadł na drewnianą podłogę. Oszołomiony puścił linę, która niczym wąż zaczęła umykać przez otwór. Złapał ją na chwilę przed tym, nim zniknęła bezpowrotnie. Conan rozejrzał się po małej, okrągłej komorze. W mroku dojrzał toporny stółek stojący tu dla wygody łuczника. Przysunął go bliżej otworu i przywiązał do niego linę, tak by ciężkie drewno służyło jako kotwica. Potem z westchnieniem przeciągnął się i rozprostował zdrętwiałe mięśnie. Stwierdził, że na kamieniach muru musiał zostawić kilka kawałków własnej skóry.

Po drugiej stronie komory, naprzeciwko strzelnicy, czerniło się sklepienie wejście. Conan wyciągnął z pochwy długi nóż i zbliżył się doń ostrożnie. Za nim znajdowały się, wiodące w górę, spiralne schody. W oddali, osadzona w żelaznym uchwycie pochodnia rozpraszała nieco ciemność.

Krok po kroku, przywierając do ścian, Conan przemierzał liczne korytarze. Dążył ku sercu twierdzy, gdzie jak sądził, trzymano jeńców. Słońce weszło już dawno, ale przez wąskie strzelnice i okna sączyło się niewiele światła. Z zewnątrz dochodziły stłumione krzyki, które powiedziały cymmeriańskiemu młodzieńcowi, czym zajęci są czarownicy na blankach.

W korytarzu oświetlonym przez nieliczne pochodnie Conan natknął się wreszcie na wrogów. Było to dwóch Hyperborejczyków strzegących jakiejś celi. Ich wygląd świadczył dobitnie, że wszystkie zasłyszane opowieści są prawdziwe. Conan znał Cymmerianów, widywał Gunderlandczyków, Aquilończyków, Aesirów i Vanirów, ale nigdy wcześniej nie widział z bliska Hyperborejczyków. Ten widok zmroził mu krew w żyłach.

Wyglądali niczym diabły z wiecznie ciemnego piekła. Mieli pociągłe, blade jak pleśń twarze, bezduszne, bursztynowe oczy oraz włosy przypominające spleśniały len. Ich chude ciała odziane były w czerń, a na piersiach widniały czerwone herby Halogi. Conan pomyślał, że znaki te są krwawymi dowodami na to, iż Hyperborejczycy nie mają serc, które zostały wydarte z piersi, pozostawiając po sobie jedynie szkarłatne plamy. Przesądny młodzieniec prawie uwierzył w starożytne legendy głoszące, że są oni trupami ożywionymi przez demony.

Jednakże Hyperborejczycy mieli serca, a zranieni krwawili. Można było ich również zabić, co odkrył, rzucając się na nich w wąskim korytarzu. Pierwszy strażnik pisnął i upadł porażony szybkim i silnym jak uderzenie pioruna atakiem Conana. Krew z przebitej piersi zalała złowrogi znak.

Drugi strażnik wytrzeszczył na Cymmerianina pozbawione wyrazu oczy. Przez chwilę stał jak wrośnięty w ziemię, po czym sięgnął po miecz. Nim dotknął rękojeści, nóż Conana, szybki i celny niczym język żmii, ciął go po gardle. Poniżej bladych i cienkich ust strażnika pojawił się bezlitosny, czerwony uśmiech.

Conan zabrał broń pokonanych i wciągnął ciała do sąsiedniej, pustej celi. Potem przez otwór w masywnych drzwiach zajrzał do małego pomieszczenia, którego pilnowali obaj Hyperborejczycy.

Na środku celi, czekając na swe przeznaczenie, stała dumnie wyprostowana dziewczyna o jasnej jak mleko skórze, czystych, błękitnych oczach i długich, gładkich włosach barwy pszenicy zalanej słońcem. Chociaż wysokie piersi unosiły się i opadały niespokojnie, w jej oczach nie było strachu.

— Kim jesteś? — zapytała.

— Conan Cymmerianin, członek bandy twego ojca — odparł spieszenie młodzieniec w jej języku. — O ile jesteś córką Njala.

Dziewczyna hardo podniosła głowę.

— Jestem Rann Njalsdatter.

Sprague de Camp Lyon - Conan Szermierz

— To dobrze — mruknął Conan wsuwając w zamek klucz zabrany martwemu strażnikowi. — Przeszedłem po ciebie.

— Sam? — Jej oczy rozszerzyły się z niedowierzania.

Conan przytaknął. Złapał dziewczynę za rękę i wyprowadził na korytarz. Tu dał jej jeden ze zdobycznych mieczy. Potem wysunął ostrze przed siebie i ciągnąc Rann za sobą, ostrożnie ruszył w powrotną drogę.

Skradał się bezgłośnie i czujnie niczym leśny drapieźnik. Bez przerwy omiatał wzrokiem ściany i osadzone w nich drzwi. W migocącym blasku pochodni jego oczy płonęły niby ślepiec nieposkromionego drapieźcy.

Conan wiedział, że w każdej chwili mogą zostać wykryci, z pewnością bowiem nie wszyscy mieszkańcy zamku byli na blankach wraz z oprawcami. W głębi pierwotnego serca młodzieniec wznosił milczące modły do Cromy, nie znającego litości boga swej chmurnej ojczyzny. Nie śmiał go prosić o pomoc. Pragnął tylko, by Crom nie przeszkodził im niezauważalnie dotrzeć do strzelnicy, w której znajdowała się lina.

Młody Cymmerianin niczym bezcielesny cień przemykał mrocznymi korytarzami, a za nim podążała cicha jak kot Rann. Pochodnie migotały i strzelały iskrami w żelaznych uchwytach. Ciemne przerwy między rozchwianymi światłami były przepojone czystą grozą.

Nie napotkali nikogo, a jednak Conanem targał coraz większy niepokój. Prawda, że szczęście na razie im dopisywało, ale mogło się to skończyć w każdej chwili. Jeżeli natkną się na dwóch czy trzech Hyperborejczyków, być może zdoła pokonać ich z pomocą Rann. Kobiety Aesirów nie były wypieszczonymi lalczkami. W razie potrzeby potrafiły dowieść, iż są zręcznymi i dzielnymi wojowniczkami. Często stawiały ramię przy ramieniu ze swoimi mężczyznami, a kiedy dochodziło do bitwy, walczyły z zaciekłością rannych tygrysie.

Lecz co się stanie, jeżeli napotkają sześciu czy dwunastu wrogów? Conan był młody, ale doskonale zdawał sobie sprawę, że żaden śmiertelnik, nieważne jak zręczny, nie zdoła pokonać przeciwników atakujących ze wszystkich stron. Ponadto wiedział, że w czasie, gdy oni będą bronić się w tych ciemnych korytarzach, wrzawa postawi na nogi całą załogę zamku.

Musiał zrobić coś, co odwróciłoby uwagę mieszkańców warowni. Jedna z mijanych pochodni podsunęła mu pewien pomysł. Conan rozejrzał się bystro. Mury zamku były z kamienia, lecz podłogi i podtrzymujące je belki wykonano z drewna. Po posępnej twarzy Cymmerianina przemknął okrutny uśmiech.

Postanowił znaleźć magazyn smoły i łuczyw, który powinien być gdzieś niedaleko. Przemykając korytarzami zaglądał do pomieszczeń, do których drzwi były otwarte. Pierwsze było puste. W kolejnym stały jedynie dwa łóżka. Trzecie okazało się rupieciarnią pełną połamanej i zniszczonej broni oraz innych metalowych przedmiotów czekających na naprawę.

Drzwi do następnego pokoju były lekko uchylone. Między nimi a framugą widniała wąska, czarna szczelina. Conan pchnął je i drzwi otworzyły się z cichym poskrzypywaniem. Cymmerianin cofnął się spiesźnie. W komorze było łóżko, na którym spał jakiś starzec. Obok na stołku stało kilka flakoników. Conan domyślił się, że zawierają lekarstwa dla chorego. Zostawił pochrapującego człowieka i ruszył dalej.

Następne pomieszczenie okazało się poszukiwanym magazynem. Gdy Conan zaglądał do środka, do jego uszu dotarł łoskot kroków i gniewne głosy. Warknął i wykrzywiając drapieźnie usta, niecierpliwie skinął na Rann.

— Do środka! — wydyszał.

Wśliznęli się do komory i Conan zamknął drzwi. W pomieszczeniu nie było okien. Czekali w całkowitej ciemności, wsłuchując się w głosy zbliżających się Hyperborejczyków. Wkrótce kłócący się w swym gardłowym języku mężczyźni minęli drzwi i ich kroki ucichły w dali.

Kiedy znów zapadła cisza, Conan odetchnął głęboko. Wznosząc wysoko hyperborejski miecz, uchylił leciutko drzwi, a gdy ujrzał jedynie pusty korytarz, otworzył je na oścież. We wpadającym do środka świetle obejrzał zawartość komory. Znajdował się tu stos zapasowych pochodni, beczka smoły, a w rogu piętrzyły się snopy słomy do wyścielania cel.

Conan rozrzucił słomę, wylał na nią smołę i rozsypał łuczywa. Wskoczył na korytarz, porwał najbliższą pochodnię i cisnął ją na łatwopalną masę, która teraz pokrywała całą podłogę magazynu. Płomienie łakomie wżarły się w słomę. Natychmiast buchnęły kłęby czarnego, gryzącego dymu.

Conan, zanosząc się kaszlem, złapał Rann za rękę i pognął w dół kręconych schodów. Wpadli do komory, przez którą młody barbarzyńca dostał się do zamku. Conan nie miał pojęcia, ile czasu upłynie, nim Hyperborejczycy odkryją, że zamek płonie, ale był przekonany, że pożar zaprzątnie ich uwagę na czas, gdy on i dziewczyna będą przeciskać się przez strzelnicę i zsuwać po linie na bezpieczny, zamrznięty grunt.

4. POŚCIG

Jarl Njal ryczał jak ranny żubr i zataczał się ze śmiechu, ściskając w ramionach zalaną łzami córkę. Lecz choć prawie oszalał z radości, znalazł chwilę, by spojrzeć na Conana i obdarzyć młodzieńca przyjacielskim kuksańcem, który większość mężczyzn zwałiby z nóg.

Gdy pod osłoną ośnieżonych sosen śpieszyli do Asgardu, Cymmerianin w skąpych słowach opisał swoją przygodę. Ale słowa nie były potrzebne. Za nimi w niebo bił czarny słup dymu, a trzask zawałających się

Sprague de Camp Lyon - Conan Szermierz

stropów i huk pękających ścian niósł się po wzgórzach niczym odległy grzmot. Hyperborejczycy bez wątpienia mieli szansę uratować część swojej fortecy, chociaż wielu z nich musiało już szczeznąć w požodze.

Njal, nie tracąc czasu, rozkazał ruszać w drogę. Wódz Aesirów wiedział, że dopóki nie postawią nogi we własnym kraju, musi liczyć się z zemstą Hyperborejczyków. Nie wątpił, że będą ścigani, ale jak na razie mieszkańcy Halogi zajęci byli czym innym.

Aesirowie oddalali się w pośpiechu, nie dbając o zachowanie ostrożności. Przed zapadnięciem nocy zostawili warownię o wiele mil za sobą.

Wiecznie piękna królowa Vammatar obserwowała ich odejście z blanków zamczyska Haloga. W jaspisowych oczach władczyni połyskiwała nienawiść, a potem jej usta wykrzywił zły uśmiech.

W tej monotonnej krainie bagien i pagórków niewiele było zieleni, a i tę przykrywała teraz warstwa śniegu. Gdy słońce zniżyło się nad linię horyzontu, z nieruchomych bagnisk uniosły się wilgotne zwoje dławiącej mgły i zmroziły serca uciekinierów. Wokół panowała martwa cisza. W drodze napotkali jedynie paru hyperborejskich chłopów, którzy uciekli na widok zbrojnych.

Od czasu do czasu jeden czy drugi wojownik przykładał ucho do ziemi, ale nie było słyhać tętentu kopyt. Aesirowie śpieszyli się, ślizgając i potykając na zamrzniętym gruncie.

Nim jednak dzień ostatecznie roztopił się w mroku, Conan zerknął w tył i krzyknął:

— Ktoś idzie za nami!

Aesirowie zatrzymali się i spojrzeli we wskazanym przez niego kierunku. Z początku widzieli jedynie bezkresną, falistą równinę, której krańce ginęły we mgle. Potem jeden z wojów, najwidoczniej obdarzony lepszym niż inni wzrokiem, zawołał:

— Ma rację! Ściga nas wielu pieszych. Są może pół mili z tyłu.

— Dalej! — warknął Njal. — Nie rozbijemy obozu tej nocy.

Banda brnęła dalej, podczas gdy nienasycona mgła pochłoneła zachodzące słońce. Przez długi czas wędrowali w ciemności, aż wreszcie księżyc przebił się przez spowijającą ich biel i w jego nieśmiałym blasku dostrzegli za sobą łątę drżącego cienia. Ścigający byli o wiele bliżej niż poprzednio.

Njal, człowiek o żelaznych mięśniach, maszerował niestrudzenie z wyczerpaną córką w ramionach. Nie chciał nikomu innemu powierzyć tak drogiego mu brzemienia. Conan, choć jak zawsze pełen werwy młodości, czuł ból we wszystkich kończynach i w każdym ścięgnię, gdy podążał za olbrzymim jarlem. Inni bez słowa skargi utrzymywali wyczerpujące tempo. Najgorsze było to, że ścigający ich prześladowcy wcale nie wyglądali na zmęczonych. Prawdę mówiąc zgraja z Halogi nie zwalniała, a wręcz przeciwnie; zaczynała ich doganiać. Njal klął chrapliwie i popędzał swoich ludzi, ale bez względu na starania, stopniowo tracili przewagę. Jarl wiedział, że wkrótce będą musieli zatrzymać się i zająć pozycje obronne. W przeciwnym razie padną z wyczerpania. Mieli niewielki wybór: albo walczyć, albo dać się wyciąć.

Za każdym razem, gdy wspinali się na jakieś wzgórze, widzieli milczących ludzi, dwakroć przewyższających ich liczbą, i za każdym razem bliżej niż poprzednio. Prześladowcy wyglądali jakoś dziwnie, lecz ani Njal, ani Gorm, ani nikt inny nie potrafił dokładnie określić, co ich niepokoi. Kiedy prześladowcy podeszli bliżej, okazało się, że nie wszyscy są Hyperborejczykami, którzy byli wyżsi i szczuplejsi od ludzi Północy. Wielu spośród idących z tyłu miało potężne ramiona i masywną budowę oraz rogate hełmy Aesirów i Vanirów. Inną dziwną rzeczą było to, w jaki sposób się poruszali. Njal zadrzał pod wpływem lodowatego dotyku upiornego przeczucia...

Njal wypatrzył pagórek wyższy od większości okolicznych wzniesień i jego zmęczone oczy rozjaśniły się. Szczyt ten był dobrym miejscem do obrony, chociaż jarl żałował, że wzgórze nie jest wyższe i bardziej strome. Ale nie mieli wyboru, nieprzyjaciel prawie deptał im po piętach, musieli więc zatrzymać się i to jak najszybciej.

Njal postawił dziewczynę na ziemi i ryknął chrapliwie: — Ludzie! Szybko na górę! Tam zajmiemy pozycje. Aesirowie wdarli się na okryte śniegiem zbocza i stanęli na szczycie zadowoleni, że nie muszą już kontynuować mozolnej wędrówki. Ponieważ zaś wszyscy byli prawdziwymi wojownikami, perspektywa krwawej bitwy podniosła ich na duchu. Thror Żelazna Ręka i Gorm rozdali skórzane bukłaki z winem. Wojownicy odpoczywali, sprawdzając ostrość mieczy i naciągając łuki. Pozdejmowali z pleców długie tarcze z plecionej łożyny i skóry, i stanęli z nimi tworząc mur otaczający szczyt wzgórza. Na koniec jednooki Gorm wy dobył harfę i zaczął silnym, melodyjnym głosem śpiewać starodawną pieśń bitewną:

Nasze ostrza wykuło w płomieniach,
które skaczą w głębinach piekła.
I hartowaliśmy je w lodowatych nurtach rzek,
tam, gdzie na dnie śpią kości martwych mężów.
Pokonanych przez naszych ojców.

Odpoczynek był krótki. Z mroku i mgły wyłoniła się gromada złowieszczych postaci, które ruszyły w górę

Sprague de Camp Lyon - Conan Szermierz

zbrocza rytmicznym, monotonnym krokiem ludzi chodzących we śnie lub marionetek pociąganych za sznurki. Nie zatrzymali się nawet na chwilę, gdy naparli na krąg tarcz. Naga stał błysnęła w nikłej, księżycowej poświacie, kiedy Aesirowie wzniesli wysoko miecze, topory i wojenne młoty, i spuścili je z wizgiem na nacierających, rozrąbując ciała i miażdżąc kości.

Njal wyryczał aesirski okrzyk wojenny i wziął potężny zamach. Raptem znieruchomiał, zamrugał z niedowierzaniem i serce zamarło mu w piersiach. Przeciwnikiem był nie kto inny, jak sam Egil, który tego ranka zmarł w mękach na końcu liny zwieszanej z murów Halogi. Błady księżyc wyraźnie oświetlał znajomą twarz. Jarl Njal zwątpił, czy przeżyje tę upiorną walkę.

5. „CZŁOWIEK NIE MOŻE UMRZEĆ DWA RAZY!”

Twarz, która z kamienną obojętnością wpatrywała się w oczy Njala, z pewnością należała do jego starego towarzysza. Biała blizna w poprzek czoła była pamiątką po ranie, jaką Egil odniósł pięć lat wcześniej w czasie najazdu Vanirów. Ale błękitne oczy Egila nie poznały swego jarla. Były zimne i puste jak niebo w bezgwiezdną, mglistą noc.

Njal zerknął raz jeszcze i zobaczył poszarpane ciało na obnażonych piersiach Egila, gdzie kilka godzin wcześniej tkwił hak rozdzierający powoli serce. Uświadomił sobie, że bez względu na to, jak potężny cios zada, rana nigdy nie zboczy krwią, a trup starego przyjaciela nie poczuje gorzkiego pocałunku stali.

Za martwym Aesirem, po stoku piął się na wpół zwęglony Hyperborejczyk. Jego twarz była wyszczerzoną, przerażającą maską. Njal pomyślał, że to mieszkaniec Halogi, który znalazł śmierć w pożarze rozpiętym przez przebiegłego Conana.

— Wybacz, bracie — wyszeptał jarl pokonując opór zeszywniałych warg. Wzniesiony topór opadł na chodzącego trupa Egila. Rozszczepione ciało potoczyło się w dół zbrocza bezwładnie jak popsuta lalka, ale jego miejsce natychmiast zajęły szczerzące zęby zwłoki Hyperborejczyka.

Wódz Aesirów walczył bez wiary w zwycięstwo. Jeżeli wróg był w stanie wezwać z piekła każdego zmarłego, czyż walka mogła zakończyć się jego klęską?

Nad szeregami obrońców wznosiły się chrapliwe okrzyki zdumienia i trwogi. Aesirów opuściła nadzieja, kiedy spostrzegli, że przyszło im walczyć z chodzącymi trupami swych towarzyszy, którzy zginęli pod nożami okrutnych Hyperborejczyków. Ale w upiornych szeregach znajdowali się również inni. U boku mieszkańców Halogi, którzy znaleźli śmierć w płomieniach, maszerowały trupy już dawno pogrzebane. Ich gnijące ciała toczyły wijące się tłuste robaki. Niesamowity oddział hurmem, bez broni, rzucił się na Aesirów. Smród przyparował o młodości, a wszystkich poza najdzielniejszymi ogarnęło przerażenie.

Nawet stary Gorm poczuł, że na jego sercu zaciskają się lodowate szpony strachu. Bitewna pieśń załamała się i ucichła.

— Niechaj bogowie nas wspomogą! — zawołał. — Jakaż możemy mieć nadzieję, skoro wnosimy naszą stal przeciw chodzącym trupom? Człowiek nie może umrzeć dwa razy!

Szyk Aesirów zachwiał się, gdy upiorni przeciwnicy kolejno powalali wojowników i wgniatali ich w lepki od krwi śnieg. Napastnicy walczyli gołymi rękami, rozdzierając żywych lodowatymi palcami.

Conan stał w drugim szeregu. Kiedy walczący przed nim wojownik runął na ziemię, Cymmerianin rycząc potężnie niby północny wicher, skoczył w przód, by zapłacić lukę w rozerwanym szeregu. Zamachnął się hyperborejskim mieczem i ciął w kark szkielet, który wyciskał życie z leżącego u jego stóp Aesira. Odrąbana od kręgosłupa czaszka potoczyła się w dół zbrocza.

Wtedy przerażenie ścięto Conanowi krew w żyłach, a pierwotny strach zjeżył mu włosy. Bezgłowy korpus podniósł się i złapał młodzieńca kościstymi dłońmi. Conan pokonał ogarniające go odrętwienie i kopniakiem wybił dziurę w żebrach, które wyglądały spod strzępów gnijącej skóry. Bezgłowy trup zatoczył się, lecz po chwili znów skoczył z wygiętymi drapieżnie palcami.

Conan złapał oburącz rękojeść miecza i włożył wszystkie siły w potężny cios. Miecz przedarł się przez pozbawioną ciała pierś, po czym przerąbał na pół kręgosłup. Rozcięty na dwoje trup padł i tym razem nie powstał. Przez chwilę Conan nie miał przeciwnika. Dysząc ciężko, ruchem głowy odrzucił w tył zlepione potem włosy.

Spojrzał na walczących. Njal z ciałem w wielu miejscach oderwanym od kości padł wreszcie, zabierając ze sobą co najmniej tuzin wrogów. Stary Gorm z wilczym wyciem zajął jego miejsce i z ostateczną desperacją rąbał ciężkim toporem. Ale szereg już pękł. Bitwa dobiegała końca.

— Nie zabijając wszystkich! — zabrzmiał niesiony lodowatym wiatrem bezlitosny głos. — Zabrać tylu, ilu można, do niewoli!

Conan zdołał przebić wzrokiem ciemność. U stóp wzgórze, na grzbiecie wysokiego, czarnego ogiera siedziała królowa Vammatar w powiewających, śnieżnobiałych szatach. Conan, drżąc na całym ciele, zrozumiał, że chodzące trupy posłuchają jej rozkazu.

Nagle u jego boku pojawiła się Rann. Jej twarz była mokra od łez, ale w błękitnych oczach nie było śladu trwogi. Zdażyła zobaczyć śmierć ojca i Gorma, nim gwałtowny atak kolejnego upiornego przeciwnika nie pchnął jej ku młodemu Cymmerianinowi. Złapała porzucony miecz i przygotowała się, by umrzeć w walce.

Spraque de Camp Lyon - Conan Szermierz

Wtedy, niczym dar od samego Croma, w zropanym umyśle Conana narodził się pewien pomysł. Bitwa była już przegrana. To, że on i pozostali przy życiu Aesirów zostaną spętani i pognani w niewolę, było równie pewne jak to, że po nocy nastanie dzień. Jednakże nie wszystko było stracone.

Conan zawirował, podniósł dziewczynę i zarzucił ją sobie na ramię. Potem rąbiąc na prawo i lewo runął pędem w dół zasłanego zwłokami stoku, do stóp wzgórza, tam gdzie na kruczocharnym rumaku siedziała uśmiechnięta złowieszczko królowa.

Wszystko wokół spowijała ciemność przetykana wirującymi zwojami gęstej mgły, więc władczyni upiorów, zapatrzona na szczyt wzniesienia, nie zauważyła biegnącego bezszelestnie Cymmerianina. Ani dziewczyny, którą ten postawił właśnie na stratowanym śniegu. Żelazne palce zamknęły się na ramieniu i udzie Vammatar i ściągnęły ją z konia, wrzeszcząc i siną z furii. Conan rzucił królową na ziemię, po czym podniósł Rann i usadowił protestującą dziewczynę w zwolnionym siodle.

Nim sam zdążył wskoczyć na wierzgające zwierzę, kilka żyjących trupów, posłusznych wściekłym rozkazom swej pani, złapało go od tyłu i przywarło niczym pijawki do jego lewego ramienia.

Z nadludzkim wysiłkiem, nim przewróciły go cuchnące potwory, Conan zdołał trzasnąć płazem zad ogiera.

— Jedź, dziewczyno, jedź! — wrzasnął. — Do Asgardu i wolności!

Czarny rumak zadarł kopyta, zarżał i pomknął jak strzała przez mglistą, ośnieżoną równinę. Rann przywarła do karku ogiera. Przycisnęła zalany łzami policzek do jego ciepłej skóry, a jej długie, jasne włosy splątały się z powiewającą kruczą grzywą.

Gdy rumak przemyczał u stóp wzniesienia, Rann obejrzała się i zobaczyła, jak dzielny młodzieniec, który dwakroć uratował jej życie, ulega przewadze żywych trupów. Królowa Vammatar, której biała szata była teraz powalana błotem, stała w mroźnym, księżycowym świetle z szatańskim grymasem na ustach. Potem zбочze wzgórza i wznosząca się mgła litościwie przysłoniły scenę pogromu. Dziewczyna nie oglądając się popędziła na zachód.

Dwudziestu ocalałych Aesirów brnęło na wschód w bladym świetle księżyca. Ich nadgarstki związane były na plecach rzemieniami z surowej skóry. Chodzący zmarli — ci, którzy nie zostali w bitwie porąbani na kawałki, pilnowali jeńców. Na czele upiornej procesji maszerowała dziwna para: Conan i królowa Vammatar.

Władczyni, której piękne rysy wykrzywiła furia, raz za razem cięła biczem cymmeriańskiego młodzieńca. Czerwone pręgi gęsto poznały już jego twarz i ciało. Conan wiedział, że nikt dotąd nie wrócił z niewoli w tym przeklętym kraju, jednakże szedł wyprostowany, a głowę trzymał wysoko. Mógł zabić królową zamiast tylko rzucić ją z konia, ale w jego rodzinnym kraju wpojono mu zasady rycerskiego zachowania w stosunku do kobiet i młodzieniec nie potrafił zapomnieć tych nauk. Teraz czekał na chwilę, kiedy dane mu będzie zerwać więzy i uciec.

Gdy wschodnie mgły rozproszyło nadejście świtu, Rann Njalsdatter dotarła do granicy Asgardu. Ciężko jej było na sercu, ale wspomniała ostatnią strofę pieśni, którą Gorm śpiewał pod zamglonym księżycem:

Możesz nas ściąć,
możemy się wykrwawić i umrzeć.
Ale jesteśmy ludźmi Północy!
Możesz spętać łańcuchami nasze ciała,
możesz oślepić nasze oczy.
Możesz łamać nasze kości żelaznym drągiem,
ale nasze serca pozostaną dumne i wolne!

Porywające słowa pieśni podniosły ją na duchu. Dziewczyna wyprostowała plecy i wznosząc dumnie jasną głowę, ruszyła w blasku dnia do domu.

6. STALOWY HAK*

Ocalała z pożogi salę tronową w twierdzy Vammatar Okrutnej zamieniono w izbę tortur. Z jednej z dębowych krokwi podtrzymujących wysokie, mroczne sklepienie opuszczono szorstką, konopną linę. Na jej końcu, w migoczącym świetle oliwnych lamp połyskiwał zimno stalowy hak. Wygięty, spiczasty kiel kołysał się leniwie nad niskim, drewnianym podestem. Mebel ten na rozkaz królowej wykonali w pośpiechu zamkowi cieśle porzucając inne, pilniejsze prace. Po bokach podestu stały trójnogi z płonącym olejem. Ich jaskrawe światło sprawiało, że kołyszący się hak nie rzucał cienia.

Dziesięć kroków przed zaimprovizowanym szafotem wznosił się spowity szkarłatnym jedwabiem tron Vammatar Okrutnej. Właśnie przed chwilą, w skrytym w głębokim cieniu wejściu do sali tronowej pojawiła się sama władczyni Halogi. Jak zwykle odziana była w olśniewająco białą szatę. Niczym zjawia przepłynęła przez komnatę i podeszła do tronu. Towarzyszyło jej czterech Hyperborejczyków w czarnych płaszczach z kapturami naciągniętymi na głowy. Podtrzymując ramiona swej pani pomogli jej zasiąść na tronie, po czym

Sprague de Camp Lyon - Conan Szermierz

szybko wycofali się w mrok pod ścianami sali, gdzie nie docierało światło trójnogów stojących przy szafocie. Królowa przeciągnęła się leniwie i w tym momencie diamenty, rubiny i szmaragdy zdobiące jej szyję, czoło, płatki uszu i palce zabłyśły wszystkimi barwami tęczy.

Minął dzień od rozgromienia aesirskiej bandy i Vammatar miała dość czasu, by wziąć kąpiel, wypocząć i starannie obmyślić wszystkie szczegóły zemsty na cymmeriańskim młodziku, który upokorzył ją i pozbawił najcenniejszego łupu, czyli córki wodza Aesirów.

Vammatar Okrutna potrafiła docenić prawdziwą odwagę. Zawsze największą przyjemność sprawiało jej patrzeć, jak mężny wojownik zamienia się z wolna w skowyczący kłęb rozedrganego, krwawego mięsa, który na koniec żebrze już tylko o to, aby go dobito. Im dzielniejszego jeńca zdołała złamać, tym większą sprawiało jej to rozkosz.

W drodze powrotnej do Halogi, Vammatar raz po raz chłostała swego jeńca. Właśnie wtedy zorientowała się, że młody Cymmerianin jest mężczyzną, który być może okaże się źródłem ekstazy, jakiej od bardzo dawna nie dał jej żaden torturowany jeńiec. Zamęczony na murach Egil i dwudziestu dziewięciu pozostałych Aesirów nie sprawili, że krew zaczęła żywiej krążyć w ciele wiecznie młodej królowej. Po hardym Cymmerianinie Vammatar oczekiwała dużo więcej. Musiała tylko dobrze obmyślić całą kaźń...

Już teraz, kiedy jedynie napawała się oczekiwaniem, fala rozkosznego ciepła opłynęła jej biodra i piersi. Czas nadszedł! Władczyni Halogi uniosła ozdobione licznymi pierścieniami dłonie i klasnęła mocno, trzykrotnie.

Odpowiedział jej szcęk żelaza w głębi korytarza prowadzącego do sali tronowej. Chwilę później otworzyły się główne drzwi i do środka w asyście dwunastu białowłosych oprawców wszedł skuty łańcuchami Conan. Upiorna audyencja rozpoczęła się! Dzikie spojrzenie Cymmerianina natychmiast obiegiło całą salę, a w jego rozjarzonych błękitem oczach pojawił się błysk straszliwego zrozumienia. Do tej pory nie wiedział, dlaczego nie zapędzono go do pracy przy odbudowie zniszczonej części zamku, tak jak zrobiono to z pozostałymi jeńcami. Zamknięto go w osobnej celi, przyniesiono dobre jedzenie, a potem zakuto w kajdany. Na nic zdała się jego rozpaczliwa obrona i przetrącony wściekłym kopniakiem kark jednego ze strażników. Pozostali unieruchomili młodego barbarzyńcę, a później skrępowali żelazem jego nadgarstki i kostki. Ręce skuto mu z przodu i połączono z okowami na nogach łańcuchem tak krótkim, że Cymmerianin, by iść, musiał się garbić. Zdaniem poddanych Vammatar wykluczało to jakąkolwiek możliwość walki.

I teraz Conan zrozumiał, czemu służyły te wszystkie zabiegi. Mimo całkowitej beznadziejności położenia wykonał błyskawiczny półobrót i niczym rozszalały byk uderzył głową w bok jednego z eskortujących go mężczyzn. Trzasnęły łamane żebra i Hyperborejczyk stękając zwał się na posadzkę. Jedenastu pozostałych rzuciło się na skutego Cymmerianina. Ścianami sali tronowej wstrząsnął ponury, barbarzyński okrzyk bojowy. Natychmiast po nim nastąpił przenikliwy charkot strażnika, w którego gardle utkwily kły rozszalałego drapieżcy. Hyperborejczycy szybko oderwali Conana od ofiary, ale w jego zębach pozostała większa część jej krani. Za moment kolano Cymmerianina wbiło się z całą siłą w krocze kolejnego oprawcy.

Królowa Vammatar Okrutna, patrząc na to, powoli oblizwała językiem usta. Jej oczy zabłyśły z wolna, jakby weszły w nich gwiazdy poświęcone demonom — astrologiczne symbole najczystszej zła.

Wreszcie dziewięciu pozostałych Hyperborejczyków przycisnęło Conana twarzą do posadzki. Teraz mógł on już tylko warczeć głucho, gardłowo jak skrępowany ryś. Jego nieujarzmioną wolę krępowwały łańcuchy oraz osiemnaście rąk. Nie zdołał uczynić żadnego ruchu, kiedy wleczono go po podłodze, wciągano na najeżony drzazgami podest z nie heblowanych desek i stawiano przed wiszącym na linie hakiem.

Chłodne żelazo dotknęło piersi Cymmerianina.

Conan sprężył się do jeszcze jednego, desperackiego zrywu, gdy wtem spojrzenia jego i Vammatar spotkały się. W oczach królowej zabłyśła drwina. Młody barbarzyńca ze świstem wypuścił powietrze, rozluźnił mięśnie i unióś dumnie głowę. Jeśli nieugiętą wolą Croma było wezwać go przed swe skryte w mroku oblicze, to on — Conan, gotów był pokazać tej hyperborejskiej wiedźmie, jak umiera cymmeriański wojownik. Nawet nie drgnął, gdy Vammatar nieznacznie skinęła głową i czub haka przebił jego skórę. Żelazo prowadzone pewną ręką oprawcy weszło pod żebra prawego boku tuż nad wątrobą. Po chwili połowa haka zniknęła w ciele młodego barbarzyńcy. Hyperborejczycy odstąpili. Na podeście pozostał tylko Conan. Stał nieruchomo jak posąg i tylko strużka krwi, spływająca leniwie po jego nagim boku i wsiąkająca w przepaskę biodrową, świadczyła, że hak nie tkwi w doskonale ukształtowanym marmurze, lecz w żywym ciele.

Vammatar skinęła głową po raz drugi. Oprawcy chwycili podest i wyszarpnęli go spod nóg Cymmerianina.

Młodzieniec zawisł na haku.

Potworny ból eksplodował w umyśle Conana, poraził piersi, zdławił oddech. Świat zawirował w koszmarnym tańcu. Fala pulsującego szkarłatu unicestwiła wszelkie myśli. Młody barbarzyńca poczuł, jak hak rozdziera jego ciało a wraz z nim całe jego jestestwo. Patrzył z góry na swoje stopy wiszące łokieć nad podłogą i nie pojmował tego widoku. Nie słyszał miarowego skrzypienia liny i szcękę kajdan. Całą siłą woli zaciskał tylko zęby.

Hyperborejczycy wynieśli z sali tronowej podest i leżące przy wejściu ciała. Zamknęli ze sobą drzwi. W wielkiej komnacie pozostał tylko kołyszący się na haku Conan, siedząca na szkarłatnym tronie Vammatar Okrutna w bieli oraz sześć trójnogów z płonącym olejem, oświetlających tę scenę niespokojnym blaskiem.

Królowa Halogi wsparła prawy łokieć na poręczy tronu, położyła podbródek na dłoni i pograżyła się w kontemplacji.

7. KRYSZTAŁOWY OŁTARZ YMIRA

Wraz z nadejściem zmierzchu czarne myśli znów ogarnęły Rann Njalsdatter. Słowa dumnej pieśni, którą nuciła, by nie upaść na duchu, zbyt często powtarzane straciły moc. Teraz myślała tylko o tym, że nie ma dokąd wracać. Njal był banitą, którego zwyczajowe prawo Asgardu po trzykroć skazało na śmierć. Nie miała braci, a wszyscy dalsi krewni rok temu, na plemiennym wiecu, uroczysto wyrzekli się jej ojca i jego potomstwa. Rosnący w świętym gaju dęb symbolizujący ród Njala święto, porąbano i rzucono w ogień. Gdyby wróciła, traktowano by ją jak niewolnicę, a może nawet sprzedano do Vanaheimu. Nic gorszego nie mogło spotkać aesirskiej kobiety. Jej ojciec drwił sobie z prawa i zwyczaj mawiał, że prawo to miecze jego i jego rozbójników. Teraz jednak zabrakło jednego i drugiego. Być może Rann zdałaby się na łaskę krewnych, gdyby nie to, że była jednak córką jarla, a w uszach wciąż dźwięczały jej słowa Conana: „Jedź do wolności!” Traktowała je jako ostatnią wolę wojownika, który zginął w jej obronie. Była pewna, że Cymmerianin nie żyje, tak samo jak ojciec, stary Gorm, Egil i tylu innych. Gdyby była mężczyzną, mogłaby zaplanować zemstę. Jednak by się zemścić, potrzebowała pomocy. Nie mogła liczyć na krewnych ani na to, że uda się jej zebrać własną bandę. Potrafiła walczyć, ale nie była dość sławną wojowniczką, by pokryci bliznami zbójce zgodzili się słuchać jej rozkazów.

Pograżona w takich oto myślach, bliska rozpaczyci Rann błędziła w zimnej puszczy Asgardu. Nawet nie kierowała zdobycznym ogierem, który szedł po prostu przed siebie. Mijała godzina za godziną, a córka Njala pomimo chłodu i głodu, z nisko opuszczoną głową siedziała bez ruchu na krocącym niespiesznie wierzchowcu. Stopniowo myśli Rann skupiły się wokół zemsty. Pragnęła, by Vammatar Okrutną spotkał po tysiackroć zasłużony, ponury koniec. I to nie kiedyś w przyszłości, lecz natychmiast! Nierealność tego pragnienia budziła rozpacz. Tym większą, że dziś o świcie Rann zdała sobie sprawę, że od pierwszego wejrzenia pokochała dzikiego Cymmerianina. Przyszło jej zatem opłakiwać nie tylko ojca, ale i śmierć miłości, która zginęła, zanim zdążyła wypełnić żarem jej dziewczęce serce. Dlatego tym bardziej nienawidziła Vammatar! Nagle Rann pomyślała, że byłaby gotowa oddać życie, byle tylko wiecznie piękna władczyni Halogi znalazła się w piekle...

W tym momencie jej wierzchowcie zarżał cicho i stanął. Rann podniosła wzrok. Chwilę później szeroko otworzyła oczy. Znajdowała się w gaju, w którym rosły wyłącznie białe brzozy. Kilkanaście kroków przed nią leżał szeroki, płaski, wysoki na dwa łokcie blok górskiego kryształu. Naturalne krawędzie minerału nosiły ślady prymitywnej obróbki. Zachodzące słońce wypełniało jego wnętrze purpurową poświatą. Rann wstrzymała oddech, a jej serce zabiło gwałtownie. Oto miała przed sobą kryształowy ołtarz Ymira, o którym wspominali niekiedy starzy, czcigodni kapłani. Córka Njala szybko zsiadła z konia, przyklekła i prawą dłonią dotknęła świętej ziemi tego miejsca, by oddać jej cześć. Krew dudniła gwałtownie w skroniach Rann, która z trudem mogła zebrać myśli. Wszystkie dotychczasowe uczucia pomieszały się zupełnie. Oto dano jej straszny znak!

Kryształowego ołtarza Ymira i otaczającego go brzozowego gaju nie strzegł nigdy żaden kapłan. Powiadano nawet, że do miejsca tego nie prowadzi żadna droga, którą można by narysować węglem na kawałku skóry. Ten na wpół legendarny, święty gaj i gład mógł znajdować się wszędzie i nigdzie. Zwyczajny śmiertelnik był w stanie dotrzeć tu tylko wtedy, gdy znajdował się w pewnym szczególnym stanie ducha. Potem zaś...

Rann Njalsdatter wciąż wstrzymywała oddech. Już wiedziała, że stanęła wobec swego przeznaczenia, ale jeszcze nie mogła pojąć tego do głębi. Sagi mówiły, że wojownicy, którym udało się przybyć w to miejsce, zawierali tu z Ymirem przymierze, którego ceną były lata ich życia. Z kolei dziewice...

Rann dumnie uniosła głowę i podniosła się z kolan. To prawda, że została wyjęta spod prawa swego ojczyznanego kraju. Ale w jej żyłach płynęła książęca krew. I była dziewczicą. Te dwie cechy musiały przeważać nad wyrokiem prawa, skoro Ymir, najwyższy bóg Vanirów i Aesirów, zezwolił Rann odnaleźć to miejsce. Oznaczało to, że jej ofiara może zostać przyjęta...

Przy siodle wisiał hyperborejski miecz. Rann odrzuciła daleko ten niegodny oręż. Ujęła prosty, asgardzki sztylet. Wstąpiła na blok górskiego kryształu. Wzniosła oczy ku mroczniejącemu niebu, a potem powoli trzymane oburącz ostrze. Czuła się jak wojownik, który wie, że musi polec w bitwie, bo tylko dzięki temu wróg może zostać pokonany. Córka Njala odsunęła od siebie lęk. Nie wahała się zginąć, by pomścić śmierć ojca i swego ukochanego.

— Ymirze, Ojciec Północy! — zawołała donośnie. — Przyjmij mą ofiarę, a w zamian pomścisz jarla Njala z Asgardu i Conana z Cymmerii. Niechaj piekło pochłonie Vammatar z Halogi!

Pchnięte mocno ostrze wbiło się prosto w serce. Rann wyszarpnęła sztylet ze swego ciała. Jeszcze przez chwilę stała wyprostowana, skąpana w różowym blasku zachodzącego słońca, z czerwoną plamą na piersiach, po czym rękojeść umknęła z jej martwiejącej ręki. Żelazo zadźwięczało o kryształ. Dziewczyna osunęła się na kolana i padła na twarz. Wypływająca spod niej krew obficie zalała przejrzysty ołtarz. Usta Rann poruszyły się bezgłośnie i zamarły.

Sprague de Camp Lyon - Conan Szermierz

Przez chwilę nic się nie działo. W całej okolicy zapadła głucha cisza. A potem nagle kryształ, ciało i krew ogarnął gigantyczny, huczący płomień. Nagły cios huraganu pochylił drzewa. Ryk ognia wstrząsnął ziemią. Czarny, hyperborejski ogień z przeraźliwym kwikiem stanął dęba. Nim jednak jego wzniesione kopyta dotknęły z powrotem ziemi, wszystko ucichło. Znow szumiał łagodnie mroczniejący las.

Zdezorientowany wierzchowiec potrząsnął łbem i wtem rozległo się bliskie wycie wilka. Pierwszemu drapieżnikowi odpowiedziało kilkanaście następnych. Spłoszony ogień zarżał trwożliwie i pognął na oślep ku swemu przeznaczeniu.

Nie dostrzegł, że w gaju wokół kryształowego ołtarza wyrosła nowa, smukła brzoza...

8. SPOJRZENIE BOGA NORDHEIMERÓW

Conan walczył o każdy oddech. Instynkt życia zmagał się z rozdzierającym bólem, lecz ani jedno, ani drugie nie mogło osiągnąć przewagi. Oprawca wbił ostrze haka w ten sposób, aby żelazo weszło pomiędzy płuca a żebra, nie kalecząc płuca. Dzięki temu młody Cymmerianin nie utopił się we własnej krwi już kilka chwil po zawiśnięciu na haku. Postąpiono tak zgodnie z rozkazem Vammatar, która obmyśliła dla Conana długą i ciężką agonię, i nie chciała zbyt szybko pozbawić się wyrefinowanej rozrywki. Mocna, węzłasta budowa młodzieńca oraz fakt, iż nie miał on jeszcze postury i wagi dorosłego mężczyzny, sprawiły, że jego ciało nie rozdarło się pod własnym ciężarem. Bez wątplenia człowiek nieco węższy lub cięższy rozerwałby się z wolna na dwie połowy. Z kolei obywatel cywilizowanego kraju umarłby z bólu, jeszcze zanim hak oderwałby mu żebra i ramię. Conan zaś wciąż żył i walcząc z obłąkańczym bólem nadal wygrywał kolejne, płytkie oddechy. Także cierpienie, choć zasnuwało oczy purpurową mgłą, nie pomieszało młodemu barbarzyńcy zmysłów ani nie pozbawiło go przytomności. Wszystko było tak, jak przewidywała Vammatar.

Władczyni Halogi delektowała się zemstą, niczym wytrawny znawca najwyszukańszymi gatunkiem wina. Cymmerianin jak dotąd nie wydał żadnego jęku, ale wiecznie piękna królowa nie była rozczarowana. Wiedziała, że na wszystko przyjdzie pora, a przyjemność, którą uzyskuje się zbyt szybko, jest tylko połową przyjemności. Na razie chłonęła z rozkoszą emanującą od Conana aurę cierpienia. Niebawem już nie była w stanie zachować dłużej dotychczasowej, obojętnej pozy. Piersi Vammatar unosiły się coraz wyżej i coraz szybciej. Jej pełne, karminowe wargi rozchyliły się namiętnie, a dłonie zacisnęły kurczowo na poręczach tronu. Wreszcie krew zawrzała w żyłach zwyrodniałej władczyni i Vammatar z gardłowym jękiem targnęła się konwulsyjnie do tyłu wyginając w łuk. To dlatego chciała być sama. Nie życzyła sobie, by ktokolwiek oglądał ją w tej wynaturzonej ekstazie.

Powoli dochodziła do siebie. Ocieżałym ruchem otarła pot z czoła. Teraz czekały ją rozkosze znacznie bardziej subtelne, dotyczące bardziej sfery ducha niż ciała. Jak na razie sprawiła, że ból odczuwany przez Conana zależał od ciężaru jego ciała. Niebawem, za pomocą kilku magicznych tortur Vammatar zamierzała doprowadzić do tego, aby źródłem cierpienia stała się żelazna wola młodego Cymmerianina. To miało być znacznie bardziej emocjonujące...

Władczyni Halogi uznała, że drugą część kary powinno zobaczyć jak najwięcej jej poddanych. Wcisnęła zatem tajemny przycisk w poręczy tronu, co sprawiło, że w przedsionku sali tronowej jęknął spiżowy gong. Na ten znak otworzyły się drzwi i do środka wlał się tłum białowłosych dworzan i wojowników. Bez słowa, w nabożnym skupieniu otoczyli królową i ciężko dyszącego na haku jeńca.

Vammatar Okrutna przeciągając złowrobną oczekiwanie skinęła na niewolnicę trzymającą tacę ze specjalami z dalekich krajów. Z namaszczeniem wybrała sobie sprowadzony z Turanu owoc granatu i rozerwała brązową skórkę. Nie spuszczać oczu z Conana wbiła zęby w mięsz. Amarantowy sok pocięł jej po brodzie.

Wtem na korytarzu rozległy się ciężkie, dudniące kroki...

W chwili gdy w korytarzu prowadzącym do sali tronowej zabrzmiał gong, przed częściowo zrujnowanym zamkiem Haloga, nie wiadomo skąd pojawił się niesamowity wojownik. Był on dwukrotnie wyższy od najpotężniejszego mężczyzny i wyglądał jak posąg wykuty z jednej bryły oślepiająco błękitnego lodu. Ziemia zadrżała pod jego stopami, kiedy majestatycznie ruszył w kierunku zamczyska. Przed zamkniętą bramą przystanął i uniósł prawą dłoń. Wrota i żelazna krata uderzone falą kosmicznej mocy ugięły się i rozprysły na drobiny nie większe od wiórów i opiłków.

Ymir przeszedł przez skłębioną kurzawę. Na dziedzińcu zabiegł mu drogę jakiś zdezorientowany strażnik i nim zdolał pojąć, z kim ma do czynienia, padł martwy z pękniętym sercem. Bóg Nordheimerów zniknął we wnętrzu budowli. Nieomylnie odnalazł drogę do sali tronowej. W momencie gdy przekraczał próg, z dziesiątek gardeł wyrwał się skowyt przerażenia. Vammatar zamarła na tronie, a połówka granatu wypadła jej z dłoni. Hyperborejczycy osłaniając oczy rękami i połami płaszczy, na dzikim popłochu cofnęli się pod ściany. Ymir ruszył prosto do królowej mijając obojętnie Cymmerianina wiszącego nad kałużą krwi. Władczyni Halogi stwierdziła ze zgrozą, że nie może wykonać nawet najdrobniejszego gestu.

Ymir bóg Vanirów i Aesirów zatrzymał się trzy kroki od tronu. Płomień oświetlający całą scenę nagle zamarł w bezruchu. Światło wypełniające salę przestało migotać. Niesamowitość tego, co się działo, dotarła

Sprague de Camp Lyon - Conan Szermierz

do otępiatego z bólu Conana. Młody Cymmerianin uniósł głowę i jego przekrwione oczy rozszerzyły się ze zdumienia.

Ymir wpatrywał się w Vammatar Okrutną. Boski wzrok przenikał wszelkie pozory. Pan Nordheimerów widział władczyńnię Halogi taką, jaką była naprawdę, i sprawił, że jej natura stała się widoczna także dla zwykłych śmiertelników. W jednej chwili przepadła cała wyzywająca uroda wiecznie pięknej Vammatar. Na tronie siedziała teraz odrażająca, obwieszona klejnotami starucha. Królowa wydała z siebie koszmarny skrzek i spróbowała zakryć twarz kostropatymi dłońmi. Lecz to jeszcze nie był koniec. Spojrzenie Lodowego Olbrzyma uwolniło zamknięte w duszy Vammatar żywioły zła i chaosu, które teraz obróciły się przeciw niej...

W sali tronowej wybuchła panika. Hyperborejczycy osłaniając oczy runęli do wyjścia przewracając się i tratując. Ymir nie poświęcił im najmniejszej uwagi.

Władczyni Halogi rozkładała się za życia. W pierwszej chwili zdołała wydać z siebie rozdygotany wizg, który z półtonu przeszedł w cichnący bulgot. Bryła brunatnego ścierwa błyskawicznie traciła wszelkie ludzkie kontury, rozkład bowiem objął także kości. A nawet duszę. Świadczyły o tym osobiwe, przypominające sadzę, strzępy ciemności, które ulatywały w górę i rozplywały się w powietrzu.

Kiedy kałuża odrażającego błota i szmat przestała drgać i wraz z mieniającą się biżuterią spłynęła z tronu na posadzkę, Ymir odwrócił się i ruszył do drzwi. Mijając Cymmerianina obrzucił go tylko spojrzeniem, w którym malowała się nieskończona obojętność. Nie zamierzał uwalniać Conana — wyznawcy wrogiego mu Croma. Wszak nie tego żądała umierająca Rann. Miał pomścić Cymmerianina i zrobić to!

Dotrzymawszy zobowiązania Lodowy Olbrzym opuścił salę tronową w zamku Haloga.

Pozostał w niej tylko wbity na hak Conan.

9. GDY MILCZĄ BOGOWIE...

Conan był sam. Jedynym z bogów, na którego mógł jeszcze liczyć, był Crom — Pan Góry. Lecz Croma nie należało nigdy o nic prosić. Było to postępowanie niegodne mężczyzny i wojownika. Crom zajmował się każdym ze swoich wyznawców tylko w chwili jego narodzin i nigdy później. Dopiero co narodzonego chłopca bóg Cymmerii obdarzał mocą przewycięzania przeciwnostw i pokonywania wrogów. To musiało mu wystarczyć na całe życie. Jeśli zaś ktoś uznał, że to zbyt mało, i ośmielił się prosić w modlitwie o cokolwiek, odpowiedzią Croma był niezmiennie szyderczy śmiech. Dlatego teraz Crom milczał. I Conan również.

Młody Cymmerianin zdał sobie sprawę, że najwyższy czas zrobić użytek z daru Croma. Poczuł nawet wstyd, iż zwlekał tak długo. Ta myśl sprawiła, że w oczach Conana znowu zapłonął błękitny ogień, a jego wola zdławiła ból. Teraz spostrzegł, że jeśli podkuli nieco nogi, to skutymi z przodu rękami zdoła sięgnąć do wbitego w bok haka. Uczynił tak i po chwili niezdarnej manipulacji zacisnął obie dłonie na wystającym z ciała żelazie. Napiął mięśnie odpychając hak w dół. Udało mu się odciążyć zebra i ból rozrywający mu piersi wyraźnie zelżał. Conan zdołał wziąć nieco głębszy wdech. To zachęciło go do dalszego wysiłku. Hak drgnął i wysunął się na grubość palca. Ramiona Conana zaczęły drżeć. Podciągnął się jeszcze wyżej i pół długości ostrza wyszło z jego boku. Znow zaczerpnął powietrza i podwoił wysiłki. Żelazo w jego boku poruszyło się... I w tym momencie młody Cymmerianin stwierdził, że mokry od krwi i potu trzon haka wyslizguje mu się z palców. Ostrze wbrew rozpaczliwym wysiłkom Conana zaczęło znow wchodzić w ranę. Nagły, inny niż dotąd, kłujący ból sprawił, że lodowate palce strachu dotknęły karku młodzieńca. Hak cofając się nie wchodził w poprzednie położenie, lecz wbijał się w płuco! Starając się uwolnić, Conan mimowolnie zmienił kąt, pod którym żeleźce tkwiło w jego ciele. Teraz puszczenie haka oznaczało śmierć, poprzedzoną koszmarnym charkotem i różową pianą bryzgającą z nosa i ust...

Rozdygotane ramiona zaczęły słabnąć. Przerazenie zjeżyło Conanowi włosy. Desperacko odpychał od siebie hak, lecz wcześniejsza męka i upływ krwi wyżarzyły siłę z jego mięśni. Złowrogie ostrze to się cofało, to pogrążało z powrotem. Ból w boku stał się niczym wobec bólu napiętych w nadludzkim wysiłku barków, ramion i zacisniętych palców. Oczy wyszły młodzieńcowi z orbit, a zwarte z całej mocy zęby zgrzytały jak żarna. Niespożyta, barbarzyńska witalność Cymmerianina zatraciła się w śmiertelnych zmaganiach. Umysł przygasł stłumiony wybuchem walczącej o życie pierwotnej dzikości. W oczach i wykrzywionych rysach Conana nie było już nic ludzkiego. Z gardła młodzieńca wyrwał się zwierzęcy skowyt wznoszący się i narastający aż do obłąkańczego krzyku w momencie, w którym hak wyszedł z ciała!

Cymmerianin zwał się na posadzkę rozchlapując kałużę własnej krwi.

Brzęk łańcuchów zamarł pod sklepieniem sali tronowej. Z dziury w boku młodzieńca wydostał się krwawy bąbel. Conan odetchnął chrapliwie. Instynktownie przycisnął do rany prawe przedramię zatykając ją szczelnie. Teraz łżej było oddychać. Stopniowo twarz młodego Cymmerianina odzyskiwała ludzki wygląd. Wciąż jednak miał zamknięte oczy i nie próbował się poruszyć.

Leżał tak ponad godzinę. Dopiero po tym czasie dwóch najodważniejszych Hyperborejczyków ośmieliło się zajrzeć do sali tronowej. Zbliżyli się ostrożnie i obejrzeni najpierw szczątki królowej. Na twarzach obu mężczyzn odmalował się głęboki wstrząs. Postali chwilę przed tronem, po czym bez słowa odwrócili się i podeszli do Cymmerianina. Jeden z Hyperborejczyków, pomarszczony starzec, przyklęknął.

— Jeszcze żyje — oznajmił półgłosem.

Spraque de Camp Lyon - Conan Szermierz

— Czy to możliwe, aby sam zdołał zejść z haka? — zapytał młodszy patrząc na nieruchome, okrwawione żelazo.

Starzec potrząsnął głową.

— Nie, książę, żaden śmiertelnik nie mógłby tego dokonać — oznajmił stanowczo.

— Zatem zrobił to Pan Lodów — stwierdził młody arystokrata błędnie wyraźnie.

— I ja tak sędzę, mój panie.

— Ale dlaczego nie zdjął mu łańcuchów? — zapytał książę. — Dlaczego nie zabrał go ze sobą? Dlaczego nie zwrócił mu wolności, poprzestając jedynie na uratowaniu mu życia? Odpowiedz mi, Awatarze!

Starzec powstał i namyślał się długą chwilę.

— Widocznie, mój panie, przeznaczeniem tego barbarzyńcy jest żyć, ale nie być wolnym. Bez wątplenia ma to dla bogów wielkie znaczenie. Nie nam, śmiertelnikom, rozsądzać jakie. Dlatego Pan Lodów uczynił to, co uczynił.

Młody władca Halogi popatrzył ze zdumieniem na Conana.

— Dobrze więc — oznajmił marszcząc bezbarwne brwi. — Będę posłuszny woli bogów. Ten barbarzyńca będzie żył i pozostanie na zawsze w Halodze. Niech zanoszą go do zagrody dla niewolników i opatrzą mu rany!

Awatar dał znak komuś na korytarzu. Do sali wbiegło dwóch wojowników. Chwycili młodego Cymmerianina za ramiona i powlekli do wyjścia. Stary Hyperborejczyk podążył za nimi.

Conan znał zaledwie kilka hyperborejskich słów, toteż z całej powyższej przemowy zrozumiał tylko tyle, że darowano mu życie. Dlatego nie stawiał oporu. Kiedy taszczono go do zagrody dla niewolników, opatrywano oraz zastępowano kajdany pojedynczym łańcuchem z obejmą na kostkę prawej nogi, on ulegle poddawał się wszystkim tym zabiegom.

Niczym zmęczony, dziki zwierz zbierał siły do dalszej walki.

10. WICHER, DESZCZ I MROK

Na trzy dni pozostawiono Conana w spokoju. Przez ten czas mięśnie młodego Cymmerianina odzyskały dawną moc, a ciało na powrót stało się posłuszne jego żelaznej woli. Umysł barbarzyńcy wypełniło nieokiełzane, dzikie pragnienie wolności. Całymi godzinami rozmyślał nad sposobem wyrwania się z niewoli.

Czwartego dnia wraz z innymi niewolnikami zapędzono go do usuwania zniszczeń spowodowanych przez pożar. Ogień strawił całkowicie jedną trzecią zamku, a prawie drugie tyle zostało uszkodzone w mniejszym lub większym stopniu. Podczas pracy jeden z aesirskich jeńców opowiedział Conanowi o ukradkowym pogrzebie Vammatar Okrutnej. Odrażające szczątki królowej umieszczono w zapieczętowanej wazie z khitajskiej porcelany, którą procesja mamroczących kapłanów zniosła pośpiesznie do podziemi Halogi.

W pewnej chwili, podczas wygarniania gruzu uwagę młodego Cymmerianina przykuł ściemniały od ognia, ostry kawałek żelaza. Conan, syn kowala, już na pierwszy rzut oka spostrzegł, że metal ten najpierw rozpałił się w pożarze do białości, a potem ktoś z ludzi gaszących płomienie, przypadkiem załał go wodą. W tych warunkach żelazo zahartowało się tak, iż można było zarysować nim szkło. Cymmerianin pochwycił ukradkiem ten prymitywny pilnik i ukrył go za przepaską biodrową.

Wieczorem, kiedy łańcuch odchodzący od obręczy na jego kostce przymocowano z powrotem do wmurowanego w ścianę pierścienia, Conan zabrał się do roboty. Wkrótce na ogniwie obok kłódki pojawiła się pierwsza rysa.

Młody Cymmerianin tarł łańcuch noc w noc. Pracował bardzo ostrożnie, często robił długie przerwy czekając, aż jakieś naturalne dźwięki zagłuszą odgłos zgrzytania. Wykorzystywał każdą głośniejszą rozmowę, kłótnię niewolników, każdy hałas. Rankiem maskował gliną poszerzającą się szczyrbę w ogniwie z krzepkiego, hyperborejskiego żelaza.

Dwa tygodnie później, po zmroku, nad Halogą rozszalała się wściekła nawałnica. Huk gromów złał się w jeden demoniczny ryk wstrząsający ziemią i murami zamczyska. Zawodzący wicher niemal obalał wieże. Zdawało się, że ulewa wkrótce zmyje z powierzchni ziemi to siedlisko występku i zła. W tym hałasie pilnik Conana raz za razem wgryzał się w łańcuch. Przed północą chropowate żelazo przeniknęło połówkę ogniwa. Cymmerianin chwycił łańcuch oburącz i zaparł się stopami o ścianę. Napiął grzbiet. Zgrzytnęło żelazo. Conan stopniowo zwiększał siłę. Ogniwo rozgięło się z wolna i puściło. Łańcuch szczęknął gwałtownie.

— Co robisz?! — rozległ się chrapliwy krzyk.

Conan podniósł pilnik.

— Masz! — rzucił go pytającemu.

Oczy niewolnika zabyły w mroku. Cymmerianin zebrał ostrożnie łańcuch i wymknął się z zadaszonej zagrody. Natychmiast runęły nań potoki wody. Kolejna błyskawica załała światłem dziedziniec zamku. Conan natychmiast umknął w cień. Trzymając się blisko muru, szybko dotarł do bramy.

Ta była otwarta, lecz przy spuszczonej, nowej kracie stał strażnik i wpatrywał się w ciemność. Burza zaskoczyła młodego władcę Halogi podczas objazdu włości i właśnie oczekiwano jego powrotu. Conan przycisnął się za załomem muru.

Sprague de Camp Lyon - Conan Szermierz

W pewnej chwili strażnik odskoczył od kraty i ręką dał znak komuś we wnętrzu wartowni. Zaraz też wśród łoskotu piorunów dało się słyszeć skrzywienie kołowrotów. Krata zaczęła się podnosić. Równocześnie błękitny błysk wydobył z mroku podjeżdżający do zamku książęcy orszak.

Conan wyprysnął z cienia. Rozkręcony łańcuch zawył i z trzaskiem przetrącił strażnikowi kark. Cymmerianin nie tracąc czasu na zabieranie Hyperborejczykowi broni, przemknął pod kratą. Jeźdźcy byli dziesięć kroków przed nim. Już spostrzegli, co się dzieje. Ktoś coś krzyknął, ale komenda przepadła w huk pioruna. Barbarzyńca rzucił się prosto na konie waląc je na odlew łańcuchem po łbach. Zwierzęta z przeraźliwym kwikiem stanęły dęba lub umknęły na bok. Conan wpadł między nie. Błyskawicznym ciosem łańcucha wytrącił wzniesiony miecz z ręki najbliższego jeźdźcy i przemknął pod brzuchem jego wierzchowca. Orszak zamienił się w bezładne kłębowisko. Hyperborejczycy wrzeszczeli jak opętani.

Młody barbarzyńca już wpadał na otwartą przestrzeń, kiedy nagle drogę zajechał mu jakiś jeździec. Błysk pioruna oświetlił bladą twarz księcia Halogi, a jego miecz pomknął w morderczym sztychu. Cymmerianin uchylił się szybkim półobrotom i kontynuując ten ruch rozkręcił trzymany w ręku odcinek łańcucha tak, że ludzkie oko nie mogło za nim nadążyć. Żelazny bicz trzasnął w skroń księcia. Pół czoła wraz z oczodołem zamieniło się w krwawą miazgę, z której rozpędzony łańcuch wyszarpał kawał kości. Conan spostrzegł jeszcze szeroko rozwarłe ze zgrozy oczy i usta starego Awatara, po czym jak strzała pomknął w noc.

Wicher, deszcz i gałęzie smagały jego ciało, gdy upojony wolnością biegł na spotkanie nowej przygody.

LUDZIE ZE SZCZYTÓW

Po ucieczce z hyperborejskiej niewoli i dwóch latach złodziejskiego życia w Zamorze, Korynthii i Nemedii, Conan, który skończył właśnie dwadzieścia lat, postanowił rozpocząć bardziej uczciwą egzystencję. Zaciągnął się więc jako najemny żołnierz do służby w armii króla Yildiza Turańskiego. Po przygodach opisanych w „Mieście czaszek”, w nagrodę za usługi oddane córce króla, Zasarze, zostaje wynagrodzony stopniem oficerskim, odpowiadającym randze sierżanta. Zaraz potem wyrusza w Góry Khozgarskie jako członek eskorty posła wysłanego przez króla do niespokojnych, górskich plemion. Wysłannik miał nadzieję, że za pomocą łapówek i gróźb zdoła wyperswadować góralom najazdy i plądrowanie turańskich prowincji. Jednak Khozgarianie okazali się wojowniczymi barbarzyńcami, respektującymi jedynie natychmiastowy i druzgocący atak. Podstępnie napadli na posła, mordując wszystkich poza dwoma żołnierzami. Conanowi i Jamalowi udało się uciec.

Szczupły Turańczyk, którego zakurzona, purpurowa szata i porwane, niegdyś białe spodnie świadczyły o trudach ucieczki, na dany znak ściągnął cugle swojej kaszanki. Potem zwrócił pytający wzrok na swego potężnego przywódcę i zapytał:

— Myślisz, że tu będziemy bezpieczni?

Jego towarzysz był podobnie ubrany, prócz jednego szczegółu: na powiewającym rękawie wełnianej bluzy miał wyhaftowaną złotą szablę — oznakę sierżanta turańskiej jazdy. Zapytany obrzucił Turańczyka groźnym spojrzeniem. Błękitne oczy gorzały pod purpurowym turbanem okalającym szpiczasty hełm. Olbrzym odrzucił na bok materiał chroniący twarz przed kurzem i splunął, zanim odpowiedział:

— Zwierzęta muszą odpocząć.

Ciężko wznoszące się boki dwóch wierzchowców i ich spienione pyski były niemym dowodem potwierdzającym te słowa.

— Ależ, Conanie — zaprotestował Turańczyk — co nas czeka, jeśli te khozgariańskie diabły wciąż nas gonią?

Niespokojnie zerknął na szablę przy pasie i mocniej i zacisnął palce na lancy opartej tyłcem o strzemień. Ciężar podwójnie zakrzywionego łuku i kołczanu pełnego strzał na plecach dodał mu otuchy.

— Niech diabli wezmą tego głupiego posła! — warknął Cymmerianin. — Jamal, trzykrotnie ostrzegałem go przed i tymi zdradzieckimi plemionami, ale on miał głowę tak wypełnioną traktatami handlowymi i szlakami karawan, że nawet nie chciał słuchać. Teraz jego durny łeb wędzi się w chacie wodza, razem z siedmioma głowami naszych towarzyszy. Niech go piekło pochłonie razem z tym głupim porucznikiem, który do tego dopuścił.

— Tak, Conanie, ale co nasz porucznik mógł zrobić? Dowodzenie należało do posła. My jedynie mieliśmy bronić go i słuchać jego poleceń. Gdyby porucznik sprzeciwił się rozkazom posła, nasz kapitan mógłby złamać jego szablę przed oddziałem i zdegradować go. Znasz przecież temperament Orkhana.

— Lepiej być zdegradowanym niż martwym — warknął Conan, patrząc wilkiem na towarzyszącego mu męczyciel — My dwaj mieliśmy szczęście, że uszliśmy z życiem. Słuchaj! — uniósł rękę. — Co to było?

Conan stanął w strzemiionach, a jego błękitne oczy omiotły wąwozy i szczeliny, poszukując źródła zasłyszanego dźwięku. Gdy jego towarzysz wyjął łuk i nałożył strzałę, ręka Conana musnęła rękojeść szabli. Chwilę później barbarzyńca zeskoczył z siodła i niczym szarżujący byk rzucił się w stronę pobliskiej, kamiennej ściany. Za moment z małą zręcznością wdarł się na strome urwisko. Wspiął się w górę z pewnością, jaką dają lata doświadczenia. Dźwignął się nad krawędź skały i rzucił w bok tuż przed tym, jak

Spraque de Camp Lyon - Conan Szermierz

sękaty kij uderzył w miejsce, w którym przed chwilą znajdowała się jego głowa. Poderwał się na kolana i chwycił ramię napastnika, zanim ten zdolał uderzyć powtórnie. Potem wstał, by przyrzeć się swemu jeńcowi.

Okazało się, że trzyma dziewczynę, brudną i rozczochraną, ale jednak dziewczynę. Jej ciało było zgrabne jak posąg wykonany przez królewskiego rzeźbiarza, a twarz śliczna pomimo okrywającego ją brudu. Dziewczyna szlochała w bezsilnej wściekłości, dziko szamocąc się w silnym uścisku.

Głos Conana był szorstki i nieufny:

— Jesteś szpiegiem? Z jakiego szczepu?

Szmaragdowe oczy dziewczyny zapłonęły, gdy krzyknęła wyzywająco:

— Jestem Shanya, córka Shaf Karaza, wodza Khozgari, władcy gór! Mój ojciec nadzieje cię na pal i upiecze nad rodzowym ogniskiem, jeśli ośmielisz się mnie tknąć.

— Wspaniała bajeczka — zaśmiał się Conan. — Córka wodza bez towarzyszących jej wojowników, tutaj? Sama?

— Nikt nie podniesie ręki na Shanyę. Theggirowie i Ghoufagowie kulą się w swoich chatach, gdy Shanya, córka Shaf Karaza, wstępuje na ich ziemie, by polować na górskie kozice. Puść mnie, turański psie!

Wściekła, próbowała się obrócić, ale Conan trzymał jej szczupłe ciało w mocnym uścisku.

— Nie tak szybko, ślicznotko! Potrzebujemy jakiegoś znacznego zakładnika, by bezpiecznie wrócić do Samary. Będziesz jechała przez całą drogę w siodle przede mną. Jeśli zaś nie przestaniesz się rzucać, zawsze można cię zwięzać i zakneblować.

Uśmiechnął się z całkowitą obojętnością w odpowiedzi na jej wściekłość.

— Psie! — krzyknęła. — Teraz zrobię, jak mi każesz. Ale pilnuj się, byś w przyszłości nie wpadł w ręce Khozgari!

— Byliśmy otoczeni przez ludzi z twojego szczepu niecałe dwie godziny temu — burknął Conan. — Wasi łucznicy nie potrafią trafić nawet w ścianę własnej chaty, a obecny tutaj Jamal przeszył swoimi strzałami co najmniej dwunastu. Dość tego gadania. Ruszajmy stąd i to szybko. Zamknij teraz swoje śliczne usteczka, bo nie tak trudno będzie je zakneblować.

Usta dziewczyny krzywiły się w milczącym gniewie, gdy konie kroczyły ostrożnie, wybierając drogę między kamieniami i skałami.

— Jaką drogę zamierzasz wybrać, Conanie? — Głos Jamala był niespokojny.

— Nie możemy wracać tą samą drogą. Nie powierzyłbym swojego życia jedynie wierze w zakładnika.

Gdybyśmy wpadli w zasadzkę, rozgorączkowani bitwą wojownicy mogliby w ogóle nie zwrócić na nią uwagi. Pojedziemy prosto na północ drogą z Gamry i pokonamy Mgliste Góry przez Przełęcz Bhambar. To powinno skrócić nam podróż do Samary o jakieś trzy dni.

Dziewczyna obróciła się, by spojrzeć na niego. Jej twarz była biała z przerażenia.

— Ty głupcze! Tak nisko cenisz swoje życie, by próbować przejść przez Mgliste Góry? One są nawiedzane przez Ludzi ze Szczytów. Nie ma takiego, który by tam zawędrował i wrócił. Ci ludzie zaledwie raz wyłonili się z mgieł w czasie panowania Angharzeba z Turanu. To było wtedy, gdy ów król zapragnął odzyskać ziemie, na których znajduje się starożytny turański cmentarz. Ludzie ze Szczytów pokonali całą jego armię, używając magii i potworów. Nie idź tam.

Głos Conana pozostał obojętny:

— Te wszystkie monstra i demony, których nikt nie widział, żyją tylko w opowieściach starych kobiet straszących wnuki. To jest najkrótsza i najbezpieczniejsza droga! — wbił ostrogi w boki wierzchowca. Potem tylko stukot kopyt o skały mącił ciszę, gdy sunęli wzdłuż spiętrzonych urwisk.

— Te kłęby mgły są tak gęste, jak kobyłe mleko! — wykrzyknął Jamal dwa dni później.

Kłębiąca się mgła była zimna i nieprzenikniona. Wędrowcy widzieli drogę ledwo na dwa kroki przed sobą. 1 Konie szły powoli bok przy boku, stykając się czasami, jakby chciały sprawdzić, czy nie są same. Gęstość mlecznej mgły była zmienna. Biel falowała i burzyła się, odślaniając od czasu do czasu ponurą ścianę gór.

Wszystkie zmysły Conana były wyostrome. Jedną ręką trzymał nagą szablę, drugą mocno ścisnął Shanyę. Z powodu mgły widział niewiele i wykorzystywał każde przejaśnienie, by rozejrzeć się po okolicy.

Zatrzymał ich nagły, rozpaczliwy krzyk dziewczyny. Drżącym palcem wskazała jakiś punkt, kuląc się w siodle i przywierając do masywnej piersi Conana.

— Widziałam, jak coś się poruszyło! Dwukrotnie! To nie był człowiek!

Conan uważnie zmierzył wzrokiem kształt, który na moment wynurzył się spod całunu mgły. Cymmerianin uniósł się w siodle, potem opadł i pognał konia do przodu, mówiąc:

— To nie jest coś, czego córka Khozgari powinna się lękać.

Jednak kształt na poboczu drogi budził niepokój. Był to ludzki szkielet wiszący między dwoma palami i poruszany podmuchami wiatru. Kości pokrywały powiewające szmaty, kawałki ścięgien i wyschniętej skóry. Czaszka, oddzielona od karku i rozłupana niczym kokosowy orzech, leżała na ziemi. We mgle zabrzmiał dźwięk. Zaczął się od demonicznego śmiechu, który rosnąc i opadając, zmienił się w gniewny świergot, a zakończył wyjąłym lamentem.

— To... to demony góry przyzywają nas! — wrzasnęła Shanya. — Nim nadejdzie wieczór, nasze ogryzione

Sprague de Camp Lyon - Conan Szermierz

kości spoczną w ich kamiennych grobach. Och, ratuj mnie! Nie chcę umierać!

Conan poczuł, jak włosy jeżą mu się na karku, a wzdłuż kręgosłupa, niczym mała jaszczurka, przebiega chłód. Wzruszając barczystymi ramionami przegnał lęk przed nieznanym. — Jesteśmy tutaj i musimy tedy przejść. Niech tylko to coś pojawi się w zasięgu mojego ostrza, a zaśpiewa na inną nutę. Gdy konie ruszyły naprzód, cichy syk sprawił, że Conan obejrzał się za siebie. W tej samej chwili poczuł szarpnięcie swego jeńca. Z tyłu rozległ się potworny huk. Krzyżąca dziewczyna została odciągnięta na końcu łąsa i zniknęła we mgle. Równocześnie wierzchowiec stanął dęba, zrzucając barbarzyńcę na ziemię. Zanim Cymmerianin zdołał się podnieść, stukot kopyt zamarł w oddali.

W pobliżu leżał Jamal i jego koń, obaj zmiażdżeni gigantycznym głazem. Ręka martwego mężczyzny, która wystawała spod szarego kamienia, wciąż jeszcze ścisnęła łuk i kołczan ze strzałami. Conan porwał broń Jamala nie tracąc czasu na lamentowanie nad martwym towarzyszem. Warcząc niczym wściekły tygrys, zarzucił łuk na ramię, zatknął kołczan za pas i chwycił szablę.

Gęsta mgła zawirowała nad nim i poczuł pętlę opadającą na jego głowę. Poruszając się z prędkością błyskawicy, uchylił się, wolną ręką złapał sznur i wrzasnął skrzekliwie jak duszony człowiek. Za moment skoczył w górę, pociągnięty przez siłę, której źródła nie znał. W nozdrzach czuł wilgotną mgłę.

Gdy dotarł na skraj urwiska, pochwyciły go silne ręce. Postacie, które widział we mgle, zdawały się tylko cieniami. Wyszarpnął się z rąk napastników i pchnął w śmiertelnej ciszy w najbliższy cień. Miękki opór i krzyk dowiodły, że szabla zatopiła się w czymś ciele. Potem cienie otoczyły go: Stając na skraju przepaści, Cymmerianin zatoczył swoim wielkim ostrzem świszczące półkole.

Conan jeszcze nigdy nie walczył w tak niesamowitych okolicznościach. Jego wrogowie znikali w wirującej mgle, by po chwili pojawiać się znowu i znowu, niczym upiory. Ich ostrza wyskakiwały z oparów jak języki węży, ale wkrótce Cymmerianin przekonał się, że ich właściciele są kiepskimi szermierzami. Teraz, z większą pewnością siebie, zaczął lżyć milczących napastników:

— Czas, byście nauczyli się czegoś o walce na miecze, szakale z mgły! Urządzenie pułapek na samotnych wędrowców widać nie wpływa dobrze na tę umiejętność. Dam wam lekcję. Sztych — to jest to! Półkoliste cięcie — proszę! Sztych z dołu w gardło — macie!

Jego słowom towarzyszył pokaz, w wyniku którego kolejne postacie padały z charkotem lub wrzaskiem. Cymmerianin, który początkowo walczył z zimnym opanowaniem, nagle rzucił się na napastników w szybkiej i morderczej szarży. Dwie następne postacie poczuły przenikające je żelazo, po czym ich wnętrzości rozlały się na skałę. Nieoczekiwanie pozostali przeciwnicy rozplynęli się we mgle. Conan otarł pot z czoła rękawem kaftana. Pochylił się i spojrzął na najbliższe zwłoki. Mruknął zdziwiony. To, co leżało przed nim, nie było człowiekiem. Istota ta miała szerokie nozdrza i zmętniałe już oczy. Niskie czoło i cofnięta szczęka były takie jak u małpy, jednak postać nie była podobna do żadnej z małp, które Conan widział w lasach u wybrzeży morza Vilayet. Ta była całkowicie bezwłosa. Jej jedynym strojem był gruby sznur owinięty w pasie.

Conan zamyślił się. Wielkie małpy z okolic Vilayet nigdy nie polowały w grupach i nie posiadały inteligencji wystarczającej, by używać broni czy narzędzi. Wyjątkiem były te, które przyuczono do występów na dworze królewskim w Aghrapur. Z kolei bronią tej istoty był nie jakiś prymitywny pugiń, ale wykuta z najlepszej turańskiej stali, ostra jak brzytwa szabla. Conan poczuł emanujący od martwej małpy piżmowy zapach. Jego nozdrza rozszerzyły się. Postanowił wywęszyć uciekających i podążyć ich tropem przez tę mgłę. Muszę uratować tę głupią dziewczuchę — mruknął do siebie.

— Może być córką mojego wroga, ale nie mogę zostawić kobiety w rękach tych bezwłosych małp.

Niczym polujący lampart ruszył za wonią piżma. Gdy mgła zaczęła rzednąć, Cymmerianin zdwoił ostrożność. Trop zapachu skręcał i kołował, jakby panika odebrała małpom poczucie kierunku. Conan uśmiechnął się ponuro. Lepiej było być myśliwym niż ofiarą.

Tu i ówdzie, obok ścieżki wyrastały potężne kopce zgrubnie obrobionych kamieni. Był to, odgadł Conan, ów starożytny turański cmentarz, o którym wspominała Shanya. Ani czas, ani małpy nie zdołały zniszczyć kurhanów. Cymmerianin ostrożnie obchodził każdy z nich. Czynił tak nie tylko z obawy przed możliwą zasadzką, ale również pragnął oddać cześć tym, którzy tutaj spoczywali.

Gdy dotarł na szczyt, z mgły pozostały jedynie rzadkie strzępki. Tutaj ścieżka doprowadziła Conana na szczyt kamiennej grani. Po jej obu stronach ziała zawrotna przepaść. Przejście kończyło się na sąsiednim szczytce, pod osoblwią, spiralną wieżą, która wila się w górę niczym kamienny wąż. Na tle ponurych, okolicznych gór wyglądała niczym symbol czystego zła.

Conan schował się za jednym z kurhanów i rozejrzał po okolicy. Nie dostrzegł żadnych śladów życia.

Shanya ocknęła się. Leżała na łożu przykrytym szorstką, czarną tkaniną. Nie krępowwały jej więzy, ale była całkowicie pozbawiona ubrania. Usiadła, rozglądając się dokoła, i wzdrygnęła się ze wstrętem na widok tego, co zobaczyła.

Na drewnianym, dziwnie rzeźbionym fotelu siedział mężczyzna różniący się od wszystkich dotychczas przez nią widzianych. Jego popielata twarz o martwych rysach zdawała się wyrzeźbiona z kredy. Oczy miał całkowicie czarne bez śladu białek, a jego głowa była zupełnie pozbawiona owłosienia. Ubrany był w kaftan z grubej, czarnej tkaniny, a jego ręce skrywały szerokie rękawy.

Sprague de Camp Lyon - Conan Szermierz

— Minęło wiele długich lat od czasu, gdy piękna kobieta przybyła po raz ostatni, by zamieszkać w Shangarze — powiedział syczącym szeptem. — Żadna świeża krew nie zasiłła rasy Ludzi ze Szczytów co najmniej od dwunastu lat. Nadajesz się na żonę dla mnie i mego syna.

Przerażenie rozpałiło płomień gniewu w piersi dumnej dziewczyny.

— Myślisz, że córka wielkiego wodza zechce poślubić kogoś z twojego plugawego szczepu? Wolałabym raczej rzucić się w najbliższą przepaść, niż zamieszkać w twoim domu! Uwolnij mnie, inaczej te ściany zadrżą od ciosów tysiąca khozgariańskich włóczyń!

Drwiący uśmiech rozdzielił usta bladej twarzy.

— Jesteś uparta i zuchwała, dziewczyno! Żadne włócznie nie przedostaną się przez Mglisty Bhambar. Żaden śmiertelnik nie ośmielił się wkroczyć w te góry. Oprzytomnij, dziewczyno! Jeżeli będziesz trwała w uporze, to nie skok ze skraju urwiska przypieczeruje twoje przeznaczenie. Zamiast tego twoje ciało stanie się pokarmem wielce starożytnego mieszkańca tej zapomnianej krainy. Tego, który został zmuszony służyć Ludziom ze Szczytów. On jest tym, który pokonał turańskiego króla usiłującego podbić nasz kraj. W owym czasie byliśmy liczniejsi. Teraz jest nas niewielu. W ciągu stuleci z licznego niegdyś plemienia zostało nas zaledwie tuzin osób. Lecz górskie mały są wciąż naszymi wiernymi sługami. Dzięki nim nie musimy lękać się wrogów. Poza tym Odwieczny gotów jest uderzyć w każdej chwili. Spójrz w jego oblicze, dziewczyno. Potem zdecydujesz o swoim przeznaczeniu.

Wiekowy mężczyzna powstał, odrzucił fałdy kaftana i klasnął szponiastymi dłońmi. W komnacie pojawili się dwaj inni mężczyźni o bladych twarzach. Skłonili się i napanili na pierścienie zamocowane w kamiennych ścianach. Dwie połówki muru łagodnie potoczyły się do tyłu, ukazując komorę wypełnioną szarą mgłą, która niczym falujący dym rozlewała się po komnacie, odsłaniając chwilami zarysy ogromnego, nieruchomego kształtu.

Gdy mgła rozwiała się, dziewczyna zobaczyła Odwiecznego w całej okazałości. Z jej piersi wyrwał się przerażający krzyk i zemdląca. Potem ciężkie drzwi zamknęły się.

Conan skryty za grobowym kopcem czekał niecierpliwie. Przez długi czas w pobliżu ponurej wieży nie dało się dostrzec śladu życia. Gdyby nie wyczuwał smrodu piżmowych małą, mógłby sądzić, że jest opustoszała. Niespokojnie gładził rękojeść szabli, podczas gdy druga ręka obejmowała łuk.

Po jakimś czasie na niewielkim balkonie pojawiła się postać, która rozejrzała się po okolicy. Z tak wielkiej odległości Conan nie mógł dostrzec szczegółów, jednak zarys postaci był niewątpliwie ludzki. Usta Conana wykrzywiły się w drapieżnym półuśmiechu.

Płynnym ruchem chwycił łuk i założył strzałę. Chwilę później postać na balkonie wyrzuciła w górę ręce i niczym szmaciana lalka przewinęła się przez balustradę i runęła w przepaść. Conan nałożył następną strzałę i zamarł.

Tym razem nie musiał długo czekać. Kamienne wrota uchyliły się powoli i na zewnątrz wyszła grupa małą. Ścieżka prowadząca od bramy była tak wąska, że musiały iść gęsiego. Conan strzelił jeszcze raz, a potem znowu i znowu. Bezlitosne strzały trafiały kolejne mały i strącały je w ciemną przepaść. Jednak z wieży wychodzili wciąż nowi przeciwnicy.

Conan wystrzelił ostatnią strzałę i odrzucił łuk. Uniósł miecz i pobiegł na spotkanie pozostałych dwóch małą broniących wąskiego przejścia. Uchylił się przed pierwszym pchnięciem i ciałem na odlew płatając ciało i kości. Pozostała przy życiu mała okazała się szybka. Conan miał ledwie czas na wyszarpięcie z ofiary zbroczonego krwi ostrza i sparowanie zdradliwego ciosu wymierzonego w jego głowę. Zachwiał się pod siłą potężnego uderzenia i upadł na kolana. Mimo woli spojrzął w przyprawiającą o zawrót głowy przepaść, która wabiła go do siebie. Z przerażenia krew stężeła mu w żyłach. Tępy umysł małą zdołał ocenić sytuację i stworzenie skoczyło, by zmieść Cymmerianina w bezdenną otchłań.

Conan, w dalszym ciągu na kolanach, wykonał zwodniczy cios i wyprowadził cięcie tak szybkie, że ludzkie oko nie mogłoby go uchwycić. Ostrze rozpruło brzuch przeciwnika. Mała znieruchomiła na chwilę, zatoczyła się i runęła w mroczną głębię. Jej wrzask długo odbijał się od skalnych ścian. Zwinny jak kozica Conan chyżo pokonał niebezpieczne przejście i dotarł do otwartych wrót. Coś świsnęło obok jego głowy. Odruchowo skoczył w bok i błyskawicznie pchnął w odzianą w czerń postać, która czała się za progiem. Po stłumionym charkocie nastąpił brzęk padającej na kamienie broni.

Conan pochylił się, by spojrzeć na leżące u swych stóp ciało. Wysoki, wychudzony mężczyzna o dziwnych rysach patrzył na niego niewidzącymi oczami. Conan zauważył, że twarz nieboszczyka okrywa osobliwa maska z jakiejś półprzezroczystej błony. Cymmerianin zerwał ją i obejrzał uważnie. Nigdy dotąd nie widział tak osobliwego materiału. Bez namysłu zatknął maskę za szarfę i wszedł w głąb korytarza. Było pusto i cicho. Kamienna ściana, gdy przyłożył do niej rękę, okazała się wilgotna, a lekkie powietrze przypominało zimną, poranną mgłę. Niespodziewanie korytarz zakończył się wielką komnatą i Conan stanął oko w oko z obcymi.

Dziesięć czarno ubranych postaci o trupich twarzach stało przed nim nieruchomo. Wśród nich Cymmerianin dostrzegł dwie kobiety, których bezbarwne włosy okalały kredowobiałe twarze. Każda z postaci trzymała zakrzywiony nóż o żąbkowanym ostrzu.

Spraque de Camp Lyon - Conan Szermierz

Za nimi, na udrapowanym czarnym materiale katafalku spoczywało nagie ciało dziewczyny, w której Conan rozpoznał Shanyę. Leżała nieruchomo, oczy miała przykryte sinymi powiekami. Jedyne pełne piersi wznosiły się i opadały w rytm równego oddechu. Cymmerianin domyślił się, że jest zemdlona albo śpi pod wpływem narkotycznego wywaru.

Obserwując widmową grupę, mocniej chwycił rękojeść szabli. W ich smolistoczarnych oczach zapłonęła mieszanina nienawiści i strachu.

Wysoki, łysy mężczyzna zaczął mówić. Chociaż jego głos zdawał się jedynie szeptem niesionym przez wiatr, brzmiał z czystością dzwonu:

— Co cię tu przywiodło? Nie jesteś człowiekiem gór ani Turańczykiem, chociaż nosisz turański strój.

— Jestem Conan z Cymmerii. Ta dziewczyna jest moim jeńcem. Przybyłem tutaj, by ją zabrać.

— Cymmeria...? — mężczyzna wzruszył ramionami. — Chcesz zabrać dziewczynę? Nie żartuj! — wymruczał dziwny starzec.

— Gdybyś wybrał się kiedyś na Północ, wiedziałbyś, że nie żartuję. Jesteśmy bitnym narodem. Z połową mojego plemienia przy boku, mógłbym zostać władcą Turanu — warknął Conan.

— Łżesz! — wyszczał stary mężczyzna. — Kraina północnych wichrów leży na skraju świata, a nad nią rozciąga się bezgwiazdna, wieczna noc. Ta dziewczyna jest nasza! Da naszej rasie świeżą krew, a z jej młodego łona wyjdą silni synowie. Ty zaś, który śmiałeś wdrzeć się w krainę Ludzi ze Szczytów, napełnisz żołądek naszego starożytnego obrońcy.

— Jeżeli umrę, to przede mną wejdiesz do piekła — warknął Cymmerianin, wznosząc szablę.

W odpowiedzi posępny starzec uderzył w srebrny gong, którego dźwięk odbił się upiornym echem. Dwaj mężczyźni bez słowa podeszli do ściany i zaczęli ją odsuwać. Z powstałego otworu, niczym bukiet lillii wykwitły gęste, białe opary. Wijąc się leniwie popęzły ku środkowi komnaty.

Przedstawiciele starożytnej rasy o czarnych oczach jednocześnie podnieśli lewe ręce i przeciągnęli nimi po twarzach. Zanim gęstniejące opary przesłoniły pole widzenia, Conan spostrzegł, że wszyscy przeciwnicy włożyli owe dziwne, półprzeźroczyste maski.

Ulegając nakazowi instynktu samozachowawczego, barbarzyńca wsunął rękę za szarfę, wyszarpnął maskę i założył ją, zanim lepka mgła skryła jego wrogów. Ku zdumieniu Conana maska przywarła do jego czoła, policzków i ust i legła lekko niczym pajęczyna na samych oczach. Rozglądając się po komnacie, stwierdził, że widzi wszystko wyraźnie, jakby kłęby białego dymu nagle przestały istnieć. Jego przeciwnicy ruszyli przekonani, że osłania ich skłębiony tuman. Dwóch z nich było już obok Conana. Zakrzywione ostrze zaświstało we mgle...

To była istna masakra. Niedobitki potężnej niegdyś rasy nie miały szans przeciwstawić się furii żadnego zemsty Cymmerianina. Noże o zębatych ostrzach błyskały bezsilnie, wytrącane wężowymi ruchami szabli. Każdy sztych barbarzyńcy sprawiał, że odziana w czerń postać osuwała się na ziemię. Jego surowy kodeks honorowy podszeptował, by oszczędzić białowłose staruszki, ale gdy wiedźmy rzuciły się na niego w bezrozumnym szale, odpłacił każdej ciosem za cios.

W końcu Cymmerianin został sam, a wokół niego leżało: dziesięć nieruchomych ciał i nadal nieprzytomna dziewczyna. Conan oparł się na szabli i rozejrzał z satysfakcją. Wtem jedno z ciał poruszyło się i uniosło wychudzoną rękę. Starzec, zebrawszy ostatnie resztki opuszczającego go życia, spojrzał na Cymmerianina z wściekłością, a z wykrzywionych bólem ust dobył się szept:

— Barbarzyński psie! Zniszczyłeś naszą rasę. Ale nie będziesz długo cieszyć się zwycięstwem. Odwieczny ogryzie mięso z twych śmierdzących kości i wysieje szpik z ich wnętrza. Daj mi siły, o Odwieczny...

Zafascynowany Conan patrzył, jak chudy mężczyzna z okropnym jękiem podnosi się na kolana, jak walcząc z własnym ciałem czołga się do uchylonej ściany i szponiastą dłonią łapie jeden z uchwyty. Mur z głuchym łoskotem, przypominającym huk gromu, otworzył się szerzej.

Conanowi włosy zjeżyły się na karku, gdy ujrzął niezdarny kształt przyczajony w sąsiedniej komorze. Olbrzymie cielsko wyposażone w liczne odnóża przypominało pajaka. Z osadzonych na słupkach szklistych oczu i rozdziawionej szczęki emanowało czyste zło, z którego ów stwór zrodził się w mrocznych eonach poprzedzających nastanie człowieka.

Cymmerianin opanował przerażenie, rzucił się do przodu i porwał na ręce ciało Shanyi. Tymczasem zakończone szponem odnóże gmerało przy wrotach, by poszerzyć otwór. Conan zarzucił na ramię bezwładną dziewczynę i pomknął długim korytarzem wiodącym do zewnętrznej bramy. Ściagało go charczące posapywanie.

Niedługo potem, gdy pokonał już przejście nad przepaścią, Cymmerianin zaryzykował zerknięcie przez ramię, potwór, biegnący zwinnie na dziesięciu potężnych nogach, dotarł właśnie do środka wąskiej ścieżki. Zasapany barbarzyńca pobiegł pod górę i w końcu znalazł się między dwoma kurhanami. Ostrożnie położył nieprzytomną dziewczynę u stóp jednego z nich, po czym odwrócił się, by stoczyć śmiertelny pojedynek.

Odparł pierwszy atak potwora dzikim cięciem w jedną z pajęczych kończyn, ale szabla pękła na zrogowaciałej skórze. Stwór w pierwszej chwili cofnął się, zaraz jednak ruszył do przodu.

Conan desperacko rozejrzał się szukając jakiejś broni. Jego oczy zatrzymały się na najbliższym kopcu kamieni. Napinając potężne muskuły, dźwignął nad głowę największy z nich i z całych sił cisnął nim w

Sprague de Camp Lyon - Conan Szermierz

przedludzką zjawę, która była już o krok od niego.

Dawno zapomniane czary, chroniące groby zmarłych przed tysiącletnimi turańskimi wodzów, nie straciły swej mocy mającej za zadanie odstraszac potwora, który mieszkał w tych górach w czasach, gdy ludzie byli jeszcze włochatymi małpami. Z okropnym, ścinającym krew w żyłach skrzekiem na wpół sparaliżowane czarem straszdyło szarpnęło się, próbując uwolnić się od przygniatającego je kamienia.

Conan porwał następny głaz i cisnął nim w potwora. Potem spuścił kolejny, który potoczył się w kierunku wierzgającego monstrum, i jeszcze jeden. Wtem podkopana u podstawy kamienna piramida osunęła się i runęła potężną lawiną, zmiatając wielonogiego potwora w przepaść.

Conan drżącą z wysiłku ręką wytarł pot z czoła. Usłyszał za sobą szmer i obrócił się szybko. Oczy Shanyi były otwarte, a jej oszołomione spojrzenie biegło dokoła.

Gdzie jestem? Gdzie jest ten zły człowiek o białej twarzy? — Zadrżała. — On chciał rzucić mnie na pożarcie...

— Rozprawiłem się z tym gniazdem strupieszalnych bandytów — przerwał jej szorstko Conan. — Ich potwora wysłałem z powrotem do otchłani, z której wypelź. Masz szczęście, że przybyłem na czas, by uratować twoją śliczną skórę.

Szmaragdowe oczy Shanyi zapłonęły z gniewu.

— Sama mogłabym ich przechytryć. Mój ojciec pośpieszyłby mi na ratunek.

Conan wzruszył ramionami.

— Nawet gdyby znalazł drogę na szczyt, potwór zrobiłby miazgę z jego wojowników. Jedynie dzięki szczęśliwemu trafowi znalazłem broń, która mogła zabić tego przerośniętego karalucha. Teraz musimy ruszać! Chciałbym dotrzeć do Samary, nim minie siedem dni. A ty nadal jesteś mi potrzebna jako zakładniczka. Chodź!

Shanya popatrzyła na gburowatego barbarzyńcę, którego potężna sylwetka rysowała się na tle nieba. Silne ramię pomogło jej wstać. Zielone oczy złagodniały, usta rozchyliły się, a policzki pokryły rumieńcem, gdy Shanya zdała sobie sprawę ze swej nagości. Po chwili jednak podniosła dumnie głowę i rzekła:

— Pójdę, Conanie, ale nie jako twoja zakładniczka, lecz twój strażnik. Ty uratowałeś mi życie, więc w zamian zapewnię ci bezpieczne przejście przez kraj Khozgari.

Conan wyczuł w jej głosie ciepło, gdy dodała z nikłym uśmiechem:

— To może być ciekawe. Może nauczę się czegoś od barbarzyńcy z Północy... — przeciągnęła kusząco swe szczupłe ciało, zaróżowione przez zachodzące słońce i ujęła jego wyciągniętą dłoń.

Conan popatrzył na nią z zadowoleniem.

— Na Croma, być może warta jesteś paru dni zmarnowanych w tych przeklętych górach!

CIENIE W MROKU

Po służbie w armiach różnych krajów i po okresie piractwa z czarnymi korsarzami na wybrzeżu Kush, Conan przeżywa liczne przygody w murzyńskich królestwach. Wracając na północ, zaciąga się jako żołnierz najpierw w Shem, a potem w małym hyborejskim królestwie Khoraja. Po wypadkach opisanych w „Czarnym Kolosie”, kiedy to pokonuje armie straszliwego Natohka, martwego od dawna czarnoksiężnika, ożywionego za pomocą magii, Conan zostaje wodzem armii Khorai. W tym czasie ma prawie trzydzieści lat. Ale sytuacja komplikuje się. Księżniczka Yasmela, której kochankiem chciał zostać Cymmerianin, jest zbyt zajęta sprawami stanu, by mieć dla niego czas. Jej brat, król Khossus, został zdradziecko pojmany i uwięziony przez wrogięgo władcę Ophiru, przez co Khoraja znalazła się w niebezpieczeństwie...

Na ulicy Czarnoksiężników w shemickim mieście Eruk adepci sztuk tajemnych chowali swoje przybory i zamykali kramy. Jasnowidze zawijali kryształowe kule w jagnięcą wełnę. Piromanci gasili płomienie, w których widzieli swoje wizje. Czarnoksiężnicy starannie ścierali pentagramy.

Astrolog Rhazes również zajęty był składaniem swego straganu z amuletami i horoskopami, gdy zbliżył się do niego Shemita w karminowym kaftanie i białym turbanie.

— Jeszcze nie zamykaj, przyjacielu Rhazesie! Książę pragnie, bym przed twoim wyjazdem do Khorai przyniósł mu twoją ostatnią przepowiednię.

Rhazes, ogromny, gruby mężczyzna, chrząknął gniewnie, lecz szybko skrył swe prawdziwe uczucia za uprzejmym uśmiechem.

— Zajdź, zajdź, wielce szanowny Dathanie. Czegóż życzy sobie jego wysokość o tak późnej godzinie?

— Chciałby wiedzieć, co gwiazdy mówią o losach sąsiednich władców i ich królestw.

— Przyniosłeś należną opłatę w srebrze?

— Oczywiście, dobry panie. Książę wielce ceni sobie twe przepowiednie i stąd niechętnie cię traci.

— Skoro tak niechętnie, dlaczego nie uczynił czegoś, by poskromić zawiść moich eruckich konkurentów i powściągnąć ich ataki wymierzone w mą skromną osobę? Ale jest już na to za późno. O świcie opuszczam Eruk.

— Czy nic nie skłoni cię do zmiany zdania?

Spraque de Camp Lyon - Conan Szermierz

— Nic, w Khorai bowiem czekają mnie większe zyski od tych, jakie mogłoby mi dać to małe miasto–państwo.

Dathan zmarszczył brwi.

— Dziwne. Podróżnicy mówią, że Khoraja jest osłabiona przez wojnę z Natohkiem, oby smażył się w piekle. Rhazes zignorował te słowa.

— Teraz poradzmy się gwiazd. Proszę, siadaj.

Dathan opadł na krzesło. Rhazes postawił przed nim szkatułę z brązu z wyciętymi szczelinami i tarczami wystającymi z pionowych ścian. Przez otwory można było zobaczyć znajdujące się wewnątrz liczne, mosiężne koła.

Astrolog nastawił kilka tarcz, po czym powoli, dwanaście razy przekręcił srebrną korbkę przymocowaną do sterczącego z boku trzpienia. Obserwował tarcze bacznie, póki nie znieruchomiały. Wreszcie, nie spuszczać z nich oczu, przemówił:

— Widzę złowieszcze zmiany. Gwiazda Mitry wkrótce zderzy się ze wschodzącą gwiazdą Nergala. Tak, wielkie zmiany zajdą w Khorai. Widzę trzy osoby z królewskich rodów rządzących teraz albo w przeszłości, albo w nadchodzących czasach. Jedną z nich jest piękna kobieta złapana w sieć niby — pajęczą. Druga to młody człowiek otoczony murami z masywnego kamienia. Trzecia osoba to potężny mężczyzna, starszy niż tamci, ale nadal młody, o licznych i krwawych umiejętnościach. Kobieta nakłania go, by przyłączył się do niej w sieci, ale on niszczy ją całkowicie. Tymczasem młodzieniec na próżno uderza pięściami o kamienne ściany. Wokół nich dziwne kształty poruszają się po astralnej płaszczyźnie. Czarownice jeżdżą na obłokach w świetle księżyca, a duchy topielców wypływają z cuchnących bagien. Wielka Dżdżownica draży tunele pod ziemią, szukając grobów królów... — Rhazes potrząsnął głową, wyrывая się z transu. — Powiedz tedy swemu panu, że gwiazdy zapowiadają zmiany w Khorai i w Koth. Teraz wybac mi. Muszę zakończyć przygotowania do podróży. Żegnaj i niech twoje gwiazdy okażą się pomyślne!

Przez korytarz królewskiego pałacu w Khorai, po marmurowej posadzce pod sklepieniami i kopułami z lapis–lazuli, kroczył Conan Cymmerianin. Dudniąc obcasami i podzwaniając ostrogami dotarł do prywatnych apartamentów Yasmeli — księżniczki regentki Khorai.

— Vatesa! — ryknął. — Gdzie twoja pani? Ciemnooka kobieta rozsunęła draperie.

— Panie Conanie — rzekła — księżniczka przygotowuje się na przyjęcie posła z Shumiru i nie może udzielić ci audiencji.

— Do diabła z postem z Shumiru! Nie widziałem księżniczki Yasmeli od ostatniego nowiu i ona doskonale o tym wie. Jeśli znajduje czas dla jakiegoś wygadanego złodzieja koni z byle państwa — miasta, to może znajdzie go również dla mnie!

— Jakież kłopoty z armią?

— Niewielkie. Większość wichrzycieli poległa na przełęczu Shamla. Teraz jedynie słyszę zwykle w czasie pokój — narzekania na niski żołąd i nierychłe awansy. Ale chcę zobaczyć się z twoją panią, na Croma!

— Vatesa! — rozległ się miękki głos. — Pozwól mu wejść. Poseł może chwilę poczekać.

Conan wszedł do komnaty, w której, przed lustrem, we; wspaniałym królewskim stroju siedziała księżniczka Yasmela. Dwie pokojówki pomagały jej w przygotowaniach. Jedna barwiła różem jej miękkie policzki, druga zaś wpinała błyszczący diadem w czarne jak noc włosy.

Kiedy służki zniknęły, księżniczka wstała i popatrzyła na wielkiego Cymmerianina. Conan wyciągnął ku niej krępkie ramiona, ale Yasmela cofnęła się o krok unosząc ręce w obronnym geście.

— Nie teraz, ukochany! — wydyszała. — Pognieciesz mi paradną szatę.

Przybory do krzesania ognia

— Bogowie, kobieto! — burknął Conan. — Kiedyż będę miał cię dla siebie? Wiedz, że wolę cię taką, jaką jesteś. Bez tych fatałaszaków.

— Drogi Conanie, powtórzę to, co już raz ci mówiłam.

Bardzo cię kocham, ale należę do ludu Khorai. Moi wrogowie czekają jak sępy, by wykorzystać mój najmniejszy błąd. To, na co poważyliśmy się w ruinach świątyni, było głupie. Gdybym oddała ci się raz jeszcze, wieści o tym by się rozniosły, wtedy tron mógłby zadrzeć w posadach. Co gorsza, mogłabym powić twoje dziecko. Poza tym, jestem tak zajęta sprawami stanu, że czuję się zbyt zmęczona nawet na miłość.

— W takim razie pójdz ze mną przed oblicze najwyższego kapłana Ishtar i pozwól, by nas połączył.

Yasmela westchnęła i potrząsnęła głową.

— To niemożliwe, ukochany, dopóki jestem regentką. Gdyby mój brat był wolny, można by coś wymyślić, choć małżeństwo z cudzoziemcem jest sprzeczne z naszym obyczajem.

— Chodzi ci o to, że gdybym uwolnił króla Khossusa z lochów Moranthesa, on mógłby znieść te błazeńskie zakazy, które rządzą twoim życiem i trzymają mnie z daleka od ciebie?

Yasmela rozłożyła ręce w bezradnym geście.

— Bez wątpienia król uwolniłby mnie od obowiązków regentki. Ale czy pozwoliłby na nasz związek? Nie wiem. Myślę, że potrafiłabym go przekonać.

— A królestwo nie może zapłacić żądanego przez Moranthesa okupu? — zapytał Conan.

Spraque de Camp Lyon - Conan Szermierz

— Nie. Przed wojną z Natohkiem zebraliśmy żadaną sumę, ale później Ophir podniósł cenę, a nasz skarbiec świeci pustkami. I teraz lękam się, że Moranthes sprzeda mego brata królowi Koth. Ach, gdybyśmy mieli czarnoksiężnika, który potrafiłby czarami wydostać biednego Khossusa z jego celi! Lecz muszę już iść, ukochany. Punktualność zawsze była grzecznością królów, a ja muszę podtrzymywać tradycję swego domu — Yasmela potrząsnęła małym, srebrnym dzwonkiem i dwie pokojówki wróciły, by dokończyć przygotowania.

Conan skłonił się i ruszył do wyjścia, lecz przy drzwiach przystanął jeszcze na chwilę i powiedział:

— Księżniczko, twoje słowa podsunęły mi pewien pomysł.

— Jaki, mój generale?

— Powiem ci, gdy będziesz miała czas, by wysłuchać. A teraz żegnam.

Kanclerz Taures odgarnął białe włosy znad czoła pomarszczonego przez liczne lata trosk. Popatrzył bacznie na Conana, który siedział po drugiej stronie jego ozdobnego biurka.

— Pytasz mnie, co by się stało, gdyby Khossus umarł? Wtedy Rada wybrałaby jego następcę. Skoro nie ma prawowitego dziedzica, prawdopodobnie władczynią zostałaby jego siostra. Księżniczka Yasmela jest sumienna i cieszy się miłością ludu.

— A gdyby utraciła honor? — zapytał Conan.

— Sukcesja przesłaby na jej najbliższego krewnego, wuja Bardesa. Jeśli, mój drogi Conanie, myślisz o przejęciu korony dla siebie, to zapomnij o tym. My, Khorajowie, jesteśmy zamkniętym narodem. Nikt nie uznałby cudzoziemca na tronie. Nie chcę cię obrazić. Po prostu stwierdzam fakt.

Conan ruchem dłoni przerwał usprawiedliwienia Taurusa.

— Lubię uczciwych ludzi. Ale co by było, gdyby na tronie zasiadł jakiś głupiec?

— Lepszy jeden głupiec, na którego wszyscy się godzą, niż dwaj utalentowani książęta, którzy pustoszą kraj w walce o władzę. Ale chyba nie przyszedłeś tutaj po to, by dyskutować o sukcesji, lecz aby przedstawić jakąś propozycję, nieprawdaż?

— Pomyślałem, że gdybym dostał się potajemnie do Ophiru i uwolnił Khossusa, królestwo wielce by na tym zyskało, zgadza się?

Chociaż Taurus był doświadczonego mężem stanu, szeroko otworzył oczy.

— Zdumiewające, że słyszę to od ciebie! — zawołał. — Nie dalej jak parę dni temu pewien wróżbita poruszył ten sam temat. Gwiazdy przepowiadają, mówił, że Conan mógłby pomyślnie podjąć się takiej misji. Nie mówił nic o magii, więc zlekceważyłem tę sprawę. Ale być może przedsięwzięcie to mogłoby się dobrze zakończyć.

— Co to był za mag? — zapytał zdziwiony Conan.

— Rhazes Korynthiańczyk, niedawno przybyły z Eruk.

— Nie znam go — rzekł Conan. — Coś, co powiedziała księżniczka, podsunęło mi pewien pomysł.

Taurus popatrzył przenikliwie na barbarzyńskiego generała. Słyszał pogłoski o namiętności istniejącej pomiędzy Conanem a księżniczką, ale uznał, że lepiej nie wnikać w te sprawy. Myśl o związku uwielbianej księżniczki z nieokrzesanym barbarzyńskim wojownikiem przyprowadziła Taurusa o dreszcze. Jednakże, pomimo dumy wynikającej z własnej pozycji i pochodzenia, próbował nie żywić uprzedzeń do zbawcy Khorai.

— Uratowanie króla może okazać się płonną nadzieją, a jednak musimy spróbować — oznajmił nie spuszczać oczu z Conana. — Skoro nie możemy zapłacić Moranthesowi żadanego okupu, obawiam się, że wyda on naszego młodego króla Strabonusowi z Koth, który zaproponował Ophirowi korzystny traktat. Gdy Kothyczyk dostanie Khossusa w swoje szpony, będzie go torturował dopóty, dopóki nie uzyska zrzeczenia się tronu na swoją korzyść, co uczyni go władcą naszego kraju. Będziemy walczyć, z pewnością, ale koniec będzie gorzki.

— Pokonaliśmy armię Natohka — zauważył Conan.

— Tak, dzięki tobie. Ale wojsko Strabonusa w przeciwieństwie do hord Natohka jest dobrze wyszkolone i zdyscyplinowane.

— A jeśli uwolnię króla, jaką otrzymam nagrodę?

Taurus uśmiechnął się krzywo.

— Zmierzasz prosto do celu, generale, prawda? A czy przypadkiem nie łudzisz się, że nadal będziesz cieszył się względami księżniczki, gdy jej brat zasiądzie na tronie?

— A jeśli tak? — warknął Conan.

— Bez obrazy, bez obrazy. Ale czyż złoto nie byłoby dla ciebie wystarczającą nagrodą?

— Nie. Jeśli mam zyskać szacunek twych wyperfumowanych paniątek, muszę domagać się czegoś więcej niż pieniądze. Skoro jednak wspominałeś o złocie, zgodzę się na połowę sumy, którą ty zaproponowałeś Moranthesowi, zanim on podwyższył cenę uwolnienia króla.

Z kimś innym Taurus mógłby się targować, lecz znał spryt Conana wystarczająco dobrze, by nie łudzić się, że mógłby wygrać z nim pojedynek o cenę. Nigdy nie można było przewidzieć reakcji tego nieokiełznanego barbarzyńcy. Conan mógłby ryknąć śmiechem albo wpaść w gniew, wpaść za drzwi i opuścić Khoraję w potrzebie.

— Dobrze — powiedział Taurus. — Przynajmniej pieniądze zostaną w królestwie. Spotkam się z Rhazesem

Spraque de Camp Lyon - Conan Szermierz

i zaplanujemy twoją wyprawę.

Dwa dni później Conan szedł przez wielki gabinet w stronę Yasmeli, Taurusa i jeszcze kogoś — wielkiego, tęgiego mężczyzny o sennym wyrazie twarzy, odzianego w luźne szaty. Tuż za Conanem podążał niski, chudy mężczyzna w poszarpanym ubraniu.

— Bądź pozdrowiona, księżniczko! — zawołał Conan. — I ty, kanclerzu. Tobie również życzę dobrego dnia, kimkolwiek jesteś.

Taurus chrząknął.

— Generale Conanie, przedstawiam ci mistrza Rhazesa z Limnae, wybitnego astrologa. A kim jest panicz, który ci towarzyszy?

Conan wybuchnął śmiechem.

— Wiedźcie, przyjaciele, że to nie panicz, ale Fronto, najzręczniejszy złodziej w waszym królestwie. Minionej nocy, gdy wszyscy uczciwi poddani spali, znalazłem go w pewnej cuchnącej speluncie.

Fronto skłonił się głęboko, podczas gdy Taurus usilnie starał się zdławić uczucie niechęci.

— Złodziej? — powtórzył kanclerz. — A po co ci taki?

— Sam niegdyś byłem złodziejem, tedy znam nieco złodziejskie sposoby — rzekł spokojnie Conan. — Jednakże gdy parąłem się tym rzemiosłem, nigdy nie nauczyłem się sztuki otwierania zamków. Moje palce są zbyt wielkie i niezdarne. Tymczasem do naszych celów możemy potrzebować włamywacza, a nie ma nikogo zręczniejszego od Fronta. Potwierdzili to wszyscy znani mi złodzieje.

— Masz wiele zdumiewające znajomości — powiedział sucho Taurus. — Ale czy naprawdę chcesz zawierzyć komuś takiemu?

Conan wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

— Fronto ma własne powody, by nam pomóc. Powiedz im, Fronto.

Złodziej odezwał się po raz pierwszy. Mówił z miękkim ophirskim akcentem:

— Wiedźcie, szlachetni panowie i pani, że mam własny rachunek do wyrównania z królem Ophiru Moranthesem. Nie jestem szlachcicem, ale mimo to mam powody, by być dumnym ze swego pochodzenia. Jestem jedynym synem Hermiona, w swoim czasie najślawniejszego architekta Ophiru.

Kilka lat temu, kiedy Moranthes, wtedy jeszcze podrostek, zasiadł na tronie, zapragnął wznieść nowy, większy pałac w lanthe. Do tego zadania wynajął mego ojca. Król zażądał, by z wnętrza pałacu poza mury miasta wychodziło tajemne przejście, na wypadek, gdyby powstanie ludności lub zdobycie stolicy przez wrogów zmusiło go do ucieczki.

Po ukończeniu budowy król rozkazał zabić budowniczych tajnego przejścia, by nikt nie mógł zdradzić sekretu. Mojego ojca nie zabito. Litościwy Moranthes kazał go jedynie oślepić, wyrwać mu język i obciąć obie dłonie.

Mój ojciec zaledwie o miesiąc przeżył ów akt łaski. Zanim jednak go okaleczono, przeczuwając nieszczęście, zdradził mi tajemnicę tunelu, którym mogę wprowadzić generała Conana do pałacu. Przejście wiedzie do lochów, a ja potrafię otworzyć każde drzwi, wobec tego możemy zaryzykować uwolnienie króla.

— A co, mój dobry złodzieju, chciałbyś za swoje usługi? — zapytał Taurus.

— Oprócz możliwości pomsty chciałbym dostać niewielką pensję. Taką, jaką Khoraja płaci swym starym żołnierzom.

— Dostaniesz ją — obiecał kanclerz.

Conan obrzucił astrologa przelotnym spojrzeniem i zapytał:

— A jaki jest twój udział, mistrzu Rhazesie?

— Oferuję pomoc w twojej wyprawie, generale. Dzięki memu astronomicznemu abakusowi — powiedział, wskazując trzymaną pod pachą szkatułę z brązu z wystającymi tarczami i kółkami — mogę odczytać z gwiazd porę najlepszą na każdy krok twojej podróży.

Rhazes pochylił się, pokręcił srebrną korbką. Przez chwilę przyglądał się tarczom, po czym rzekł:

— Cóż za szczęśliwy zbieg okoliczności! Najlepszy w ciągu dwóch miesięcy czas na wyruszenie w drogę przypada w dniu jutrzejszym. I poza tym, chociaż nie jestem czarnoksiężnikiem, znam jedną czy dwie magiczne sztuczki, które będą mogły ci pomóc.

— Przez wiele lat dawałem sobie radę bez pomocy magicznych sztuczek i nie widzę powodu, by uciekać się do nich obecnie — warknął Conan.

— Ponadto — ciągnął dobrotliwie Rhazes ignorując słowa Conana — znam dobrze Koth i mówię kothyjskim bez obcego akcentu. Skoro mamy przeciąć to rozległe królestwo w drodze do Ophiru...

— Do diabła z tym! — uciął Conan. — Strabonus byłby szczęśliwy, mogąc dostać nas w swoje ręce. Pojedziemy wzdłuż granic Koth, przez Shem i Argos...

— Rhazes ma rację — przerwał Taurus. — Czas odgrywa dużą rolę, a trasa, którą proponujesz, zabrałaby go bardzo wiele.

Yasmela poparła kanclerza i upierała się przy jego zdaniu, dopóki Conan nie zgodził się obrać krótszej trasy i przyjąć Korynthiańczyka na trzeciego członka wyprawy. Potem kanclerz powiedział:

— Potrzebujesz ponadto osobistych strażników, służących do prac obozowych i niesienia twoich bagaży.

— Nie! — ryknął Conan, uderzając pięścią w stół. — Każdy dodatkowy człowiek oznacza jedną więcej parę

Spraque de Camp Lyon - Conan Szermierz

oczu do patrzenia, uszu do słuchania i dodatkowy język do wypaplania naszych sekretów. Obozowałem w wielu krajach, w czasie pięknej i podłej pogody. Fronto również zna tę gorszą stronę życia. Jeśli Mistrz Rhazes nie życzy sobie dzielić tych drobnych niewygód, niech lepiej zostanie w Khorai.

— To nie do pomyślenia, generale — zagadał Taurus — żeby człowiek twojej rangi wyprawiał się w drogę choćby bez pachołka do czyszczenia butów.

— Wcześniej sam o siebie dbałem, więc teraz również nie stanie mi się krzywda. W tego rodzaju wyprawach ten podróżuje szybciej, kto podróżuje sam!

Gruby astrolog westchnął.

— Pójdę nawet pieszo, jeśli trzeba, ale nie proście, bym rąbał drewno na opał.

— W takim razie, dobrze — Conan wstał. — Kanclerzu, daj Frontowi glejt, by w drodze powrotnej z pałacu straża nie wzięły go za jakiegoś włóczęgę i nie zakuły w żelaza. — Rzucił złodziejowi złotą monetę. Ten złapał ją w lot. — Fronto, kup sobie jakieś ubranie, przyzwoite, ale nie jaskrawe. W porze kolacji czekaj na mnie w oficerskich kwaterach. Księżniczko, pozwól, odprowadzę cię do twoich komnat.

Kiedy dotarli do komnaty Yasmeli, Conan wymruczał:

— Czy mogę przyjść do ciebie tej nocy?

— Ja... Nie wiem... To niebezpieczne.

— To może być nasz ostatni raz, wiesz o tym.

— Och, musisz być podłym człowiekiem, skoro tak mnie dręczysz! Dobrze — westchnęła — odeślę służebne przed zmianą straży...

Trzech jeźdźców, wiodących jucznego muła, sunęło łagodnym zboczem w kierunku północnego grzbietu Kothyjskiego Urwiska. Od czasu do czasu podróżnicy mijali innych podróżnych; pieszego handlarza z koszem na plecach, wieśniaka na wozie ciągniętym przez ciężko stąpające woły, karawanę wielbłądów prowadzoną przez Shemitów w pasiastych strojach i khorajskiego arystokratę w karecie, za którą galopowała jego drużyna.

W końcu znaleźli się u stóp urwiska. Z daleka wyglądało ono na litą, kamienną ścianę, jednak gdy się zbliżyli, okazało się, że jest ona pocięta żlebami i wąskimi wąwozami.

Droga prowadziła na jedną z przełęczy i gdy wędrowcy prowadzili swoje konie w górę krętej ścieżki, skalna ściana przystoniła zachodzące słońce. Kiedy trzej podróżni dotarli na szczyt urwiska, słońce już zaszło.

Na tle zachodniego nieba rysowały się Góry Kothyjskie, których zaokrąglone sylwetki przypominały piersi olbrzymki. Z tej odległości Conan zdołał rozpoznać szczyt Góry Khrosha. Wiszący nad nią pióropusz dymu zabarwiał świetlistą purpurą żar ogni wrzących w kraterze.

Raptem ziemia zadrżała i przed małą kawalkadą pojawił się oddział jeźdźców z herbem Koth — hełmem Ishtar, wyszytym na płaszczach złotą nicią. Podróżni dotarli do granicy.

— Generale, pozwól mi to załatwić — zaproponował Rhazes Conanowi. Otyły magik podjechał powoli do dowódcy straży granicznej. Pochylił się w siodle ku oficerowi i zaczął rozmawiać z nim płynnym kothyjskim, od czasu do czasu wskazując na swoich towarzyszy. Surową twarz oficera rozjaśnił uśmiech. Po chwili żołnierz wybuchnął rubasznym śmiechem i z uciechy uderzył się dłonią w udo. Odwrócił się w stronę Conana i Fronta i strzelił palcami.

— Ruszajcie!

Kiedy posterunek graniczny zmałał w oddali, Conan nie wytrzymał:

— Co powiedziałeś tej kanalii, Rhazes?

Astrolog uśmiechnął się dobrotliwie.

— Powiedziałem, że jesteśmy w drodze do Asgulan i że słyszeliśmy plotki o wojnie wzdłuż zachodnich prowincji Shem.

— Dobrze, ale co powiedziałeś, że tak się śmiał?

— Aha, powiedziałem, że Fronto jest moim synem i że udajemy się odmówić modlitwy w świątyni Derketo, by pomogła mu spłodzić syna. Powiedziałem, że cierpi na... hmm... pewną niemoc cielesną.

— Ty przebiegły bękarciu! — krzyknął Conan krztusząc się ze śmiechu, podczas gdy Fronto spoglądał na nich spode łba.

Księżyc stanął w pełni, potem skurczył się do małego sierpu, gdy mozolnie przemierzali nieskończone równiny Koth, gdzie pasterze na koniach pilnowali długorogiego bydła. Potem jechali skrajem nieużytków centralnego Koth, gdzie strumienie wpływały do jeziora tak słonego, że naokoło rosnęły tylko kilka poskręcanych krzaków. Jakiś czas później dotarli do bardziej urodzajnej okolicy i zatrzymali się na odpoczynek.

Conan spojrzął na swoich towarzyszy. Martwił go Fronto. Niski złodziej był chętnym i zręcznym pomocnikiem, ale burczał bez końca na temat swoich osobistych niedoli i urazów.

— Jeżeli bogowie zechcą dać mi szansę — powiedział — zabiję tego łotra Moranthesa, nawet gdyby później mieli mnie smażyć w oleju.

— Nie winie cię — rzekł Conan. — Zemsta jest słodka i mnie także cieszy, lecz by doświadczyć jej

Sprague de Camp Lyon - Conan Szermierz

słodczy, trzeba przeżyć. Pamiętaj jednak, że przybyliśmy tu nie po to, by zabić Moranthesa, aczkolwiek na to zasłużył, ale wydobyć Khossusa z więzienia. Później, jeżeli będziesz chciał wrócić, by podkraść się do króla, to twoja sprawa.

Ale Fronto nadal mruzczał, zagryzając wargi i wyłamując palce. Zupełnie nie potrafił poradzić sobie z uczuciami, które nim targały.

Rhazes był inny. Astrolog nie przykładał się do żadnych obowiązków, dopóki Conan go do tego nie przymusił, ale był tak niezręczny, że nawet gdy chciał, służył niewielką pomocą. Zawsze w dobrym nastroju, bawił swoich towarzyszy opowiadaniem starodawnych mitów i uczonymi wywodami.

Ponadto astrolog zawsze znajdował sposób, by uniknąć odpowiedzi na osobiste pytania. Niezmiennie wyślizgiwał się niczym wąż spod opadającej stopy. Conan odczuwał do niego niejasny brak zaufania, niemniej nie mógł znaleźć nic, co jednoznacznie świadczyłoby przeciwko Rhazesowi.

Kiedy rozbili obozowisko w lesie o dzień drogi na wschód od Khorshemish, astrolog powiedział:

— Muszę ułożyć nasz horoskop, by upewnić się, czy w stolicy Koth nie czeka nas niebezpieczeństwo.

Z wielkiej, skórzanej sakwy wyjął swój osobliwy przyrząd. Przyjrzał się gwiazdom, zerkając przez gałęzie otaczających drzew, a następnie pokręcił korbką i w migocącym świetle ogniska popatrzył na tarcze.

Wreszcie powiedział:

— Istotnie, w Khorshemish czeka nas niebezpieczeństwo. Najlepiej będzie, jeżeli bocznymi traktami okrążymy miasto. Znam drogę. — Astrolog zerknął na swój instrument marszcząc brwi, następnie poczynił kilka poprawek i mówił dalej: — To dziwne, ale pewne znaki wskazują na istnienie innego niebezpieczeństwa i to niedługo.

— Jakiego rodzaju? — zapytał Conan.

— Tego nie potrafię powiedzieć, ale musimy się strzec — Rhazes ostrożnie wsunął przyrząd z powrotem do sakwy. Pogmerał w niej jeszcze chwilę i wyjął kawałek liny. — Pokażę wam sztuczkę magiczną, której nauczyłem się od czarnoksiężnika w Zamorze. Widzicie? Złapcie ją!

Rzucił linę Conanowi, który błyskawicznie wyciągnął rękę. I równie szybko, z przekleństwem na ustach odrzucił sznur od siebie, ten bowiem w locie przemienił się w wijącego węża. Gad upadł na ziemię, znów zmieniając się w zwykły kawałek liny.

— Niech diabli wezmą twoją skórę, Rhazesie! — warknął Conan z na wpół dobytym mieczem. — Chcesz mnie zamordować?

Astrolog zachichotał zwijając linę.

— To tylko iluzja, mój drogi generale. Ta rzecz nigdy nie była niczym więcej, jak kawałkiem sznura. A gdyby naprawdę był to wąż, jak widzieliście, to wąż nieszkodliwy.

— Dla mnie wąż zawsze jest wężem — mruknął Conan, siadając przy ogniu. — Zapisz na rachunek swego szczęścia to, że głowa nadal wieńczy twoją szyję.

Rhazes z kamienną twarzą schował linę do sakwy i powiedział:

— Ostrzegam was, żebyście nie grzebali w tym worku. Niektóre z zawartych w nim rzeczy nie są tak nieszkodliwe. Ta szkatułka, na przykład.

Wyciągnął małą, pokrytą reliefami miedzianą skrzyneczkę, nieco mniejszą od swego przyrządu do liczenia, po czym z powrotem wsunął ją do worka.

Fronto uśmiechnął się psotnie.

— Więc okazuje się, że sławny generał Conan czegoś się boi! — zachichotał.

— Poczekajmy — warknął Conan. — Kiedy ujrzemy wieże lanthe, wtedy zobaczymy, kto się boi...

— Nie ruszać się! — przerwał chrapliwy okrzyk. Słowa wypowiedziano po kothyjsku. — Mierzy w was tuzin napiętych łuków.

Cymmerianin zwrócił wzrok na człowieka, który wysunął się z cienia. Był to chudzielec w wystrzępionym odzieniu, z łatką na jednym oku. Ruch w zaroślach wskazywał na obecność innych.

— Kim jesteś? — zgrzytnął zębami Conan.

— Biednym jegomościem, który zbiera podatki ze swych włości, to znaczy tego lasu — odparł chudzielec, po czym zawołał do swoich ludzi: — Chodźcie bliżej, chłopcy. Dajcie im obejrzeć czubki swoich strzał.

W zbójckiej bandzie było tylko siedmiu łuczników, ale to wystarczyło, by skutecznie sterroryzować trzech podróżnych.

Conan ugiął kolana, przygotowując się do szybkiego zerwania się na nogi. Gdyby był sam, zaatakowałby natychmiast, pokładając wiarę w kolczudze, którą miał pod tuniką. Zawahał się jednak, zrozumiał bowiem, że jego towarzysze z pewnością by zginęli.

— Ach! — zawołał przywódca zbójców, schylając się nad skózaną sakwą Rhazesza. — Co my tu mamy? — Wetknął rękę do środka i wyjął miedzianą szkatułkę. — Złoto? Za lekka! Biżuteria? Może. Zobaczymy...

— Ostrzegam, nie otwieraj jej — powiedział Rhazes.

Jednooki parsknął śmiechem, pogmerał przy zamku i podniósł wieko.

— Co jest?! — zawołał. — Jest pusta... pełna dymu...

Przywódca wrzasnął przenikliwie i odrzucił skrzyneczkę. Wydobyło się z niej coś, co w świetle ognia wyglądało jak obłok czarnego dymu. Chmura jak żywa istota szczelnie otuliła jednookiego opryszka, który

Spraque de Camp Lyon - Conan Szermierz

zaczął tłuc rękami po ubraniu, jakby chciał zdusić spowijające go płomienie. Tańcząc dziko, zawył rozpaczliwie. Rhazes siedział bez ruchu, mrużąc coś do siebie.

Z leżącej w trawie szkatułki wypłynęła kolejna chmura żywego dymu, a po niej jeszcze jedna. Bezpostaciowe istoty falowały w powietrzu niczym bezkształtne stwory pływające w głębinach oceanu. Następna chmura przyczepiła się do drugiego rozbójnika, który również zaczął skakać i wrzeszczeć.

Pozostali wypuścili strzały w atramentowe obłoki, które nadal wypływały z miedzianej szkatułki, ale pociski nie napotkały żadnego oporu. Herszt i oblepiony przez chmurę rozbójnik przestali się wić i znieruchomieli. Ich towarzysze błyskawicznie zniknęli z kręgu światła. Stopniowo trzask deptanego chrustu i krzyki przerażenia ścisły w lesie.

Rhazes wyprostował się i podniósł szkatułkę. Nie zamykając jej, podniósł głos i zaintonował dziwną pieśń, a chmury dymu jedna po drugiej podpłynęły ku niemu i wsunęły się do puzderka.

W końcu Rhazes zatrzasnął wieczko i przekręcił zatrzask.

— Nie może powiedzieć, że go nie ostrzegałem — rzekł z uśmiechem. — Albo raczej powinienem powiedzieć, że jego duch nie może mnie oskarżać.

— Jesteś większym czarnoksiężnikiem, niż się wydaje — warknął Conan. — Czym były te zjawy?

— Duchami uwięzionymi przez potężny czar w tej materialnej płaszczyźnie. W ciemności są mi posłuszne, ale nie znoszą światła dziennego. Wygrałem tę szkatułkę w kości od pewnego maga z Luxuru w Stygii — astrolog wzruszył ramionami. — Gwiazdy przepowiedziały mi wtedy, że wygram tę grę.

— To wygląda mi na oszustwo.

— Ach, ależ on też próbował mnie oszukać, rzucając czar na kości.

— Cóż, zatem gra była uczciwa. Przegrałem więcej złota i srebra, niż większość ludzi widziała w ciągu całego życia, ale Mitra uchronił mnie przed grą, w której nie miałbym żadnych szans! — Conan z zadumą przegarnął popiół w ognisku. — Twoje pożerające ludzi chmury uratowały nasz dobytek i być może nasze karki. Ale gdybym nie przysłuchiwał się twojej paplaninie, na pewno usłyszałbym zbliżających się bandytów i nie dałbym się zaskoczyć niby nowo narodzone jagnię. Teraz przestańcie gadać i śpijcie. Pierwszy będę czuwał.

Następnego dnia Rhazes poprowadził swych towarzyszy rzadko używanymi drogami wokół Khorshemish i znów znaleźli się na głównym trakcie do Ophiru.

W miarę jak kolejne mile zostawały za ich plecami, Conan stawał się coraz bardziej niespokojny. Nie niepokoiła go perspektywa włamania się do pałacu króla Moranthesa. Przeżył już wiele podobnych przygód. Nie obawiał się również tortur, a śmierć była jego wierną towarzyszką od tak dawna, że nie zwracał na nią większej uwagi niż na muchę.

Wreszcie odkrył źródło swego niepokoju. Ich podróż jak na razie przebiegała bez kłopotów! Ilekroć byli zatrzymywani przez oddziały straży na drogach, Rhazes radził sobie z nimi równie zręcznie, jak z żołnierzami na granicy, i nikt nie próbował ich zatrzymać. Nie groziło im żadne magiczne niebezpieczeństwo, żadna desperacka walka, żaden bezlitosny pościg... Conan uśmiechnął się ironicznie. Był tak przyzwyczajony do niebezpieczeństw, że ich brak przyprawiał go o niepokój.

Wreszcie na horyzoncie zobaczyli lanthe, leżące po obu stronach Rzeki Czerwonej. Przelotny deszcz spłukał kurz z powietrza sprawiając, że stało się ono bardziej przezroczyste i zachodzące słońce roziskrzyło się na miedzianych i złotych kopułach wieńczących miejskie wieże. Ponad mury wyglądały kryte czerwoną dachówką dachy najwyższych domów.

Fronto ściągnął cugle.

— Jeśli przebedziemy rzekę po pływającym moście, to potem będziemy zmuszeni wejść do miasta, a to dość ryzykowny plan. Lepiej żebyśmy pojechali pół mili w górę rzeki, do najbliższego brodu, i obeszlili lanthe.

— Czy wejście do tunelu znajduje się po północnej stronie miasta? — zapytał Conan.

— Tak, generale.

— Zatem pojedziemy w górę rzeki.

Rhazes spojrzął uważnie na Fronta.

— Czy dotrzemy do tunelu przed północą?

— Jestem tego pewien.

Astrolog pokiwał głową.

Księżyc, gruby sierp, bliski pierwszej kwadry, migał blade między drzewami, gdy trzej mężczyźni zsiadli z koni w gaju na północny wschód od lanthe. O strzał z łuku wznosiły się czarne na tle usianego gwiazdami nieba blanki murów. Conan zdjął z siodła worek z pochodniami — długimi sosnowymi szczapami, których końce owinięte były szmatami nasączonymi tłuszczem.

— Zostań z końmi, Rhazesie — mruknął. — Fronto i ja wejdziemy do tunelu.

— Och, nie, generale! — sprzeciwił się astrolog. — Pójdę z wami. Spętane zwierzęta będą bezpieczne. I może przed uwolnieniem Khossusa przyda się wam mój worek z magicznymi sztuczkami.

— On ma rację, generale — poparł go Fronto.

Spraque de Camp Lyon - Conan Szermierz

— Jest za stary i za gruby na takie wyczyny — rzekł Conan.

— Jestem zwinniejszy, niż myślisz — odparł Rhazes. — Co więcej, gwiazdy mówią, że będziesz potrzebował dziś mojej pomocy.

— Dobrze — warknął Conan. Był podejrzliwy, ale jego wątpliwości skutecznie gasiły trafne przepowiednie Rhazesa odnośnie takich spraw jak pogoda czy wygody czekające ich w przydrożnych oberżach. — Jeżeli jednak będziesz włókł się w tyle i Ophiryjczycy pojmagają cię, nie spodziewaj się, że wrócę ci na ratunek!

— Jestem przygotowany na ryzyko — zapewnił Rhazes.

— Zatem w drogę! — syknął zniecierpliwiony Fronto. — Nie mogę się doczekać, by wbić sztylet w brzuch jednego z łotrów Moranthesa!

— Nie dźgaj nożem dla zwykłej przyjemności! — zmytygował go Conan. — Żadna przyjemność polować w lesie, w którym aż roi się od zwierzyny. Idziemy.

Złodziej, mrużąc coś pod nosem, poprowadził swoich towarzyszy przez gaj do kępy krzaków rosnących kilka kroków od murów. Ponad nimi światło księżyca zamigotało na hełmie i włóczy strażnika idącego szczytem muru. Trzej mężczyźni znieruchomieli i trwali tak, póki żołnierz nie zniknął im z oczu.

W samym środku zarośli, w miejscu osłoniętym ze wszystkich stron przez gałęzie, znajdowała się łąka porośnięta rzadszą trawą. Fronto pogrzebał w miękkiej glebie i znalazł kółko z brązu. Złapał je mocno i szarpnął w górę, ale nic się nie stało.

— Generale — wysapał — jesteś silniejszy ode mnie, spróbuj to podnieść.

Conan zaczerpnął powietrza w płuca, pochylił się, złapał pierścień i dźwignął. Powoli, z głuchym skrzypem, zakryta ziemią kłapa uniosła się. Conan zerknął w zatęchłą ciemność. W księżycowej poświacie ukazały się schody.

— Mój ojciec zaplanował wszystko należycie — wyszeptał Fronto. — Nawet człek tak wysoki jak ty, Conanie, może iść wyprostowany, nie zahaczając głową o strop.

— Zostań tutaj, by opuścić kłapę, a ja zapalę łuczywo — rzekł Conan schodząc w dół po omacku.

Gdy skończyły się schody, wyjął krzemień i kawałek stali. Spróbował skrzesać ogień, ale daremnie. W końcu warknął:

— Na Croma! Deszcz zmoczył mi hubkę. Ma któryś suchą?

— Mam coś, co ją zastąpi — powiedział Rhazes zerkając nad ramieniem Conana. — Cofnij się, proszę.

Astrolog wyjął ze skórzanego worka różdżkę, którą wskazał na pochodnię. Wymruczał zaklęcie. Koniec różdżki rozżarzył się do czerwoności, potem pożółkł, a następnie zbiełał. Snop jasnego światła strzelił w łuczywo, które zadymiało, zaskwierczało i buchnęło płomieniem. Żar różdżki spłowieł i Rhazes wrzucił ją z powrotem do worka.

— Zamknij kłapę, Fronto! — zawołał Conan. — Delikatnie, głupcze! Huk usłyszą strażę!

— Wybacz, ręka mi się ześliznęła — odparł Fronto, zsuwając się po schodach jak pajak. — Daj mi pochodnię. Znam drogę.

W milczeniu ruszyli ciemnym korytarzem. Jego ściany i podłoga były wyłożone kamiennymi płytami, a strop podtrzymywały masywne belki. Mech i grzyby, które zdążyły już obrosnąć szorstkie kamienie, hałaśliwie mlaskały pod nogami. Szczury piszczały i uciekały w popłochu. Ich czerwone ślepia błyskały w ciemności niczym stygijskie rubiny, a pazury chrobotwały po wilgotnych kamieniach.

Posuwali się w wilgotnej ciemności, idąc za światłem pochodni trzymanej wysoko przez Fronta. Nic nie mówili.

Conan z ponurą miną obejrzał się za siebie. Migotliwe, pomarańczowe światło pochodni rzucało czarne cienie na pokryte porostami kamienie. Cienie te drgały i falowały niby olbrzymie nietoperze. Podziemne przejście od lat odcięte było od zewnętrznego świata i powietrze w nim było zepsute, duszne i gęste od niezdrowych wyziewów zgnilizny.

Po pewnym czasie Conan warknął:

— Jak daleko jeszcze, Fronto? Na pewno przeszliśmy już pod całym miastem i teraz jesteśmy już na lanthe!

— Jeszcze nie jesteśmy w połowie drogi. Pałac leży w środku miasta, tam gdzie kiedyś wznosiła się cytadela.

— Co to za hałas? — zapytał Rhazes, gdy nad głowami przetoczył się huk grzmotu.

— To tylko zaprzężony w woły wóz na ulicy Ishtar — wyjaśnił Fronto.

Wreszcie dotarli do końca tunelu. Znajdowały się tu schody, które wiodły w górę do kłapy takiej samej jak ta na początku przejścia. Conan wziął pochodnię i przyjrzał się jej uważnie.

Zapytał cicho:

— Ten korytarz prowadzi do lochów, ale dokładnie gdzie?

Fronto odruchowo potarł zarośniętą szczękę.

— Do końca południowego odgałęzienia.

— A Khossus jest więziony w środkowym, równoległym do tego — mruknął Rhazes.

Conan stężał i przeszył go podejrzliwym wzrokiem.

— Skąd to wiesz? — zapytał ostro.

Spraque de Camp Lyon - Conan Szermierz

Tłusty jasnowidz rozłożył ręce w bezbronny geście.

— Z gwiazd, generale. A skąd by indziej?

Conan wymruczał coś, co zabrzmiało jak przekleństwo. Złodziej uniósł odrobinę klapę i przycisnął ucho do szorstkiego drewna. W końcu wyszeptał:

— Wygląda na to, że w pobliżu nie ma strażników. Chodźmy.

Odrzucił klapę nie zważając na skrzyż zawiasów i skinał na swoich towarzyszy.

Conan odetchnął i oparł łuczywo o ścianę tak, by płonęło mniejszym płomieniem. Potem wszedł za Frontem do lochu. Za nim podążył zdyszany Rhazes.

Znaleźli się w korytarzu długim na jakieś dwadzieścia kroków i zobaczyli szereg otwartych cel po obu stronach. W powietrzu wisiał ciężki, więzienny smród zgnilizny, pleśni i ekskrementów. Jedynym źródłem światła była pochodnia na ścianie poprzecznego korytarza, w drugim końcu tego, w którym stali, oraz różowy poblask łuczywa, które Conan zostawił oparte o wilgotną ścianę podziemnego przejścia. By ukryć to mogące ich zdradzić światło, Fronto zaczął opuszczać klapę. Conan pośpiesznie wsunął pod nią monetę, by dzięki tej niewielkiej nierówności w podłodze mogli znaleźć wyjście w drodze powrotnej.

Miecz Conana ze szmerem wysunął się z pochwy. Barbarzyńca poprowadził swoich towarzyszy w kierunku odległej pochodni. Jego błękitne oczy, ukryte pod ciemnymi brwiami, przeskakiwały z boku na bok, zaglądając do cel. Większość z nich była pusta. W jednej w półmroku połyskiwał białawo stos kości. W ostatniej żywy więzień, w brudnych łachmanach i o twarzy ledwie widocznej za splątanymi kudłami, podpełzał do krat. W milczeniu przyglądał się intruzom.

Kiedy dotarli do zakrętu korytarza, gdzie osadzona na ścianie pochodnia zasnuwała okolicę kłębam dymu, Fronto wskazał w prawo. Poruszając się niczym polujące tygrysy, niezauważeni przeszli skrzyżowanie i skręcili w lewo przy kolejnej odnodze. W tym korytarzu również znajdowały się cele. Gdy bezszelestnie posuwali się wzdłuż nich, Fronto strzelił palcami, by przyciągnąć uwagę Conana.

Ta cela była dwa razy większa od innych. W półmroku Conan rozróżnił krzesło, mały stół, miskę i łóżko. Człowiek, który siedział na posłaniu, podniósł się na widok trzech milczących postaci, które zatrzymały się przed kratą. Nie było go dobrze widać, ale z zarysu sylwetki Conan domyślił się, że jest on młody i porządnie ubrany. — Do roboty, Fronto — wyszeptał. Złodziej wyciągnął zza cholewy kawałek drutu i wsunął go w dziurkę od klucza. Dzikie oczy Fronta połyskiwały w chwiejnym świetle pochodni, gdy gmerał w otworze. Po chwili zamek zaszczeł i Conan naparł ramieniem na drzwi. Więzień cofnął się, gdy Cymmerianin z mieczem w ręku wtargnął do celi.

— Czy Moranthes przysłał cię, byś mnie zamordował? — zapytał chrapliwym szeptem.

— Nie, chłopcze. Jeżeli jesteś Khossusem z Khorai, przyszedł ci na ratunek.

Młody król zeszytniał.

— Nie wolno ci w ten sposób zwracać się do pomazańca! Powinieneś mówić...

— Ciszej — warknął Conan. — Jesteś Khossusem, czy nie?

— Jestem, ale powinieneś mówić „wasza wy...”

— Nie ma czasu na grzeczności. Idziesz, czy zostajesz?

— Idę — burknął młodzieniec. — Ale kim ty jesteś?

— Jestem Conan, generał twojej armii. Teraz chodź szybko i po cichu.

— Daj mi swój miecz, generale.

— A po co? — zapytał zdumiony Cymmerianin.

— Kapitan tutejszej straży znieważył mnie. Obraził honor Khorai i przysiągłem, że będę walczył z nim na śmierć i życie. I nie odejdę, póki tak się nie stanie!

Khossus podniósł głos, który odbił się echem w podziemiach. Conan zerknął na swoich towarzyszy, potrząsnął bezradnie głową i trzasnął potężną pięścią w szczękę Khossusa. Zęby króla zazgrzytały przenikliwie, a ich właściciel runął na pryczę.

Chwilę później Conan z nieprzytomnym królem zarzuconym na ramię wyprowadził swoich towarzyszy z celi. Skręcając do poprzecznego korytarza, usłyszeli tupot stóp i szczęk broni.

— Biegnijcie do tunelu. Powstrzymam ich — syknął Conan.

— Nie, ty niesiesz króla. Ja rozprawię się z tą zgrają — wyszeptał Rhazes, gmerając w swoim worku.

— Co tam się dzieje? — zadudnił pełen złości głos, gdy jego właściciel z dobytym mieczem pojawił się przy zakręcie korytarza.

Conan i Fronto popędzili w kierunku korytarza, w którym znajdowało się wejście do podziemi, astrolog zaś wyciągnął ze swej skórzanej sakwy coś, co wyglądało jak konopna pętla. Więzienny strażnik zwolnił, wyciągnął rękę, by złapać lejącą ku niemu linę. I wrzasnął, uchwycił bowiem wijącego się węża. Odrzucił go od siebie, po czym wrzeszcząc jak szalenięc zrobił szybki zwrot i przepadł za zakrętem korytarza.

Rhazes dobiegł ciężkim truchtem do otwartej klapy. Conan z nadal nieprzytomnym królem na ramieniu schodził właśnie do tunelu. Gdy astrolog dołączył do Cymmerianina, Fronto wbiegł po schodach i ostrożnie opuścił klapę.

— Czy nie ma rygla, by zamknąć wejście? — zapytał Conan.

— Nie. Drzwi są zamaskowane kamieniami, więc nie widać ich z góry.

Spraque de Camp Lyon - Conan Szermierz

— Więc uciekajmy — rzekł Conan. Poprawił na ramieniu szczupłe ciało Khossusa i ruszył za Frontem, który szedł ze wzniesioną pochodnią. Zaspany Rhazes, niczym kupiecki statek żeglujący pod wiatr, majestatycznie pospieszył za nimi.

W połowie drogi Khossus doszedł do siebie. Kiedy zdał sobie sprawę ze swej niegodnej pozycji, zawołał:

— Dlaczego niesiesz mnie jak worek kartofli na targ? Postaw mnie natychmiast! W taki sposób nie wolno traktować króla!

Conan nawet nie zwalniając burknął:

— Puszczę cię, jeśli zdołasz biec tak szybko jak ja. Chyba że wolisz zostać schwytany przez więziennych strażników i wrócić do celi. Cóż zatem?

— Och, w porządku — rzekł ponuro młody król. — Ale wygląda na to, że nie masz żadnego szacunku dla królewskiego majestatu.

Przy schodach Conan postawił króla na ziemi i przepychając się obok Fronta dopadł klapy. Stęknął, napiął potężne muskuły i dźwignął ciężar. Fronto zbliżył się.

— Zgaś tę pochodnię! — mruknął Cymmerianin.

Fronto posłuchał, po czym Conan wyszedł na zewnątrz.

Księżyc zaszedł i barbarzyńca uświadomił sobie, że spędził w podziemiach więcej czasu, niż się spodziewali.

Poprzedzając towarzyszy idących tuż za nim, Cymmerianin przedarł się przez zarośla osłaniające wejście do podziemi i raptem wrósł w ziemię. Kilka kroków przed nim czekało ponad dwudziestu ludzi z przygotowanymi do strzału kuszami. Za nimi zobaczył płomienie ogniska.

— Co to jest? — zapytał Conan wyciągając miecz.

— Proszę, generale — syknął Rhazes za jego plecami — mogę ci wszystko wyjaśnić.

— Chodź, Rhazesie — rzekł po kothyjsku jeden z żołnierzy. — Nie chcielibyśmy zastrzelić cię przez pomyłkę.

Astrolog minął Conana i odwrócił się.

— Drogi, a jakże naiwny generale, lepiej poddaj się bez walki. To żołnierze z mego rodzinnego kraju, Koth, którego królowi mam zaszczyt wiernie służyć. Ominęliśmy Khorshemish, aby jakiś mój znajomek nie rozpoznał mnie przypadkiem i nie ujawnił tego małego oszustwa. Pomogłeś mi wydostać Khossusa ze szponów Moranthesa, a ja w nagrodę zabiorę was obydwu do Koth. W ten sposób usuniemy ostatnią przeszkodę, która uniemożliwia przyłączenie do Koth jego zbuntowanej prowincji, czyli Khorai.

Conan spał się i zakłosał na piętach, przygotowując się do walki. Podejrzewał, że kolczuga nie wytrzyma uderzeń bełtów, ale cóż; nikt nie może żyć wiecznie.

— Rzuć miecz, generale! — rozkazał głos, który odezwał się poprzednio.

— Najpierw musisz mnie zabić! — krzyknął Conan ruszając na kothyjskiego oficera.

W tej samej chwili Fronto z dzikim wrzaskiem rzucił się do przodu. Jego oczy zaślnęły szaleństwem, gdy wbił sztylet w opaski brzuch Rhazesa; raz, drugi i trzeci. Trzasnęły dwie kusze, ale bełty nie czyniąc nikomu szkody zniknęły w ciemnościach, kusznicy bowiem bali się zranić astrologa.

Rhazes z jękiem osunął się na ziemię, jego obfite szaty zatrzepotały w świetle gwiazd. Skórzany worek wypadł mu z ręki. Fronto kierowany złodziejskim instynktem porwał sakwę i wbiegł między drzewa. Znów zaśpiewała cięciwa kuszy. Fronto złapał się za gardło i zacharczał. Krew zalała mu usta i mały złodziej runął głową w ogień. Razem z nim w żar poleciał również worek astrologa.

Conan broniąc Khossusa, stał się z kilkoma Kothyjczykami naraz. Jego ostrze zadźwięczało na broni wrogów, a w stali przejrzały się zimne gwiazdy. Za moment jeden z żołnierzy cofnął się z chrapliwym wrzaskiem, zaciskając dłoń na kikucie prawej ręki. Drugi upadł, a z jego rozprutego brzucha wylała się wnętrzność. Khossus skoczył ku konającemu i wyrwał miecz z jego ręki akurat na czas, by uratować Cymmerianina przed zdradzieckim ciosem w plecy.

Mimo hałasu i zamieszania, Conan dosłyszał podzwanianie kolczug, trzask łamanych gałęzi oraz tupot stóp innych żołnierzy. Pociągnął za sobą Khossusa i obaj zniknęli w zaroślach dokładnie w chwili, gdy na polanę wybiegł oddział więziennych strażników, podążających śladem zbiegłego więźnia. Przedarłszy się przez krzaki, strażnicy wypadli wprost na żołnierzy z Koth. Conan i jego król, usłyszeli szczęk kusz, wrzaski bólu i zaskoczenia, a następnie zajadły klangor mieczy.

— Khossusie! — warknął Cymmerianin. — Biegnij w las za ogniskiem. — Tam czekają spętane konie.

Wyskoczyli z krzaków. Ophiryjski nadzorca więzienia rozpoznał szczupłego króla, krzyknął do swoich ludzi:

— Do mnie! Tu jest więzień! Złapać ich!

— Szybciej! — przynaglił Conan, odwracając się, by stawić czoło pościgowi. Sparował cios jednego przeciwnika i zranił drugiego. Miał zamiar zaatakować następnego, gdy na żołnierza rzucił się jakiś Kothyjczyk. Zamieszanie przybrało na sile. Conan i Khossus korzystając z okazji przedarli się przez tłum, przeskoczyli nad przytłumionym ogniskiem i popędzili do koni.

— Zatrzymać ich! Zatrzymać! — wrzasnął chór głosów, gdy uciekinierzy nikli między drzewami.

Ophiryjczycy przemierzali się z Kothyjczykami. Jeden z żołnierzy skoczył nad ogniskiem. Conan ciął go z

Spraque de Camp Lyon - Conan Szermierz

półobrotu. W tej samej chwili silny wybuch wstrząsnął ziemią i obsypał wszystkich gradem węgla i ziemi. Nadpalona sakwa Rhazesa eksplodowała.

W chwili gdy dwaj Ophiryjczycy wznowili pościg, nad szczątkami ogniska unosiły się obłoki czarnego dymu. Cienie płynęły fala za falą, jak olbrzymie ameby. Jeden rzucił się na pierwszego żołnierza i ogarnął go. Mężczyzna wrzasnął dziko i znieruchomiał. Drugi żołnierz, umykając w pośpiechu, potknął się o korzeń i padł ofiarą kolejnej falującej chmury.

— Cienie Rhazesa — mruknął Conan, gdy powietrze przeszło kolejne wycie umierającego człowieka. — Odwiąż konie, szybko!

Khossusowi drżały ręce, ale dokładnie wypełnił polecenie.

W następnej chwili Cymmerianin i król skoczyli na siodła i spięli konie ostrogami. Pomknęli między drzewami, tuląc twarze do końskich karków, by nie chłostały ich, gałęzie. Conan obejrzał się i zobaczył, jak rozwścieczone cienie krążą niczym skrzydła śmierci, zarówno nad żołnierzami Ophiru, jak i ich kothyjskimi przeciwnikami. Krzyki bólu i przerażenia zlały się w jeden nieartykułowany wrzask.

Conan i król wyjechali na drogę i wkrótce odgłosy pogromu ucichły w dali.

Po godzinie Khossus zawołał zirytowany:

— Conanie! To nie jest droga do Khorai! Jesteśmy na trakcie wiodącym do Argos i Zingary!

— A jak myślisz, na której drodze będą nas szukać? — prychnął Conan. — Dalej, popędźże tego swojego kuca!

Cymmerianin pogalopował na zachód zmuszając króla Khorai do większego pośpiechu.

Chociaż uciekinierzy dzięki częstym zmianom wierzchowców posuwali się bardzo szybko, następnego wieczora nadal byli w granicach Ophiru. Nikt ich jednak nie zatrzymywał, prześcignęli bowiem wieść o swej ucieczce. Godzinę temu rozbili obóz w napotkanym lesie i posilili się suszonymi owocami oraz sucharami z sakw przy siodłach. Khossus, który w końcu przestał zmuszać Conana do zwracania się do niego w sposób należny królowi, opowiedział, jak został schwytany.

— Morantes zaproponował mi przymierze przeciwko Strabonusowi z Koth, a dla mnie wyglądało to rozsądnie.

Jak ostatni głupiec, udałem się na pertraktację jedynie z małą eskortą. Taurus ostrzegwał mnie przed Morantesem, ale ja byłem pewien, że żadnego namaszczonego króla nie może spotkać taki afront. Teraz będę mądrzejszy, ale wtedy, gdy tylko przez Shem dotarłem do lanthe, ten łotr Morantes schwytał mnie i wsadził do więzienia. Mój los był nieco lepszy od losu pospolitych więźniów. Od czasu do czasu docierały do mnie wieści ze świata. Stąd dowiedziałem się o twoim zwycięstwie nad Natohkiem na Przełęczy Shamla. — Król zerknął koso na Conana. — Słyszałem również, że zostałeś kochankiem mojej siostry. To prawda? Conan podniósł głowę, a na jego ustach pojawił się cień uśmiechu.

— Przyznawanie się do tego byłoby nietaktem z mojej strony. Ale powiedz, czy przyjąłbyś mnie za szwagra?

Khossus podskoczył.

— Nie ma mowy, mój dobry generale! Ty cudzoziemski barbarzyńca i pospolity najemnik? Nie, przyjacielu Conanie, nawet o tym nie myśl. Doceniam twe bohaterstwo i zawdzięczam ci życie, ale nie mogę wprowadzić cię do królewskiej rodziny. A teraz ja, król, życzę sobie spać, jestem bowiem zmęczony do szpiku kości.

— Bardzo dobrze, wasza wysokość — mruknął kwaśno Conan. — Jak sobie wasza wysokość życzy.

Długo w noc Cymmerianin siedział przy żarze ogniska, marszcząc czarne brwi, pogrążony w najczarniejszych myślach.

Następnego dnia przecięli argossańską granicę i wstąpili do niepozornej karczmy. Po kolacji, gdy próżnowali nad kuflami piwa, Khossus rzekł:

— Generale, myślałem wiele. Przysłużyłeś mi się dobrze — podniósł rękę, gdy Conan otworzył usta, by coś powiedzieć. — Nie, nie zaprzeczaj. To, jak uwolniłeś swego króla z rąk Ophiryjczyków, Kothyjczyków i żywiołów swego zdradliwego przyjaciela Rhazesa, warte jest eposu. Człowiek taki jak ty powinien założyć rodzinę, a ja życzę sobie, byś został z nami i dowodził naszą armią. Skoro nie możesz poślubić księżniczki Yasmeli, znajdę ci jakąś piękną mieszczańkę, może córkę pomniejszego ziemianina, i połączę was. W podobny sposób chciałbym wybrać odpowiedniego małżonka dla swojej siostry. Jednakże, choć życzę sobie, byś stał na czele naszej armii, ktoś o tak niskim pochodzeniu nie może dowodzić rycerzami i szlachetnie urodzonymi Khorajczykami. Sam przyznasz, że miałeś sporo kłopotów z nieszczęsnym hrabią Thepidesem. Postanowiłem więc, że wybiorę człowieka z odpowiednio wysokiego rodu i mianuję go generałem, jednakże on zawsze będzie słuchał twojej rady. A dla ciebie utworzę specjalny, dobrze płatny urząd.

Conan spojrzął na króla z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

— Szczodrość waszej wysokości wręcz mnie przytłacza.

Khossus, nie zauważając szyderstwa, wielkodusznie machnął ręką.

— To ci się po prostu należy, dobry człowieku. Jak ci się podoba tytuł sierżanta–generała?

— Odłóżmy tę kwestię do powrotu — powiedział Conan.

Spraque de Camp Lyon - Conan Szermierz

Leżąc w mrocznej izbie karczmy Conan zastanawiał się nad swą przyszłością. Dotychczas żył z dnia na dzień i pozwalał, by przyszłość sama o siebie dbała. Jednakże stało się jasne, że jego kariera w Khorai dobiegła końca. Ten wyniosły i pełen dobrych chęci młody dureń wierzył w każde własne słowo dotyczące królewskich praw i obowiązków.

Prawda, mógł spokojnie zabić Khossusa i wrócić do Khorai z jakąś wymyśloną historyjką o końcu tego idioty. Ale ryzykować tak wiele, by uratować króla, a potem go mordować? To śmieszne! Poza tym Yasmela nigdy by mu tego nie wybaczyła. Dał słowo, że uratuje jej brata, teraz zaś... — zauważył to z pewnym zdziwieniem — jego namiętność do Yasmeli zaczęła wygasać.

W Messancji Khossus znalazł nadzorcę portu, który go znał i który pożyczył mu dwadzieścia argossańskich złotych delfinów. Król oddał sakiewkę z tą małą fortuną Conanowi wraz ze słowami:

— Nie godzi się monarsze dźwigać brudnych pieniędzy. Znaleźli statek, który niebawem miał wyruszyć do Asgalun, skąd z kolei mogliby ruszyć przez Shem do Khorai. Gdy marynarze wciągnęli cumy, przygotowując się do ruszenia w drogę, Conan wsunął rękę do worka ze złotem i wyjął garść monet.

— Masz — powiedział podając pieniądze Khossusowi. — Będą ci potrzebne, żebyś mógł dotrzeć do domu.

— Ale... ale... co ty robisz? Myślałem...

— Zmieniłem zdanie — okręt odbijał już od przystani. Conan zeskoczył na ląd. Odwrócił się i dodał: — Nadszedł czas, bym odwiedził swoją ojczyznę, a tak się składa, że jutro wyrusza statek do Kordawy.

— Ale moje złoto! — krzyknął król z oddalającego się pokładu.

— Nazwij to zapłatą za swoje życie — odkrzyknął Conan. — I pożegnaj ode mnie księżniczkę Yasmelę! Odwrócił się i ruszył w swoją drogę pogwizdując. Nie obejrzał się za siebie.

GWIAZDA KHORALI

Conan przeżywa liczne przygody jako przywódca kozaków na stepach wschodniej Zamory i jako kapitan piratów na Morzu Vilayet. Ratuje królową Khauranu przed spiskiem uknutym przez jej złą bliźniaczą siostrę, władczynię pustynnej bandy zuagirskich nomadów. Zdobywa fortunę i szybko traci ją w karczmach i szulerniach Zambouli. Jednakże tam, dzięki zręcznym palcom, wchodzi w posiadanie magicznego pierścienia — Gwiazdy Khorali.

Conan ma w tym czasie trzydzieści jeden lat. Po wypadkach opisanych w opowieści „Cienie w Zambouli” zabiera Gwiazdę i wyrusza na zachód przez trawiaste równiny Shem i rozległe terytoria Koth do Ophiru. Ma nadzieję, że królowa Marala nagrodzi go szczerze za zwrot klejnotu. Liczy, że otrzyma jeśli nie osławioną komnatę pełną złota, to przynajmniej tyle, by zapewnić sobie dostatnie życie przez pewien czas. Niestety, po przybyciu do Ophiru odkrywa, że ani sytuacja polityczna, ani tajemne moce klejnotu nie są całkiem takie, jak się spodziewał.

1. DROGA DO IANTHE

Wartka dotychczas rzeka zwalniała wpływając między królestwami Koth i Ophiru. Płynąc leniwie odbijała barwę bezchmurnego nieba, lecz w pewnej chwili spokojną jej powierzchnię zburzyły końskie kopyta. Woda trysnęła w tęczowych fontannach, gdy zwierzę pokonywało bród. Zlane potem boki kasztana unosiły się ciężko. Wierzchowiec zatrzymał się i zniżył pysk, by się napić, ale jeździec, kierując się jego dobrem, ściągnął wodze i pognał zwierzę na drugi brzeg. Później, kiedy rumak ostygnie, będzie miał dość czasu, by ugasić pragnienie zimną rzeczną wodą.

Pokrytą kurzem twarz jeźdźca znaczyły smugi potu, a jego strój, niegdyś czarny, stał się mysioszary od pyłu. Conan wyruszył z Zambouli przed miesiącem. Od tej pory pokonał pustynie i stepy wschodnie Shem oraz zostawił za sobą kręte trakty Koth.

W sakiewce Cymmerianina spoczywał miły ciężar — Gwiazda Khorali. Był to wielki klejnot nieznanego rodzaju, osadzony w złotym pierścieniu, który skradziono młodej królowej Ophiru. Conan odebrał klejnot satrapie Zambouli i teraz jechał do Ophiru, by w zamian za sowitą nagrodę oddać go prawowitej właścicielce.

Potężny Cymmerianin, zawsze śmiały i szukający przygód, z ochotą podjął to wyzwanie losu. Przez całą drogę zastanawiał się, jakimi łaskami obdarzy go piękna królowa Marala w zamian za zwrot pierścienia. Usługa oddana władczyni tak wielkiego królestwa powinna przynieść mu w najgorszym razie kilka setek złotych monet. A taki majątek mógł zapewnić Conanowi wiele lat dostatniego życia. Mógłby nawet kupić sobie patent oficerski w ophirskiej armii, a może szlachecki tytuł.

Czasami rozmyślał o mieszkaniach Ophiru, którymi gardził w głębi duszy, nie potrafili bowiem żyć w jedność. Ich kraj od dawna rozdarty był między zwalczających się feudałów, a pozbawiony silnej woli władca, Moranthes II, nie potrafił rządzić samodzielnie i opierał się na sprzecznych radach najsilniejszych baronów. Mówiono, że przed wiekami pewien dalekowzroczny książę próbował zmusić skłóconych arystokratów do podpisania układu, który porządkowałby wewnętrzne sprawy kraju i zapewniał mu silną władzę. Na ten temat krążyło wiele legend, ale sytuacja panująca w Ophirze dowodziła, że na tutejszy, odwieczny bałagan nigdy nie

znaleziono lekarstwa.

Conan wybrał najkrótszą trasę do stołecznego lanthe. Trakt wił się wśród skalistych urwisk pogranicza. Kraina była prawie bezludna, jedynie tu i ówdzie stały wałące się chaty wieśniaków, którzy ledwo wiazali koniec z końcem, wypasając kozy. Później, powoli, oblicze kraju uległo zmianie. Ziemie stały się żyzne i urodzajne. Siódmego dnia podróży Conan jechał już wśród złotych pól dojrzewającego zboża.

Lecz tutejsi mieszkańcy byli równie gburowaci i milczący jak ci mieszkający w ubogich górach. Chociaż sprzedawali Conanowi jedzenie i gościli go w przydrożnych oberżach, odpowiadali na jego pytania opryskliwie albo nie odpowiadali wcale. Conan sam nigdy nie był zbyt gadatliwy, ale ta małomówność wyprowadzała go z równowagi. Aby odkryć jej przyczynę, poprosił właściciela karczmy, leżącej pół dnia drogi od lanthe, by ten napił się z nim wina.

— Co was nęka? — zapytał. — Nigdy nie widziałem ludzi tak skwaszonych i milczących. Zupełnie jakby robaki śmierci żarły im wnętrzności! Nie słyszałem o żadnej wojnie, a w kraju nie brakuje owoców i dojrzewającego zboża. Co złego dzieje się w królestwie Ophiru?

— Ludzie boją się — odparł karczmarz. — Nie wiemy, co się stanie. Gadają, że król uwięził królową, bo ponoć tarzała się w rozpuście, gdy on radził ze swymi doradcami. Ale przecież królowa Marala jest dobra! Gdy podróżuje po kraju, zawsze jest łaskawa dla prostych ludzi i nigdy wcześniej nie dotknęła jej żadna obmowa. Ostatnio baronowie trzymają się swoich zamków, gromadzą zapasy i przygotowują się do wojny. Nie wiemy, czego pragnie nasz władca.

Conan chrząknął.

— Chodzi ci o to, że nie wiadomo, czy król przypadkiem nie wpadł w obłąd. Kto teraz naprawdę rządzi w tym kraju?

— Mówi się, że królewski kuzyn, Rigello, znowu jest w łaskach. Pięć lat temu spalił dziesięć wsi ze swego lenna, bo była susza i wieśniacy nie mogli dostarczyć wyznaczonych danin. Z tego powodu został wygnany z dworu, ale teraz, jak mówią, wrócił. Jeżeli to prawda, źle wróży nam wszystkim.

Drzwi oberży stanęły otworem. Podmuch powietrza i dźwięk ostróg przerwały rozmowę. Conan spojrzał na szpakowatego wojownika w hełmie i kolczudze, ze znakiem gwiazdy na piersiach. Mężczyzna zerwał hełm z głowy i cisnął go na podłogę.

— Wina, przeklęty! — rzucił chrapliwie. — Wina tak mocnego, by ugasiło mi pragnienie i zabiło sumienie!

Służebna dziewczka przyniosła mu pędem dzban i kubek.

Conan zapytał:

— Kim jest ten człowiek?

Gospodarz zniżył głos, pochylił się ku Conanowi i szepnął:

— To kapitan Garus, oficer straży królowej Marali. Jego oddział został rozpuszczony. Mam nadzieję, że ma on jeszcze dosyć pieniędzy, by zapłacić za gościnę.

Conan wyłuskał z sakiewki złotą monetę.

— To za jego i moje jedzenie i picie. Reszta dla ciebie, żebyś tym łatwiej zapomniał o naszej rozmowie.

Oberżysta otworzył usta, ale spojrzawszy w ponure oczy Cymmerianina tylko skinął głową i wrócił do swoich beczek z winem. Conan zabrał własny dzban i kubek, zaniósł je do stołu starego żołnierza i usiadł, nie czekając na pozwolenie.

— Twoje zdrowie, kapitanie!

Oczy byłego oficera spojrzały na Conana z nieoczekiwaną ostrością.

— Czy próbujesz zrobić ze mnie głupca, cudzoziemcze? Na Mitrę, kpisz sobie ze mnie? Doskonale wiem, że powinienem być oddać życie w obronie królowej i że tego nie zrobiłem. Nie musisz mi tego mówić!

Conan powstrzymał szorstką odpowiedź, która cisnęła mu się na usta. W tej samej chwili drzwi karczmy otworzyły się z hukiem i do środka wtargnęli czterej uzbrojeni mężczyźni w czarnych zbrojach. Ich dowódca, posępny człek z białą blizną biegnącą od prawego ucha do ust, wyciągnął dłoń odzianą w żelazną rękawicę.

— Brać zdrajcę!

Stary kapitan zerwał się na nogi i sięgnął po miecz. Nim zdołał dobyć broń, dwaj żołnierze schwycili go za ramiona. Conan wskoczył na stół i kopniakiem posłał jednego z napastników w ką. Drugi zamierzył się mieczem w jego nogi, ale Cymmerianin podskoczył wysoko i ostrze ze świstem przemknęło poniżej jego obcasów. Za moment stopy Conana trzasnęły w pierś przeciwnika i obaj mężczyźni runęli na zasłane słomą klepisko. Żołnierz wrzasnął z bólu, gdy jego żebra pękły pod ciężarem potężnego barbarzyńcy.

Conan poderwał się i wyrwał miecz z pochwy na czas, by sparować cięcie oficera z blizną na twarzy. Kątem oka zobaczył, jak stary kapitan wymienia ciosy z ostatnim napastnikiem. Pozostali klienci karczmy w popłochu wypadali na dwór, przyciskali się do ścian lub kryli pod dębowymi stołami.

Tnąc i parując ciosy oficera, Conan ryknął:

— Dłaczego, do diabła, przerywasz mi wieczerzę?

— Dowiesz się w lochach hrabiego Rigella! — wysapał oficer. — Twoje dni dobiegły końca.

Conan szybko zauważył, że jego przeciwnik jest zaprawionym i zręcznym fechtmistrzem. W pewnej chwili Ophiryjczyk wyciągnął sztylet zza pasa i po uniknięciu jednego z potężnych ciosów Cymmerianina, rzucił się ku niemu dążąc do zwarcia, po czym pchnął lewą ręką.

Spraque de Camp Lyon - Conan Szermierz

Conan odrzucił miecz i złapał nadgarstek mężczyzny. Z prędkością nie znaną żadnemu cywilizowanemu człowiekowi, drugą rękę zacisnął na udzie przeciwnika, dźwignął go nad głowę i rzucił na podłogę, która zadygotała jak w czasie trzęsienia ziemi. Broń przeciwnika zagrzecotała u stóp Conana, oficer zaś znieruchomiał z pogruchotanymi kośćmi. Z ust popłynęła mu struga krwi.

Conan podniósł swój miecz i spojrzał, jak radzi sobie Garus. Przeciwnik starego żołnierza, rozbrojony, stał pod ścianą, zaciskał dłoń na skrwawionym ramieniu i błagał o litość.

— Skończ z nim! — krzyknął Conan. — Musimy jechać!

Garus trzasnął mężczyznę w ucho głowicą miecza. Żołnierz jęcząc runął na słomę. Karczmarz i najodważniejsi z klientów tłoczyli się w drzwiach, wytrzeszczając oczy na pobojuwisko. Conan i Garus ignorując ich schowali broń i wybiegli na zewnątrz. Wkrótce galopowali w kierunku lanthe. Ich płaszcze z furkotem łopotały na wietrze.

— Dlaczego, cudzoziemcze, ratowałeś moją skórę? — zapytał Garus, gdy zwolnili do stępa.

Chrapliwy śmiech Conana przetoczył się nad gościńcem zalany światłem księżyca.

— Nie lubię, gdy ktoś przeszkadza mi osuszyć dzban wina. Poza tym mam pewną sprawę do królowej i będę potrzebował twojej pomocy, by uzyskać audiencję.

Spięte ostrogami wierzchowce pomknęły w aksamitną noc.

O świcie obaj mężczyźni wpadli galopem do miasta, leżącego po obu stronach Czerwonej Rzeki, dopływu Khorotasu. Wschodzące słońce licznymi odcieniami czerwieni malowało okna krytych dachówkami budynków. Złote i miedziane ozdoby kopuł i wież migotały w porannym blasku niczym drogocenne kamienie.

2. „PRZYNIĘŚ MI SMOCZE PAZURY”

Znów karczma, znów stół, znów dzban wina. Conan i Garus siedzieli w oberży „Pod Odyńcem” w lanthe, otuleni w obszerne płaszcze z głęboko naciągniętymi kapturami. Schyleni nad winem mężczyźni rozmawiali po cichu z ciemnoskórą dziewczyną w strojnym kaftanie służącej z zamożnego domu. Jej oczy były czerwone od płaczu.

— Tak bardzo pragnę pomóc mej królowej!

— Ciszej — mruknął Conan. — Gdzie ona teraz jest?

— W Zachodniej Wieży królewskiego pałacu. Drzwi komnaty strzeże dziesięciu ludzi hrabiego Rigella, tylko pokojówka przynosi jej jedzenie. Jedyłą prócz niej osobą, której wolno składać wizyty królowej, jest jej medyk.

— Jak on się nazywa? — zapytał Conan z błyskiem w oku.

— Uczony doktor Khafrates mieszka przy Narożnej Wieży. Jest starym i mądrym przyjacielem królowej.

— Nie bój się, mała. Spotkamy się z dobrym doktorem i zobaczymy, czy potrafi wyleczyć chorobę królowej. Ale najpierw rzućmy okiem na Zachodnią Wieżę.

Wczesny wieczór przyodziął się już w różowe chmury na znak nadchodzącej nocy. Ulice lanthe rozbrzmiewały okrzykami mieszkańców. Conan i Garus nie zwracając niczyjej uwagi dotarli do Zachodniej Wieży. Była ona częścią narożnego bastionu w murze otaczającym pałac. Jej cylindryczne ściany wyrastały przy jednej z głównych, miejskich alei. Od dołu był lity mur, dopiero na wysokości trzeciego piętra znajdowały się okna, niektóre oświetlone od wewnątrz.

— Które należy do komnaty królowej? — zapytał szeptem Conan.

— Muszę policzyć — odparła dziewczyna. — Tamto, w drugim rzędzie, trzecie od prawej — wyciągnęła rękę.

— Nie pokazuj, dziewczyno. Zwrócisz na nas uwagę — Conan podszedł do podstawy muru i uważnie przyjrzał się murarce.

— Nikt nie zdoła wspiąć się na tę ścianę — stwierdził Garus.

— Nie? Więc jeszcze nie wiesz, co potrafi cymmeriański góral. — Conan pomacał zaprawę między warstwami kamienia. — Częściowo masz rację, Garusie. Szczeliny między kamieniami są zbyt płytkie, by zapewnić dobre oparcie dla palców rąk i nóg. Lecz jest na to rada. Teraz jednak chodźmy do doktora Khafratesa.

Uczony medyk był korpulentnym człowiekiem o bujnej, siwej brodzie, która niczym topniejący śnieg leżała na jego potężnych piersiach. Rozważnie odpowiadał na pytania Conana.

— Zgodnie z lekarską przysięgą, leczę wszystkich, którzy tego potrzebują, bez względu na to, po której stronie prawa stoją. W ciągu minionych lat miałem okazję poznać osobiście największych złodziei w tym mieście. Nie zdradziłbym ich nazwisk nikomu. Jednak dla was, ze względu na moją królową, zrobię wyjątek. Pójdę z wami do mieszkania Torgria, złodzieja, który niedawno rozstał się ze swoją profesją. W swoim czasie słynął ze zręczności w tej szczególnej sztuce. Osiągnął mistrzostwo we wspinaczce na wysokie ściany, a teraz żyje ze swoich nieuczciwie zdobytych dóbr. Chodźcie.

Dom Torgria był mały i skromny, wciśnięty między magnacki dwór a zakład garncarza. W takim domu równie dobrze mógł mieszkać zapobiegliwy, ciężko pracujący kupiec, który po życiu pełnym wyrzeczeń

Spraque de Camp Lyon - Conan Szermierz

wycofał się z interesów. Torgrio nie był człowiekiem, który ostentacyjnie chwaliłby się swoim majątkiem.

Sam złodziej był tak oszczędnie zbudowany, że przypominał Conanowi pająka. Kiedy Khafrates przedstawił przybyłych i poręczył za nich, Torgrio uśmiechnął się, pokazując pieńki zębów.

— Tak samo jak dobry doktor, mam swoje zasady — powiedział — ale ten przypadek jest w istocie wyjątkowy. Co mógłbym dla was zrobić?

— Potrzebuję narzędzi potrzebnych, by wspiąć się na Zachodnią Wieżę — odparł Conan.

— Poważnie? — rzekł Torgrio unosząc brwi. — Jakich narzędzi?

— Dobrze wiesz, czego potrzebuję — warknął Conan. — Są takie rzeczy w lanthe. Kiedy sam byłem w tym cechu, słyszałem o nich.

— Przyznaję, że istnieją.

— Zatem zechcesz mi je pokazać?

Torgrio namyślał się chwilę, po czym zawołał:

— Junia, przynieś mi smocze pazury!

Po pewnym czasie w drzwiach pojawiła się kobieta w średnim wieku z naręczem stalowych przyrządów. Torgrio wziął je i zaczął wyjaśniać sposób ich użycia:

— Tę parę przypina się do butów, o ile zmieszczą się na buty tak wielkie jak twoje, a tę zakłada na ręce. Najpierw jednak dopasowuje się rozstaw kleszczy do wielkości kamieni. Potem wsuwa się je w szczeliny, opiera i szarpie rączkę w dół, o tak! zaciskając kleszcze na dolnym i górnym skraju kamienia. By zwolnić uchwyt, trzeba pociągnąć w górę. Zawsze, w czasie przechodzenia z jednego rzędu kamieni na drugi należy trzymać się ściany jedną nogą i ręką.

Garus wdrygnął się.

— Nawet gdyby sam Mitra kazał mi pełznąć po murze niby mucha, nie mógłbym tego zrobić.

Śmiech Conana przypominał grzmot przetaczający się górskimi dolinami.

— Przyzwyczałem się do wysokości na urwiskach swego rodzinnego kraju. Czasami miałem do wyboru, albo wspinać się, albo stracić życie. Popróbujmy nieco na twojej ścianie, Torgrio.

3. MUR, NA KTÓRY NIE MOGŁABY WSPIĄĆ SIĘ NAWET MUCHA

Kapitan straży zatrzymał Khafratesa przed komnatą królowej. Wśród niewybrednych żartów na temat jego tuszy, medyk został poddany skrupulatnej rewizji. Potem ciężkie zamki zostały otwarte i Khafrates wszedł do więzienia królowej.

Ciemnoskóra niewolnica, odziana w fałdziste szaty, poprowadziła go do wewnętrznej komnaty. Mieszkanie królowej jak na więzienie było urządzone z przepychem. Ściany zdobiły gobeliny z Iranistanu i Vendhii. Złote puchary i polerowane, srebrne tacki błyszcząły na malowanych półkach rzeźbionych kredensów.

Połykujące włosy płaczącej królowej Marali rozlały się płową falą na poduszkę i luźno spływały w dół. Marala leżała na kanapie pokrytej turańskim złotogłowiem, ale luksusowe pościelenie nie koło smutku młodej kobiety. Wzdychała żałośnie, a jej szczupłe ciało drżało pod wpływem miotających nią emocji.

Niewolnica przemówiła delikatnie, ale z wyraźnym zniecierpliwieniem:

— Pani! Przyszedł uczony doktor Khafrates. Czy raczysz go przyjąć?

Marala podniosła głowę i wytarła oczy chusteczką.

— O tak! Wejź, dobry doktorze! Jesteś moim jedynym przyjacielem, tylko tobie ufam. Możesz odejść, droga Rino.

Khafrates wtoczył się do komnaty, przyklęknął i stęknął, podnosząc z mozołem swe opasłe cielsko. Marala pokazała mu, by usiadł na kanapie. Gdy doktor zajął miejsce, ujęła jego ręce i powiedziała:

— Jak dobrze cię widzieć, doktorze Khafratesie! Ogarnia mnie rozpacz. Jestem tutaj od miesiąca, bez przyjaciół, prócz ciebie i Riny. Zawsze byłem wierna Moranthesowi, ale teraz jego zachowanie stało się nie do zniesienia. Rina mówiła mi, że ludzie Rigella w pałacu i na ulicach opowiadają, jak mój mąż skacze, gdy Rigello strzeli palcami.

Musisz służyć mi radą, drogi przyjacielu. Wiesz, że mój ojciec nakłonił mnie do poślubienia Moranthesa, by w Ophirze nie wygasł królewski ród. Nie zależało mi na królu, znałam go zawsze jako słabego i zmiennego człowieka, ale spełniłam swój obowiązek. Myślę nawet, że mój ojciec żałował, iż wydał mi taki rozkaz, ale nie mógł zdradzić swych prawdziwych uczuć, gdyż król nie pozwoliłby mu dłużej żyć.

Gdy jednak przyszło co do czego, nadzieje mego ojca na to, że nasz związek zaowocuje silnymi książkami Ophiru, okazały się płonne. Moranthes nie dba o kobiety. Gustuje... mniejsza o to! Ma inne gusta. Potem moje kłopoty pomnożyły się, gdy rok temu jakiś nikczemny łajdak ukraść mi Gwiazdę Khorali!

Khafrates przecesał palcami brodę, co pomogło mu porządkować myśli. Królowa nigdy nie rozmawiała z nim tak otwarcie. Nie był nadwornym medykiem, wykorzystującym swoje stanowisko dla intryg, i z tego powodu pozwolono mu opiekować się uwięzioną królową. I dlatego też otrzymał zadanie, które mógł przypłacić życiem...

Wspomniał niedawną rozmowę z olbrzymim, niebieskookim barbarzyńcą i posiwiąłym kapitanem straży, który w szczęśliwszych czasach zapadł w pamięć królowej. Krew ścięła się doktorowi w żyłach, gdy pomyślał,

Spraque de Camp Lyon - Conan Szermierz

jakie ryzyko podejmuje. Lecz tę piękną kobietę, która teraz prosiła go o pomoc, darzył miłością od czasów, gdy była dzieckiem. Niespodziewanie ogarnęło go zadowolenie, że zdobył się na odwagę, by przyłączyć się do spisku mającego na celu jej dobro. Przesunął uspokajająco ręką po czole królowej i powiedział:

— Niechże wasza wysokość nie poddaje się rozpaczli! Serce waszej wysokości przeszywa smutek, spowodowany przez samotność i niesłuszne oskarżenie. Ale pomoc jest bliżej, niż wasza wysokość myśli.

Królowa Marala usiadła, wyprostowała się i odgarnęła włosy z twarzy.

— Jesteś bardzo miły, Khafratesie. Ale musisz przyznać, że kiedy posiadałam Gwiazdę, Moranthes lękał się jej mocy. Teraz już się mnie nie boi i nie dba o to, co się ze mną stanie.

Khafrates wznosił krzaczaste brwi.

— Zatem jaka była moc tego klejnotu, pani?

— Nie była, lecz jest, chociaż powszechna legenda mówi o niej nieprawdę — królowa wzruszyła ramionami. — Moranthes wyobrażał sobie, że dzięki temu kamieniowi mogłam zrobić niewolnika z każdego napotkanego mężczyzny. Wierzył w to bez reszty i gdy to doszło do pospólstwa, ono również w to uwierzyło. Ale legenda kłamie.

Wstała, wyprostowała się i spojrzała twardo na medyka.

— Myślisz, że potrzebuję magii, aby nakłonić mężczyznę, oczywiście myślę o normalnym mężczyźnie, by był posłuszny mojej woli?

Chociaż Khafrates był stary, dobrze odczuwał moc emanującą z pysznie rzeźbionych rysów królowej i słodkich krągłości jej gibkiego ciała, którego kształty nie do końca maskowała obszerna szata. Z pełnym przekonaniem potrząsnął przecząco głową.

— Opowiem ci pewną historię — rzekła Marala. W zadumie ściągnęła brwi i zaczęła przechadzać się po komnacie. — Hrabia Alarkar, pradziad mojego pradziada, był pierwszym właścicielem Gwiazdy Khorali. Swego czasu, a było to na długo, nim obecna dynastia władająca Ophirem zasiadła na tronie, przemierzał on krainy Wschodu, w których nie postać dotąd noga żadnego Ophiryjczyka...

Khafrates zakaszlał i wtrącił:

— Wasza wysokość, mam pewne niecierpiące zwłoki wieści...

Królowa władczy gestem nakazała mu milczenie.

— Kiedy Alarkar wędrował przez dżungle Vendhii, natknął się na ruiny miasta Khorala, zamieszkane jedynie przez starego pustelnika. Ów starzec umierał z głodu, złamał bowiem nogę i nie był w stanie uprawiać swego ogródka.

Alarkar opiekował się nim, póki święty mąż nie wrócił do zdrowia. Pustelnik pragnąc okazać swą wdzięczność otworzył skrytkę ze skarbem pod posadzką zrujnowanej świątyni i powiedział, że Alarkar może zabrać to, co sobie życzy. Mój przodek wybrał pierścień z wielkim, dziwnym kamieniem, w którego szafirowym sercu, niczym gwiazda uwięziona w kryształach, pulsował wieczny ogień. Alarkar postanowił zabrać jedynie ten klejnot.

— Dlaczego nie zabrał innych? — zapytał zdumiony Khafrates.

Królowa uśmiechnęła się.

— Hrabia Alarkar nie był chciwym człowiekiem i sam posiadał duży majątek. Poza tym, jak sądzę, uważał, że jeżeli orszak ruszy w powrotną drogę objuczony bogactwami, to skuszą one albo jakichś bandytów, albo zachłannych władców, co skończyłoby się nieszczęściem. W każdym razie, ten jeden pierścień był wszystkim, o co poprosił.

Okazało się, że dokonał właściwego wyboru. Pustelnik był czarnoksiężnikiem, który dwieście lat temu wyrzekł się wykorzystywania magii dla własnych celów. Owego maga tak ujęła cnota mego przodka, że rzucił na klejnot potężny czar.

— Na Gwiazdę Khorali?

— Tak. Po zakończeniu magicznego obrzędu czarnoksiężnik powiedział: „Ten pierścień, gdy znajdzie się w posiadaniu dobrego człowieka, sprawi, że inni dobrzy ludzie zgromadzą się wokół niego, by walczyć w dobrej sprawie”. — Marala przerwała rozpamiętując dawno minioną przeszłość.

— Ale jakie znaczenie ma to dzisiaj?

Królowa podjęła opowieść:

— Dwieście lat temu, dzięki temu klejnotowi Alarkarowi udało się zjednoczyć króla i wielmożów i skłonić ich, by podpisali kartę, która określała prawa i obowiązki wszystkich poddanych królestwa. Z powodu zdrady jego zamierzenia zawiody i...

Okno komnaty wybuchło z trzaskiem i brzękiem pryskających szyb. Do komnaty wpadł odziany w czerń olbrzym o błękitnych, płonących oczach. W jednej ręce trzymał wzniesiony miecz, a w drugiej parę osobliwych przyrządów. Były to wielkie pazury przemyślnie wykute ze stali. Położył je na kobiercu razem z bronią, potem przysiadł na podnóżku i zdjął parę podobnych przyrządów z nóg. Następnie wstał, skoczył ku drzwiom komnaty i nasłuchiwał przez chwilę. Marala zamarała przestraszona, lecz jednocześnie nie mogła oprzeć się fali podziwu, która zalała ją na widok kocich ruchów mężczyzny.

Intruz odwrócił się do Khafratesa i królowej. Błysnął białymi zębami w szerokim uśmiechu. Medyk zerwał się na nogi, niespokojnie wymachując rękami. W końcu wziął się w garść i wykrzyknął:

Sprague de Camp Lyon - Conan Szermierz

— Conanie! Nie miałem czasu, by przedstawić jej wysokości nasz plan! Wpadłeś tutaj niczym byk do sklepu z khitajską porcelaną.

Conan zignorował go. Sycąc oczy widokiem zgrabnej Marali, powiedział:

— Wasza wysokość pragnie wyzwolić się z tego więzienia, prawda?

— Och, tak. Ale jak?

— Tak, jak wszedłem; po murze, z pomocą tych oto przyrządów. Pojedziesz pani wygodnie, jak worek na moich plecach.

— Dokąd mnie zabierzesz, cudzoziemcze? — Oczy królowej płonęły z podniecenia.

— Najpierw do bezpiecznego miejsca, w którym będziemy mogli dobić targu, a potem tam, dokąd sobie zażyczysz.

— Ale co ze mną? — jęknął Khafrates. — Kiedy strażnicy odkryją, że wasza wysokość zniknęła, rozedrą mnie na strzępy i przetopią na olej!

Marala odwróciła się do Conana.

— Nie możemy zabrać go z sobą?

Cymmerianin zastanowił się.

— Nie. Te smocze pazury nie utrzymają ciężaru trzech osób. Ale zapewnię naszemu doktorowi dobre tłumaczenie, dlaczego nie wezwał straży. Musimy się spieszyć. Garus czeka z końmi.

Radość rozjaśniła twarz Marali.

— To Garus żyje? Zawsze gotowa byłam powierzyć mu swoje życie!

— Zatem w drogę, pani! Nie ma czasu do stracenia.

Marala nie była przyzwyczajona, by traktowano ją w tak bezceremonialny sposób, ale bez sprzeciwu pośpieszyła do ubieralni i przebrała się w strój myśliwski. Po powrocie do salonu zobaczyła, że Khafrates leży związany i zakneblowany na dywanie. Medyk, z czerwieniejącym śladem na szczęce, nie wiedział ani gdzie jest, ani co mu się przydarzyło. Conan uśmiechnął się, gdy królowa zbliżyła się do niego, nie okazując strachu.

— Twój plan zapewnienia bezpieczeństwa Khafratesowi wydaje się solidny — powiedziała. — Jestem gotowa.

W błękitnych jak lód oczach barbarzyńcy błysnął podziw dla jej opanowania i pysznych krągłości rysujących się pod aksamitną, jeździecką kurtką i jedwabnymi pantalonami wpuszczonymi w czerwone buty z miękkiej skóry. Łapiąc haftowaną narzutę, Cymmerianin powiedział:

— Przywiążę cię do pleców, dziewczyno, i pojedziesz niczym niemowlę w szalu matki. Obejmij mnie rękami za szyję i nogami w pasie. Jeżeli wysokość przyprawi cię o zawrót głowy, zamknij oczy. Nie wierć się, a te smocze pazury bezpiecznie sprowadzą nas na ziemię.

Conan usiadł, by przymocować haki do butów, potem otoczył szczupłe ciało królowej narzutą i związał rogi na swych piersiach i biodrach. Marala przywarła do jego pleców. Conan ostrożnie wyszedł tyłem przez okno i znalazł szczeliny, w które wsunął stalowe pazury.

Schodził powoli, ponieważ jego ruchy krępował dodatkowy ciężar, a poza tym nie chciał narażać na strach i zbędne niewygody kobietę, która znalazła się pod jego opieką.

Bez pośpiechu zsuwali się po pionowej ścianie, podczas gdy niczego nieświadome miasto spało pod bezkسیężycowym niebem. Nie zaszczekał nawet pies.

4. OGIEŃ NA GÓRZE

— Cudzoziemcze, proszę, powiedz mi — rzekła Marala. — Kim jesteś?

Po długim galopie na północny zachód zsiadli z koni i teraz szli obok siebie, by dać wierzchowcom odsapnąć. Bez żadnych niespodzianek i bez opóźnienia dotarli do drogi, na której czekał Garus z trzema wierzchowcami i zapasami na drogę. Grzmot kopyt nie zakłócił snu żadnego urzędnika ani chłopca, gdy pędzili cichymi, nawiedzanymi przez duchy wiejskimi drózkami.

— Jestem Conan. Cymmerianin z urodzenia i włóczęga z zamiłowania — odparł potężny barbarzyńca. — Walczyłem w tylu krajach, że nawet najmędrsi ludzie nie wiedzą o ich istnieniu.

— A dlaczego mnie uratowałeś?

— Mam coś, czego chcesz, pani, i myślę, że dasz mi za to dobrą cenę.

— Myślę, że nikomu nie mogłabym uczciwie zapłacić nawet za kromkę chleba. Jestem królową bez tronu. Ale powiedz mi, co jest tą rzeczą?

— Porozmawiamy o tym później, kiedy zatrzymamy się na odpoczynek. Teraz nie możemy zwlekać.

Kiedy noc położyła kres długiemu dniu ich ucieczki, rozpalili małe ognisko w skalnej szczelinie, żeby blask nie był widoczny z traktu. Konie, rozkulbaczone i spętane, ugasiły pragnienie w szemrzącym, górskim strumieniu i gryzły teraz trawę. Przed ucieczką Conan kupił chleb, owoce i suszone mięso oraz bukłak kothyjskiego wina i teraz uciekinierzy posilali się przy potrzaskującym ogniu. Zaspokoivszy głód, Conan oparł się o siodło i zapatrzył na siedzącą obok piękną kobietę. Zatem ta zmęczona, ale odważna dziewczyna była królową Ophiru! Królową, o której mówiono, że potrafi uczynić niewolnika z każdego mężczyzny za pomocą

Spraque de Camp Lyon - Conan Szermierz

klejnotu ukrytego w tej chwili w jego sakiewce. Często wyobrażał sobie, że gdy przybędzie do Ophiru, uzyska audiencję u królowej, skłoni się jak dworzani i poda jej pierścień w zamian za tysiąc sztuk złota i może jakieś popłatne stanowisko w armii. Zamiast tego siedzi na trawie niczym pospolity wieśniak obok królowej, która była uciekinierem bez grosza przy duszy. A w dodatku kraj wokół nich był rozdarty wewnętrznym konfliktem.

Mruknął do Marali:

— Khafrates, jak rozumiem, nie wyjaśnił pewnych rzeczy tobie ani mnie. Co to za klejnot, którego jak mówią, używasz, by zmuszać Judzi do posłuszeństwa?

Królowa spojrzała mu prosto w oczy.

— Wiedz, Conanie, że Alarkar, mój przodek, otrzymał ten klejnot dawno temu od vendhiańskiego pustelnika.

Pokrótkie powtórzyła historię, jaką wcześniej opowiedziała Khafratesowi. Na koniec wspomnienie starodawnej zdrady sprawiło, że głos jej zadrżał, gdy próbowała powstrzymać łzy cisnące się do oczu.

— Po powrocie do Ophiru hrabia Alarkar, zdecydowany wzmocnić królestwo, zwołał wszystkich wielmożów — zwróciła się do Garusa: — Kapitanie, z pewnością słyszałeś o Bitwie Stu i Jednego Miecza?

Garus przewyciężył morzący go sen i odrzekł głębokim głosem:

— Tak, wasza wysokość, słyszałem o niej, chociaż jak bywa z każdą legendą, ta też zatarła się z upływem czasu. Dwieście lat temu hrabia Alarkar zwołał wielmożów do swego zamku Theringo. Przybyli jedynie z przyboczną świtą, by omówić sprawę królestwa. Spotkali się na równinie pod zamkiem Theringo, ale nie zgadzali się w niczym. Potem hrabia zniknął.

Królowa podjęła opowieść:

— Zakończenie tej historii jest znane jedynie mojej rodzinie. Opowiem je wam.

Conan siedział spokojnie, chłonąc pilnie jej słowa. Marala mówiła:

— Wszyscy najznacniejsi wielmoże zebrali się na równinie pod zamkiem, ale obrady przebiegały w żółwym tempie. Chociaż mój przodek obawiał się siły Koth i narastającej potęgi Turanu, nie chciał korzystać z mocy magicznego pierścienia.

Garus dołożył drewna do ognia i poruszył głowniami. Płomienie zaczęły lizać nową kłodę, a iskry, jak świetliki, pomknęły w noc. Królowa napiła się wina i podjęła wątek:

— W czasie zgromadzenia hrabia Mecanta, od którego wywodzi się mój powinowaty Rigello, oddalił się bez słowa. Hrabia Frosol i baronowie Terson i Lodier wkrótce podążyli za nim. Także wszyscy ludzie z ich świt dosiedli wierzchowców i odjechali.

Chwilę później z pobliskiego lasu, gdzie zaczęli się kusznicy Mecanty, wyleciał deszcz bełtów. Tego dnia na równinie były setki wielmożów i ich rycerzy. Większość bez zbroi, i mnóstwo z nich zginęło. Alarkar zebrał pozostałych, którzy wsiedli na koń i rzucili się w pościg za zdrajcami.

Oczy Marali zapełniły się łzami. Conan przyciągnął dziewczynę do siebie i przytulił.

— I co potem? — przynaglił.

— Alarkar i jego ludzie zdołali odjechać jedynie na strzał z łuku od zamku, gdy natknęli się na armię Mecanty i jego zwolenników w szyku bojowym. Alarkar przyjął wyzwanie i bronił rodzinnego sztandaru, póki nie padł, przeszyty strzałą z łuku — Marala zamilkła, przygnębiona. Głęboki bas Conana przywołał ją do rzeczywistości:

— Historia się powtarza. Wydarzyło się to, co zawsze. Wielmoże kłóca się i pakuje jeden drugiemu nóż w plecy. Co w tym nowego? — Jego ton był celowo szorstki, by Marala wyrwała się z zadumy i podjęła opowieść o Gwieździe Khorali.

— Wszyscy zostali pogrzebani tam, gdzie padli. Zamek legł w ruinie. Hrabina uciekła z nielicznym orszakiem, a syn, którego nosiła, był moim przodkiem.

— A co z Gwiazdą Khorali? — przynaglił Conan.

— Alarkar nie korzystał z magii. Ufał w siłę rozsądku, wierzył, że wszyscy uznają cel, do jakiego dążył, za mądry i sprawiedliwy. Gwiazda spoczywała na piersiach jego żony, która owdowiawszy wyszła później za mąż w innym kraju. Jej syn, kiedy dorósł, wrócił do Ophiru upomnieć się o swoje lenno i dał początek mojemu rodowi. Dzięki temu legenda nie zatraciła się w mrokach przeszłości, a klejnot przekazywano z pokolenia na pokolenie. Teraz jest stracony na zawsze.

— Co byś zrobiła, gdyby do ciebie wrócił? — zapytał niedbale Conan.

— Próbowałabym wykorzystać jego moc. Zgromadziłabym dobrych ludzi królestwa, by wyrwać mego nieudolnego męża ze szponów Rigella. Czy wątpisz w to, że gdybym mogła, wypędziłabym Rigella i zjednoczyła królestwo?

Zawzięte słowa i odwaga szczupłej dziewczyny, która w dziczy, przy obozowym ognisku z zaledwie dwoma ludźmi mówiła o przepędzaniu tyranów i intrygantów, trąciły wrażliwą strunę w barbarzyńskiej duszy Conana. Chrząknął, zakłopotany ogarniającym go wzruszeniem.

— Pani... — powiedział, po czym złapał sakiewkę i wyciągnął Gwiazdę Khorali. — Weź swą rodową błyskotkę. Lepiej ją wykorzystasz ode mnie.

Usta królowej rozchyliły się ze zdumienia.

— Ty... ty mi go dajesz?

Spraque de Camp Lyon - Conan Szermierz

— Tak. Nie jestem świętym, jak twój przodek, ale... czasami lubię pomóc odważnej kobiecie osaczonej przez kłopoty.

Marala wzięła pierścień i spojrzała na klejnot, w którego owalnym, szafirowym oku płonęła uwięziona gwiazda.

— Stawiasz mnie w trudnej sytuacji, Conanie. Jak mogę ci się odwdziżyć?

Płonące spojrzenie Cymmerianina znacząco omiotło pyszne kształty Marali. Dziewczyna odsunęła się od niego z królewską godnością.

Conan, odwracając wzrok, powiedział:

— Nie jesteś mi nic winna, pani. Ale jeżeli odzyskasz tron, a ja zagoszczę na twym dworze, możesz powierzyć mi dowództwo swej armii.

Marala spojrzała pytająco na Garusa, który skinął głową.

— On jest odpowiednim człowiekiem, pani. Był kapitanem najemników, wodzem bandy dzikich nomadów i dowódcą straży. To przebiegły strateg i zręczny fechtmistrz, któremu nieobcy jest żaden rodzaj broni. On uratował mi życie, a tobie zwrócił wolność.

— Zatem niech tak będzie — rzekła Marala.

5. „PRZYPROWADŹ KONIA. RUSZAMY!”

Hrabia Rigello ubrany był w czarną kolczugę. Miecz i sztylet szczykały u jego boku, a hełm spoczywał na inkrustowanym srebrem stole. Król Moranthes obrzucił kuzyna niespokojnym spojrzeniem. Z trudem ukrył strach przed aroganckim potomkiem domu Mecanty.

Moranthes II czasami zastanawiał się nad otruciem czarnego hrabiego. Ale obawiał się, że krewniacy i zwolennicy Rigella mogliby srogo pomścić swego przywódcę. Poza tym, gdyby Rigello zniknął, czyż nie mogłoby się zdarzyć, że on sam wpadłby w ręce wielmożów jeszcze bardziej bezlitosnych, albo zostałby pozbawiony tronu przez jakiegoś bezczelnego uzurpatora, takiego jak ten łotr, kuzyn Amalrus?

Głębokie zmarszczki porzyły ponurą twarz Rigella, gdy hrabia pochylał się nad stołem jak głodny pies.

— Królowa została uprowadzona z wieży minionej nocy, wasza wysokość — powiedział. — Mam setkę ludzi gotowych wyruszyć na twój rozkaz.

Rigello wiedział, że on sam mógł zorganizować pościg, ale bawiło go okazywanie pozornej służalczości bezwolnemu, młodemu królowi. Mówił dalej:

— Uprowadzenie, jestem pewien, miało miejsce za przyzwoleniem królowej. W komnacie znaleziono jej medyka, nieprzytomnego, związanego i zakneblowanego, a okno było strzaskane.

— Jak ktokolwiek mógłby wejść i wyjść z komnaty przez okno? — zapytał król piskliwie. — Za nim jest przepaść mierząca piętnaście czy dwadzieścia kroków!

— Masz rację, panie. Królowa bez wątpienia opuściła swoim porywaczom linę. Jasne, że spiskuje przeciwko waszej wysokości, jak często ostrzegałem. Teraz wywołanie rebelii jest tylko kwestią czasu.

Król, przygryzając kciuk, rozejrzał się po kąpiącym od złota gabinecie, jak gdyby spodziewał się, że nieme ściany udzielały mu rady. W pomieszczeniu, prócz hrabiego i sztywnych jak kije strażników przy drzwiach, nie było nikogo.

— Wasza wysokość, czas skończyć z walką między arystokratycznymi rodami — podsunął Rigello. — Raz na zawsze.

— Tak, tak — król wciąż nie potrafił podjąć decyzji. — Jak myślisz, co powinienem zrobić?

— Rozkazać natychmiastowy pościg. Królowa i jej ludzie nie mogą być daleko od lanthe. Nawet jeśli mają najlepsze wierzchowce, od czasu do czasu muszą robić postoje. Każdy z moich jeźdźców poprowadzi luzaka, więc powinniśmy ich szybko dopędzić.

— Skąd wiesz, w jaką stronę się udali? — zapytał zrzędlawie król.

— Królowa bez wątpienia jedzie na południowy zachód, do swych rodowych ziem Theringo. Jedyne tam może zgromadzić swych popleczników.

— Ale jeżeli odzyskała Gwiazdę Khorali, żaden człek nie zdoła uczynić nic wbrew jej woli i nikt nie wystąpi przeciwko niej. Jak pokonasz moc klejnotu?

— Panie, nikt nie widział Gwiazdy od czasu, gdy została skradziona dwanaście miesięcy temu. Gdyby królowa ją miała, nie musiałaby uciekać z wieży, ponieważ strażnicy byłiby posłuszni jej rozkazom i w prostszy sposób uzyskaby wolność.

Twarz króla pojaśniła.

— Dziękuję ci, Rigello. Czytasz w moich myślach. Pędź jak wicher! Przywiedź królową do sali tortur i nie szczędź ludzi, którzy jej pomogli!

Rigello uśmiechnął się złowieszczo wychodząc z gabinetu króla. Nałożył rękawice i mocniej zaciągnął pas z mieczem. Kiedy schwytał królową Maralę, pomyślał, użyję jej, by wzniecić rewoltę przeciwko Moranthesowi, obalić go i zabić. Potem poślubię ją i zasiądę na tronie jako król Ophiru!

Rigello nie przejmował się tym, co królowa miałaby do powiedzenia na temat tego planu. Nie wątpił, że Marala będzie wolała prawdziwego mężczyznę, takiego jak on, od zniewieściałego Moranthesa II. Gdyby się

opierała, istniały skuteczne metody perswazji...

Rigello zatrzymał się na chwilę, podziwiając swą krzepką postać w wielkim lustrze na ścianie korytarza. Potem poprawił płaszcz i wyszedł po schodach na dziedziniec.

— Barras! — szczechnął. — Przyrowadź konia. Ruszamy!

6. ZAMEK THERINGO

Conan zostawił Maralę i konie pod pieczą Garusa i sam wspiął się na szczyt wzgórza. Nie wystawił głowy ponad krzakami, lecz tylko rozchylił gałęzie i ogarnął wzrokiem rozciągającą się w dole krainę.

— Dlaczego posuwamy się tak wolno? — zapytała niespokojnie Marala. — Musimy się spieszyć, by jak najszybciej dotrzeć do aquilońskiej granicy.

— Conan jest człowiekiem, który dba o twoje bezpieczeństwo, pani — odparł Garus. — Chociaż ma o połowę lat mniej niż ja, wyszedł bez szwanku z wielu walk i ucieczek. Zaufaj mu!

Conan skinął na nich. Kiedy Marala i Garus dotarli na szczyt wzgórza, ujrzeli przed sobą rozległą równinę. W oddali, na małym wzniesieniu, stały ruiny zamku. Za nim, na skraju równiny, u stóp gór wznoszących się na tle nieba, wiała się srebrzysta rzeka.

— Wiem, czyja to była siedziba... — wyszeptała Marala. Mierzając wzrokiem okolicę, Conan powiedział:

— Kiedy przetniemy tę równinę i rzekę, znajdziemy się niedaleko aquilońskiej granicy. Biegnie ona szczytami owego górskiego grzbietu, tam na horyzoncie. Ludziom króla niełatwo będzie nas schwycić, Aquilończycy bowiem nie cierpią zbrojnych najeźdźców.

Spiesznie wrócili do koni, dosiedli ich i zjechali galopem po drugiej stronie pagórka. Gdy dotarli na równinę, Conan usłyszał ciche, rytmiczne dudnienie. Odwrócił się w siodle i krzyknął:

— Ostrogami konie! Szybko! Ophirska jazda!

Trzy wierzchowce szaleńczym galopem pomknęły w kierunku ruin zamku i rzeki. Ścigający zamiast pędzić prosto za uciekinierami, utworzyli szeroki półksiężyc, z rogami wysuniętymi do przodu.

— Przeklęta hyrkańska sztuczka! — mruknął Conan, wbijając pięty w spienione boki rumaka.

Królowa, doskonała amazonka, dotrzymywała tempa towarzyszącym jej mężczyznom. Gdy uciekinierzy zbliżyli się do zamku, jeźdźcy na końcach półksiężyca, dosiadający lekkich, świeżych wierzchowców, zaczęli już okrażać ruiny.

Zbliżając się do opuszczonego zamku, Conan ryknął:

— Chodź, dziewczyno, tutaj będziemy się bronić! Jeżeli to ma być nasz koniec, zabierzemy ze sobą część tych bękartów!

Przemknęli w bryzgach wody przez niewielki strumyk i wspięli się po łagodnym skłonie pod mury. Zsiedli z koni i przeprowadzili pozbawione tchu zwierzęta przez zasypaną gruzem główną bramę. Strzegące jej wieże zostały niegdyś całkowicie zburzone, a kamienie piętrzyły się wysoko, jednakże można było precyzyjnie się między nimi. Na zaślonym kamieniami dziedzińcu stała masywna, okrągła wieża z ciężkich kamieni. Górna jej część zawaliła się, ale ściany dolnych kondygnacji nadal były silne i zbyt wysokie, by dało się je zdobyć bez drabin.

— Tu będziemy się bronić? — wydyszała Marala, gdy dotarli na dziedziniec.

— Nie. Wspięliby się na zewnętrzny mur i zaszli nas od tyłu. Ale wieża wygląda solidnie. Tam się ukryjemy!

Drewniane drzwi zniknęły, jednak sklepione wejście było na tyle wąskie, by mogło służyć nie więcej jak jednej osobie naraz. Conan trzasnął konie po zadach i pchnął Maralę ku warownej wieży. Odwrócił się na czas, by odeprzeć atak dwóch konnych, którzy zmusili wierzchowce do przebrnięcia przez kamienie w głównej bramie i teraz pędzili na Cymmerianina, błyskając wzniesionymi mieczami.

Conan skoczył w górę rąbiąc trzymające miecz ramię. Usłyszał zadawalający trzask pękającej kości. Obrócił się, by stawić czoło drugiemu, ale Garus już zanurkował pod konia i nożem otworzył mu brzuch. Jeździec przechylił się w siodle, a wtedy Conan odciął mu nogę. Ludzki wrzask zagłuszył kwik umierającego zwierzęcia.

Następny jeździec już mknął za nim na łeb na szyję, lecz raptem wierzchowiec potknął się na gruzie przy bramie i Ophiryjczyk bez niczyjej pomocy rozłupał sobie czaszkę o kamienie. Gdy zwierzę zatarasowało przejście, Conan i Garus zabrali broń zabitych. Najważniejsze były dwie kusze z kołczanami pełnymi bełtów.

— Do środka! — krzyknął Conan.

Obaj wojownicy wgramolili się do warowni i odwrócili, by stawić czoło kolejnym napastnikom. Kilka kroków za nimi, na krętych schodach stała dziwnie uśmiechnięta Marala. Wyglądała jak człowiek pogrążony w transie. Cymmerianin podszedł i bezceremonialnie potrząsnął ją za ramię.

— Co się stało, dziewczyno? — Jego szorstki głos brzmiał teraz niezmiernie delikatnie.

— Wiesz, gdzie jesteśmy? — rzekła w odpowiedzi królowa.

— Niedaleko Aquilonii. I co z tego? Lada chwila ruszą do ataku, a my nie możemy uciec.

Machnęła ręką, by wskazać na omszałe mury.

— Conanie, to zamek Theringo. Tutaj zdradzono mego przodka Alarkara.

Zdumiony jej opanowaniem i dziwnym błyskiem bursztynowych oczu, Conan wrócił na stanowisko. W samą

Sprague de Camp Lyon - Conan Szermierz

porę, już bowiem nadbiegał następny żołnierz. Marala ruszyła za Cymmerianinem.

— Napnij mi kuszę — rzekła do Garusa. — Jestem za słaba, by to zrobić.

Otrzymawszy gotową do strzału broń, wspięła się po wykruszonych kamiennych schodach. Na pierwszym podeście znalazła wąską strzelnicę.

Potem zaczął się atak.

7. CZEREDA KONNYCH

Conan, Marala i Garus stali zmęczeni przy wejściu do wieży. Dwa razy odparli napastników. Za drugim razem niemal ulegli naporowi ludzi, którzy próbowali zakłuć ich włóczniami. Ale wejście było tak wąskie, że stłoczonym wrogom brakowało miejsca, by wykorzystać swą liczebną przewagę. Conan i Garus łapali za drzewce włóczni i cięli przeciwników po głowach i rękach. W dodatku Conan i Garus ubrani byli w kolczugi, ophiryjscy żołnierze zaś mieli na sobie jedynie lekkie, skórzane kaftany, ciężkie zbroje bowiem opóźniłyby pościg. To dało obrońcom znaczną przewagę, dlatego też wielu napastników legło w kałużach własnej krwi.

Marala strzelając z kuszy przeszyła kilkunastu atakujących. Chociaż nie była wyszkolonym kusznikiem, pociski, które posyłała w tłum stłoczony przed wejściem twierdzy, nie mogły nie trafiać w cel. Za każdym razem, po wystrzeleniu dwóch bełtów zbiegała po schodach, by jeden bądź drugi wojownik w wolnej chwili napiął jej cięciwę.

Napastnicy wycofali się wreszcie przez główną bramę, pozostawiając za sobą kilkudziesięciu zabitych i umierających. Porąbane ciała prawie zatarasowały wejście do warownej wieży, a krzyki i jęki mroziły krew w żyłach.

Zaledwie napastnicy zniknęli z oczu, Conan odepchnął martwych i rannych na bok, wyszedł na dziedziniec, by zebrać więcej broni.

Hrabia Rigello, który siedział na końskim grzbiecie na stoku poniżej ruin, niecierpliwie wysłuchiwał meldunków oficerów. Jego czarną zbroję okrywał szary pył. Był rozwścieczony bezsensownym oporem swych ofiar. W pewnej chwili podjechał doń starszy wiekiem kapitan. Skłonił się i nie zsiadając z konia powiedział:

— Panie, ta wieża jest niepokonana. Straciliśmy cztery dziesiątki ludzi. Wielu rannych albo wykrwawi się na śmierć, albo będzie kalekami do końca życia. Nie ma sposobu, by pokonać oblężonych.

— Setka ludzi nie może dać rady trojgu, w tym jednej kobiecie? — zadrwił hrabia. — Marne wasze widoki, gdy król się o tym dowie.

— Ależ, panie — zaczął gorliwie kapitan — ten barbarzyński wojownik jest niezwykły. Nikt nie zdzierży ciosów jego miecza. A ta kobieta w oknie ze swymi kuszami... Gdybyś raczył, panie, zezwolić, by nasi kusznicy wzięli ją na cel...

— Nie, muszę ją mieć żywą, za wszelką cenę. Ale czekaj, ilu mamy kuszników?

— Jeszcze dwie dziesiątki zdolnych do walki.

— Zatem słuchaj. Rozkaż im przygotować broń, potem niech wejdą przez bramę zgięci we dwoje, by stanowić jak najmniejszy cel, i zajmą miejsca przed wejściem do wieży. Na dany znak niech strzelą do środka. Jeżeli padnie tylko jeden obrońca, żołnierze zdołają wedrzeć się do środka i rozprawić z drugim. Zabijcie mężczyzn, ale kobietę macie wziąć żywcem.

Kapitan powątpiewająco zmarszczył brwi i odjechał, by wydać rozkaz do ataku. Rigello, obserwując przygotowania, gładził wąsy i wyobrażał sobie, że za plecami ma aksamitne oparcie tronu. Pomyślał, że teraz już nic nie zdoła go powstrzymać.

Nagle oczy hrabiego rozszerzyły się ze zgrozy. Jego ludzie właśnie wspinali się po stoku, kiedy między nimi a ruinami zamku pojawiła się czereda konnych, zakutych w starodawne zbroje.

Ludzie Rigella najpierw stanęli zdumieni. Gdy jednak przybysze żwawym truchtem ruszyli w dół zbocza zniżając kopie, kusznicy rzucili broń i popędzili do koni. Jeden po drugim wskakiwali na siodła i wbijali ostrogi w boki wierzchowców. Pozostali żołnierze wytrwali nieco dłużej, lecz za moment oni również przyłączyli się do beładnej ucieczki.

— Na Mitrę! — ryknął Rigello, galopując pod prąd uciekających. — O co wam chodzi? Stójcie i walczcie, tchórze! Do mnie! Do mnie!

Z odwagą zrodzoną z desperacji, hrabia Rigello spiął konia i skierował go na stok, przedzierając się przez niedobitki swego oddziału. Popędził bez opamiętania ku gromadzie nadciągających rycerzy. Chwilę później bełt rozłupał mu czaszkę.

8. „MOŻE PEWNEGO DNIA PRZETNĄ SIĘ NASZE ŚCIEŻKI”

Troje zadyszanych obrońców stało przy bramie zrujnowanego zamku i obserwowało dziką ucieczkę Ophiryjczyków.

— Dobry strzał, dziewczyno! — krzyknął Conan, po czym dodał ze śmiechem: — Gdyby znudziło ci się królowanie, możesz zaciągnąć się jako kusznik w każdej armii pod moim dowództwem... — nagle

Spraque de Camp Lyon - Conan Szermierz

barbarzyńca zmarszczył czoło. — Ale co z tą armią, która pojawiła się znikąd, przepędziła wroga i zniknęła w okamgnieniu? Czy odprawiłaś jakieś czary? Marala uśmiechnęła się pogodnie.

— Tak, to magia Gwiazdy Khorali. Dobrzy ludzie, którzy polegli tutaj przed dwoma wiekami, nie mieli szansy uratować swego królestwa. Czekali do dzisiejszego dnia, kiedy Gwiazda, ja i ty, który mi ją oddałeś, przybędziemy i pozwolimy im wypełnić ich obowiązek. Teraz Alarkar i jego wierni rycerze mogą spocząć w pokoju.

— Ci jeźdźcy... czy to byli ludzie z ciała i kości, czy też wyczarowane widma, przez które można przejść jak przez dym?

Królowa rozłożyła delikatne dłonie, a wielki klejnot na jej palcu błysnął ogniem uwięzionym w lazurowym lodzie.

— Nie wiem, i myślę, iż nikt nigdy się tego nie dowie. Ale jesteś ranny. Pozwól, że przemyję i opatrzę ci rany. I tobie, Garusie.

Poprowadziła swych obrońców w dół zbocza, do strumyka, który szemrał wesoło w drodze do odległej rzeki. Pomogła im obmyć zmęczone bitwą ciała i przewiązała draśnięcia pasami materiału oddartymi z odzieży poległych.

Conan, odświeżony, zapytał:

— I co teraz, pani? Rigello nie żyje, ale inni jak szakale jeden przez drugiego rzucają się, by zniewolić króla.

Marala zawiązała ostatni bandaż i usiadła, w zadumie przygryzając dolną wargę.

— Może Gwiazda pomoże mi zebrać dobrych ludzi królestwa, ale wydaje się, że w Ophirze brakuje dobrych ludzi. Przynajmniej wśród możliwych. Wszyscy znani mi magnaci, podobnie jak Rigello, są chciwi i pozbawieni skrupułów. Oczywiście, z Gwiazdą Khorali... — przerwała, wlepiając przerażone oczy w swą dłoń. — Mój pierścień! Gdzie on jest? Musiał zsunąć się z palca, gdy zanurzałam ręce w zimnej wodzie!

Do zachodu słońca szukali wielkiego klejnotu w strumyku i na jego brzegach, ale Gwiazda zniknęła. Pędząca woda musiała znieść ją w dół strumienia, albo zagrzebać w srebrzystym piasku. Kiedy poszukiwania spełżyły na niczym, Marala wybuchnęła płaczem.

— Właśnie teraz, gdy go odzyskałam, znów musiałam go stracić!

Conan otoczył królową silnym ramieniem i powiedział:

— Cicho, cicho, dziewczyno. Ja nigdy nie lubiłem czarów. Ty też nie powinnaś ufać im do końca.

— Teraz nie mam wyboru — rzekła Marala, kiedy jej łzy obeschły. — Miałam szansę zaprowadzić ład w Ophirze, gdy posiadałam Gwiazdę, a bez niej wszystko przepadło. I nie sądzę, by nawet sam Mitra potrafił uczynić z Maranthesa męczenną. Udam się do Aquilonii, gdzie żyją moi krewni. Niech władcy Ophiru toczą swoje wojny beze mnie. I niech Mitra pomoże ludowi mego królestwa!

— Masz dość pieniędzy? — zapytał Conan z troską.

— Poczekaj, zaraz ci pokażę — odparła królowa z przelotnym uśmiechem.

Odwrociwszy się, wyciągnęła spod szaty adamaszkowy pas, w którym było mnóstwo maleńkich kieszonek. We wszystkie powtykane były migocące klejnoty i złote monety.

— Dasz sobie radę — mruknął Conan — o ile jakiś złodziej o lekkich palcach nie dobierze się do twego bogactwa.

— Co do tego, mogę polegać na Garusie — Marala, odwracając się z gracją do starego kapitana, spytała:

— Udasz się ze mną na wygnanie, prawda?

— Pani — rzekł z uśmiechem stary żołnierz. — Poszedłbym za tobą do samego piekła.

— Dziękuję, wierny przyjacielu — powiedziała Marala. — Ale co z tobą, Conanie? Nie mogę zaproponować ci obiecane dowództwa w armii Ophiru. Czy pojedziesz z nami do Aquilonii?

Conan posępnie potrząsnął głową.

— Ja także zmieniłem plany. Ruszam na północ, by raz jeszcze zobaczyć rodzinny kraj.

Królowa dostrzegła jego ponurą minę.

— Nie wyglądasz na człowieka, którego cieszy taka przyszłość. Czy boisz się powrotu?

Chrapliwy śmiech Conana zabrzmiał niczym szcęk ścierającej się stali.

— Poza pewnymi plugawymi czarami nie boję się niczego. Zapewne po powrocie do domu zastanę klany pogrążone w odwiecznej waśni, ale to mnie nie niepokoi. Cóż, po prostu... W porównaniu z królestwem Południa Cymmeria jest mało ciekawym krajem.

Ujął obie ręce Marali i spojrzał na jej złociste włosy okalające twarz w kształcie serca, na wspaniałe piersi, dumną i wdzięczną postawę. W jego oczach zapłonęło pożądanie, a głos ścisł do poufalego szeptu:

— Prawdą jest, że dobrane towarzystwo skraca drogę i rozgrzewa samotne serce.

Garus obserwując ich, spał się wewnątrz. Marala delikatnie wyzwoiliła dłonie i potrząsnęła śliczną główką.

— Dopóki Moranthes żyje, ja, jego żona, pozostanę wierna złożonym przysięgom. Ale nic nie trwa wiecznie — uśmiechnęła się trochę smutno. — Dlaczego jedziesz na tę ponurą północ, skoro nie sprawia ci to radości? Człowiek tak szlachetny i odważny jak ty w królestwach hyboryjskich znajdzie więcej okazji, by znaleźć szczęście.

— Jadę z wizytą.

Spraque de Camp Lyon - Conan Szermierz

— Do kogo? Do ukochanej z przeszłości?

Conan spojrział zimno na królową Maralę, ale w jego błękitnych oczach znać było bolesne rozczarowanie.

— Powiedzmy, że jadę odwiedzić pewną starą kobietę. Ale wracając do Ciebie; gdzie osiedlisz się w Aquilonii? Być może nasze ścieżki skrzyżują się pewnego dnia.

Marala uśmiechnęła się do dzielnego Cymmerianina.

— Moi aquilońscy krewni mieszkają na dworze Albiona, w pobliżu Tarantii. Są starzy, bezdzietni i zawsze uważali mnie za córkę. Zamierzają zostawić mi tytuł i swe rodowe włości. Nie jestem już królową Ophiru, ale już niedługo ludzie usłyszą o hrabinie Albiony!

KLEJNOT W WIEŻY

Po krótkim pobycie w rodzinnej Cymmerii Conan wraca na stopy do kozaków. Kiedy młody energiczny król Turanu Yezdigert rozbija jego wyjęte spod prawa bandy, Conan zaciąga się jako najemnik w Iranistanie, po czym wędruje na wschód do Gór Himeliańskich i legendarnej Vendhii. Po powrocie na Zachód zwiedza widmowe miasto żyjących zmarłych i walczy u boku króla czarnego cesarstwa leżącego na pustyni, na południe od Stygii.

Po wypadkach opowiedzianych w „Bębnach Tombalku” trzydziestopięcioletni wówczas Conan udaje się do innych czarnych królestw. Tutaj, znany od dawna jako Amra — Lew, dociera na wybrzeże, które swego czasu pustoszył wraz z Belit. Ale obecnie na Czarnym Wybrzeżu Belit jest jedynie słowiałym wspomnieniem. Pewnego dnia na morzu pojawił się statek. Należał on do piratów z Wysp Barachańskich, którzy słyszeli wiele o Conanie i z radością powitali jego miecz i doświadczenie. Ta historia opowiada o jednej z licznych przygód, jakie z nimi przeżył.

1. ŚMIERĆ NA WIETRZE

Pierwsza łódź wylądowała na żółtej plaży tuż przed zachodem słońca, gdy na zachodnim nieboskłonie szalała szkarłatna pożoga. Szalupa dotarła do płytczyny i załoga, walcząc z przybrzeżnymi falami, wyciągnęła ją na plażę, by nie zabrał jej przypływ.

Żałoga — przeszło dwudziestu łotrzyków spod ciemnej gwiazdy, była zbieraniną ze wszystkich stron świata, ale głównie z Agros. Stąd przeważali przysadziści mężczyźni o brązowych lub kasztanowatych włosach. Kilku było Zingarańczykami o ziemistej cerze i czarnych jak smoła lokach. Dwóch smagłych i muskularnych, o kędzierzawych, granatowoczarnych brodach pochodziło z Shem. Wszyscy mieli na sobie szorstkie kaftany przepasane szkarłatnymi szarfami, za którymi tkwiły kordelasy, szable bądź tasaki. Towarzyszył im jeden Stygijczyk. Był to chudy, ciemnoskóry mężczyzna o cienkich wargach, czarnych oczach i wygolonej głowie, ubrany w krótką tunikę i sandały. Mena — czarodziej mimo swej powierzchowności był Stygijczykiem jedynie ze strony matki, którą często odwiedzał w Khemi pewien wędrowny, shemicki handlarz.

Na rozkaz kapitana załoga wciągnęła łódź jeszcze dalej, na sam skraj dżungli. Drzewa, które rosły tuż za linią przypływu, wyglądały jak palisada.

Rozkazy wydawał nie Zingarańczyk ani Argosańczyk, ale Cymmerianin z mroźnych i mglistych gór Północy. Miał na sobie tunikę z miękkiej skóry, luźne, jedwabne szarawary, kordelas na biodrze i sztylet zatknięty za szkarłatną szarfę. Był wyższy o dwie głowy od najwyższego ze swych podwładnych. Lazurowe wody małej zatoki przecięła druga łódź, pchana rytmicznymi, równymi pociągnięciami wiosła. Za nią na tle purpurowego nieba rysowała się sylwetka stojącej na kotwicy karraki o smukłym kadłubie, zwanej „Jastrząb”.

Gdy druga szalupa dobiła do brzegu, załoga wyciągnęła ją na plażę i przeniosła do zarośli, w których ukryto pierwszą łódź. Dowódca drugiej grupy stanął obok Conana i patrzył, jak jego ludzie zakrywają łodzie palmowymi liśćmi.

Nowo przybyły był typowym Zingarańczykiem, szczupłym i wytwornym, o bladej karnacji i orlim nosie, który podkreślał jego wyniosłe zachowanie. Był to Gonzago, kapitan „Jastrzębia”, pirat cieszący się pełnym lękiem podziwem barachańskich rabusiów. Od kilku miesięcy Conan był jego drugim oficerem.

— Zbierz ludzi i chodź ze mną — nakazał. Cymmerianin skinął głową i odwrócił się, by zwołać załogę, ale czarodziej dotknął jego ramienia i powstrzymał go.

— Czego? — zapytał opryskliwie Conan. Nie podobała mu się smagła, przebiegła twarz Stygijczyka. Nigdy nie przepadał za ludźmi parającymi się magią.

— Śmierć — wyszeptał mag. — Czuję śmierć na wietrze... Wiatr niesie zapowiedź śmierci...

— Zamilcz, głupcze, bo wystraszysz mi ludzi! — warknął Conan. Wiedział, że barachańscy piraci to niesforna i przesądna zgraja. Raz jeszcze pożałował, że kapitan Gonzago nie posłuchał jego rady i zabrał na tę wyprawę stygijskiego magika. Ale tutaj rządził nie on, lecz Gonzago.

— Co cię zatrzymuje? — szepnęła kapitan, zbliżając się do nich. — Za godzinę zrobi się ciemno, a żeby dotrzeć do wieży, musimy przebyć tę przeklętą dżunglę. Liczy się każda chwila, więc rusz ludzi.

Conan powtórzył szeptem ostrzeżenie czarodzieja i Zingarańczyk spojrział bacznie na Menę.

— Nie możesz mówić jaśniej, człowieku? — wycedził. — Jaka śmierć? Czyja? Jakiego rodzaju?

Spraque de Camp Lyon - Conan Szermierz

Mena bezradnie potrząsnął głową. W jego oczach błyszczał strach.

— Nie potrafię powiedzieć. Ale żałuję, że przybyłem z wami na tę złowrogą wyspę. Mistrz Siptah jest księciem wśród magów, a jego czary są o wiele potężniejsze od moich. Gonzago splunął i wymamrotał przekleństwo. Conan wstał z rękami założonymi na potężnej piersi i czujnie rozglądał się po okolicy. Ale żółta plaża, błękitne morze i pocięte czerwonymi smugami niebo wyglądały niewinnie i zwyczajnie. Jedyne ponury, złowieszczy las i jego ruchliwe cienie budziły pewien niepokój. W dżungli mogli się czaić bezliłośni tubylcy, dzikie bestie lub jadowite gady i pająki.

Lecz takie niebezpieczeństwa były częścią zwykłego ryzyka, jakie niesie z sobą pirackie rzemiosło. Jak na razie pogoda dopisywała, a nikt nie dostrzegł ani żywego ducha. Conan z doświadczenia wiedział, że na tak małych wysepkach z reguły nie ma dużych drapieżników. A jednak czarnoksiężnik wyczuł śmierć... Conan wiedział, że czarnoksiężnicy dostrzegają rzeczy, jakich nie potrafią wykryć zwyczajni ludzie.

2. CZARNOKSIĘSKI KLEJNOT

Nim noc zgasiła światło dnia swą mroczną kurtyną, piraci zdołali wdrzeć się daleko w głąb wyspy. Dwaj ludzie z obnażonymi ostrzami wyprzedzali pozostałych i wycinali drogę w bujnej roślinności. Gdy jedna para zmęczyła się, zastępowała ją następna i w ten sposób wędrówka przebiegała bez chwili przerwy.

Szlak nie okazał się ani trudny, ani niebezpieczny. Nie zaszło również nic, co wypełniłoby przepowiednię Meny. Nie napotkano stworzeń bardziej groźnych od stadka dzikich świń, kilku papug pyszniących się jaskrawymi piórami, czy ospałego węża, zwiniętego pod drzewem, który uciekł, słysząc hałaśliwe nadejście piratów.

Marsz był tak łatwy, że Conana ogarnęło przeczcucie zasadzki. W chłodnym powietrzu wyczuwał niewidzialne zło i teraz, tak jak Mena, żałował, że zgodził się uczestniczyć w tej wyprawie.

Wieża, która wreszcie pojawiła się w zasięgu wzroku, od niepamiętnych czasów wznosiła się na wschodnim cyplu małej, bezimiennej wyspy u wybrzeży Stygii, na południe od Czarnego Khemi. Mówiono, że wysepkę zamieszkuje stygijski czarnoksiężnik, Siptah, oraz liczne niesamowite stworzenia z innych wymiarów i starożytnych światów, które mag wezwał mocą swych zaklęć. Piraci z Archipelagu Barachańskiego szeptali, że czarnoksiężnik posiada bajeczny skarb, zebrany przez lata od ludzi, którzy szukali rady i nadnaturalnej pomocy. Ale Gonzago zdecydował zaatakować wieżę wcale nie z powodu tego skarbu.

Legendy mówiły, że stygijski mag przed wieloma laty znalazł w głębi pustynnego grobowca tajemniczy klejnot. Mówiono, że jest to olbrzymi, połyskujący kryształ, na powierzchni którego wycięte są runy w języku nie znanym nikomu z żyjących. Moc tego klejnotu miała być ogromna i wielce tajemnicza. Plotka krążąca wśród kupców i żeglarzy z portów Shem, Argos i Zingary głosiła, że dzięki czarom uwięzionym w tym kamieniu Siptah może rządzić duchami powietrza, ziemi, ognia i wody oraz licznymi demonami podziemnego świata.

Ci z morskich podróżników, którzy kupili sobie przychylność Siptaha, żeglowali od tej pory spokojnie i bezpiecznie. Nie stawał im na przeszkodzie żaden sztorm czy burza, nie spotykała cisza ani też nie padali łupem potworów zamieszkujących oceaniczne głębie. Kupcy z nadmorskich miast oddaliby fortunę, by posiąść ten kamień, mając go bowiem w rękach mogliby cieszyć się bezpieczeństwem bez rujnowania się na haracz żądany przez czarnoksiężnika. Nie musieliby też obawiać się zemsty Siptaha. Skoro bowiem, jak mówiono, samo dotknięcie zaczarowanego kryształu wystarczyło, by rozkazywać demonom, pozbawiony klejnotu mag nie mógłby nic zrobić jego nowym właścicielom.

Niektórzy szeptali również, że Siptah ze Stygii nie żyje. Minęło bowiem wiele miesięcy od chwili, gdy kupcy z nadmorskich miast otrzymali ostatnie wezwanie do złożenia daniny, a jeszcze dłużej czarnoksiężnik nie odpowiadał na ich petycje. Prawdę mówiąc, gdyby Siptah żył, musiałby być niewiarygodnie wiekowym człowiekiem, ale czarnoksiężnicy dzięki swej sztuce mogli oszukać śmierć i żyć o wiele dłużej od zwyczajnych ludzi.

Konsorcjum kupców, pragnących unieszkodliwić chciwego Stygijczyka i przywłaszczyć sobie jego władzę nad wiatrem i falami, porozumiało się z Gonzagiem — jednym z bardziej śmiałych kapitanów barachańskich piratów. Miał on popłynąć na wyspę i gdyby Siptah był martwy, zabrać klejnot. Kupcy bali się, że jeśli kamień wpadnie w ręce innego czarnoksiężnika, to może on okazać się o wiele bardziej zachłanny od Siptaha.

Plan kupców poruszył czułą strunę w sercu odważnego i chciwego Gonzagi. Pirat zapragnął zdobyć słynny klejnot, nawet gdyby musiał wydrzeć go z rąk złowrogiego czarnoksiężnika. Wiedział, że morscy kupcy zapłaciliby mu zań szczerze, ale każdy inny czarnoksiężnik, żądny władzy Siptaha, wynagrodziłby go daleko bardziej hojnie.

Jednak Gonzago nie był głupcem. Wiedział, że czarnoksiężnicy są niebezpieczni, a ich wrogowie rzadko żyją na tyle długo, by móc nacieszyć się skarbami wykradzionymi adeptom sztuk tajemnych.

3. KREW NA PIASKU

Kapitan piratów spotkał Menę w tawernie na nabrzeżu Messancji. Chytra myśl rozpałała wówczas

Spraque de Camp Lyon - Conan Szermierz

wyobraźnię Gonzagi. Cóż lepiej zwalczy magię niż magia? Z miejsca kupił usługi czarownika i kazał swoim podwładnym przygotować „Jastrzębia” do podróży na samotną wysepkę.

Teraz gdy piraci wycieli w dżungli wąską ścieżkę i dotarli do wschodniego brzegu w pobliżu wieży, Gonzago wiedział, że dobrze obmyślił swój plan. Kazał rzucić kotwicę po zachodniej stronie wyspy, żeby karraka i jej łodzie nie zostały dostrzeżone z warowni czarnoksiężnika. Piraci przebyli dżunglę bez strat i nie zostali odkryci przez budzącego grozę maga, o ile ten jeszcze żył. Teraz gdy błękitnozielone morze zamrugało między drzewami, należało jedynie popędzić do wieży, wdrzeć się do środka i zabrać klejnot oraz inne skarby wiekowego maga.

Ale Gonzago nie przeżyłby tak długo w swoim ryzykownym rzemiośle, gdyby zawsze działał bez namysłu. Przywołał do siebie ponurego Stygijczyka.

— Możesz rzucić czar, który odeprze magię Siptaha? — zapytał.

Mena wzruszył ramionami.

— Być może uda mi się zaćmić jego wzrok tak, że dostrzeże nas dopiero wtedy, gdy będzie już za późno — mruknął.

Gonzago uśmiechnął się szeroko. Białe zęby błysnęły w jego ziemistej, brodatej twarzy.

— Tak jak w tawernie? — spytał. Właśnie ta sztuczka Meny — czar pozornej niewidzialności, podsunęła mu pomysł wynajęcia czarodzieja, by ten wykorzystał swe umiejętności przeciwko Siptahowi.

Mena pokiwał wygoloną głową. Nie dodając ni słowa, zebrał suche patyki i rozpałił małe ognisko na skraju dżungli, gdzie drzewa i krzewy wychodziły na spotkanie morza. Zaciekawieni piraci przyglądali się, jak Mena wyciąga z tobołka małe, skórzane mieszki i srebrną łyżeczką odmierza do miedzianego naczynia barwne proszki. Kiedy po wypalonych patykach pozostały jedynie rozżarzone węgielki, mag postawił na nich misę z proszkami. Wieczorny wiatr poniosł w kierunku morza ostrą, gryzącą woń.

Conan wciągnął powietrze i splunął. Nie lubił czarów. Gdyby to od niego zależało, popędziłby do wieży z mieczem w rękę i gromadą nie znających strachu towarzyszy za plecami. Ale tutaj panem był Gonzago, więc Conan powściągnął język.

Mena usiadł ze skrzyżowanymi nogami przed miedzianą misą, w której wrzały i syczały roztopione już proszki. Wieczorna bryza unosiła w morze wonny dym. Czarodziej, złożony ręce na kościstych piersiach, zaczął śpiewać monotonne zaklęcie.

Purpurowe węgle rzucały różowy blask na zapadniętą twarz Meny, przez co wyglądała jak czaszka. Jego głęboko osadzone oczy płonęły niczym duchy dawno umarłych gwiazd. Czarodziej schylił się, zerknął w kotłującą się miksturę i jego monotonne zawrodożenie opadło do najcichszego szeptu.

Po chwili przerwał inkantację i skinął zakrzywionym palcem na Gonzagę. Kiedy kapitan pochylił się, Mena wysyczał:

— Musicie mnie zostawić. W czasie dopełniania tego rytuału muszę być sam.

Gonzago skinął i pognął swoich ludzi na ścieżkę, którą przybyli. Kiedy piraci stracili czarownika z oczu, usiedli na zwalonych pniach i pokładli się na ziemi. Leniwie odganiając muchy czekali na znak Stygijczyka.

Czas płynął. Słońce zaszło. Nagle wieczorną ciszę przerwał chrapliwy krzyk.

Gonzago i Conan klnąc pod nosem, pobiegli w kierunku plaży, na której Mena odprawiał swoje czary. Mag leżał twarzą do ziemi obok ogniska.

Gonzago złapał kościste ramię i przewrócił czarownika na plecy. W blasku zachodu i żarzących się węgli zobaczył coś, co sprawiło, że wezwał bogów, do których nie modlił się od czasów dzieciństwa. Gardło Meny zostało równo przecięte, a spływająca krew wsiąkała w piasek.

Conan pomyślał, że oznacza to dwie rzeczy: albo Siptah żyje i sam pilnuje swego skarbu, albo demony związane ze straszliwym klejnotem nadal wypełniają jego wolę, choć on sam jest już martwy. Ani jedno, ani drugie nie wróżyło dobrze na przyszłość.

Gonzago wlepił oczy w trupa, gdy z okropnej rany Meny krew trysnęła z nową siłą. Załoga zaszemrała za ich plecami. Białka oczu piratów błyskały niespokojnie w ciemności.

Kapitan zamyślił się. Conan zadrżał, choć wieczór nie był zimny. Milczał. Mena mówił prawdę, że czuje śmierć w powietrzu...

4. TAM GDZIE NIKT NIE MOŻE WEJŚĆ

Nikt nie chciał wrócić na statek z pustymi rękami, choć wszyscy czuli na plecach zimne tchnienie tajemniczego zła. Gonzago, przekonany, że jasna stał zatriumfuje nad nawet najciemniejszymi czarami, postanowił zaatakować wieżę. Bezwzględnie poprowadził swój oddział przez splecione pnącza, porastające skraj dżungli i dalej brzegiem oleistego morza, nad którym mrugały pierwsze gwiazdy.

Dziwna i niespodziewana śmierć Meny pogorszyła nastroje. Piraci trzymali się zarośli i rozmawiali chrapliwymi, przyciszonymi głosami.

Niebawem Conan rozsunał kępę wysokiej trawy porastającej niską skarpe i popatrzył uważnie na gładki pas plaży, który w nikłym blasku obojętnych gwiazd wyglądał jak szary strumień. Jedynie plusk fal, czasem żałobny krzyk mewy i brzęczenie nocnych owadów mąciły ciszę nocy. W odległości strzału z łuku wznosił się

Sprague de Camp Lyon - Conan Szermierz

czarny kształt przypominający palec mierzący w rozgwieżdżone niebo.

Zza horyzontu wychynęła wchodząca w trzecią kwadrę, srebrna tarcza księżyca. Wędrowała powoli w górę, a jej blask stopniowo wydobywał architektoniczne szczegóły wieży Siptaha. Był to prosty, smukły walec zwieńczony wąskim murkiem, ponad który wznosiła się ostra iglica.

Nie było widać żadnego światła ani ruchu. Budowla wydawała się opuszczona, ale Conan wiedział, że tam, gdzie w grę wchodzi magia, pozory zawsze mogą okazać się mylące. Poza tym ktoś lub coś zabiło Menę. Piraci byli przekonani, że stygijski czarnoksiężnik wykrył ich obecność. Nie pozostawało im więc nic innego, jak otwarcie zaatakować wieżę. Skoro stracili przewagę, jaką dawało im zaskoczenie, dalsze ukrywanie się nie miało sensu.

Tak więc Gonzago kazał ściąć wysoką palmę, wyrąbać nacięcia na pniu i przywiązać do nich krótkie gałęzie. Potem, w świetle księżyca, niosąc tę toporną drabinę piraci podeszli do czarnej wieży. U jej stóp zatrzymali się i jęli spoglądać na siebie z niedowierzaniem w oczach.

W wieży Siptaha bowiem nie było ani drzwi, ani okien. Jednolita ściana z czarnego bazaltu wznosiła się od skały tworzącej fundament do balustrady, która wieńczyła szczyt. Chociaż wytężali oczy, nie mogli znaleźć żadnego otworu, szczeliny ani pęknięcia w gładkich jak szkło kamieniach.

— Na Croma! — zaklął Conan. — Czy ten czarnoksiężnik ma skrzydła?

— A Set go wie — mruknął Gonzago.

— Może uda nam się wspiąć za pomocą haków?

— Za wysoko — odparł z ciężkim westchnieniem kapitan.

Zbadali dokładnie podstawę wieży Siptaha i nie znaleźli niczego, co mogłoby im pomóc rozwiązać problem. Wieża wyrastała z nagiej skały, którą w czasie przyływu z trzech stron otaczało morze. Niemożliwe, żeby istniało podziemne wejście.

A jednak musiało istnieć, nieważne, jak dobrze ukryte, ponieważ każdy mieszkaniec, obecny lub dawniejszy, musiał w jakiś sposób wchodzić i wychodzić! Gonzago milczał przez chwilę, przygryzając wąsy. Morska bryza targała jego czarnym płaszczem.

— Wracać na plażę, chłopcy — rozkazał w końcu. — Bez narzędzi i planu nie mamy tu czego szukać. Rozbijemy obóz o dwa strzały z łuku od wieży. Przeczekamy do świtu, a rano zobaczymy...

Piraci wycofali się z ponurymi minami, ale z niewątpliwą ulgą. Conan z rozbawieniem zauważył, że nikt nie kwapi się zaatakować czarnoksiężnika w jego własnej warowni.

Piraci rozbili obóz na osłoniętej polanie na granicy dżungli i plaży. Conan rozkazał zgromadzić zapas chrustu, Gonzago zaś wysłał dwóch ludzi na drugi koniec wyspy, gdzie pod palmowymi liśćmi leżały ukryte szalupy. Mieli oni popłynąć na „Jastrzębia” i powiadomić drugiego oficera Gonzaga, Argosańczyka Borusa, o wypadkach, jakie miały miejsce na wyspie. Kapitan kazał im wrócić z siekierami, młotami, dłutami, wiertłami i innymi narzędziami potrzebnymi do budowy maszyny obłężniczej. Borus miał dostarczyć żywność i flaszki wina, by uzupełnić nadwątlone zapasy.

W blasku księżyca, pozostali piraci siedli przy ogniu, piekąc mięso i psiocząc na skąpe racje wody. Ich narzekania nie były jednak zbyt głośne, bo kapitan, który sływał z ciężkiej ręki nawet wtedy, gdy był w najlepszym humorze, teraz przypominał rozjuszonego demona. Gdy członkowie załogi ułożyli się do snu obok gasnącego ognia, on usiadł oddzielnie, owinał się płaszczem i popadł w ponurą zadumę. Conan sprawdził strażę i wrócił na miejsce, które wybrał sobie na spoczynek. Wbił kordelas w ziemię w zasięgu ręki, oparł się o pień palmy i ułożył do drzemki. Ale tej nocy sen długo nie chciał przyjść do olbrzymiego Cymmerianina.

Rozigrane fale przestały pluskać, a dżungla, niczym przyczajona do skoku bestia, milcząco obserwowała i czekała. Czekająca, na co? Conan nie wiedział, był spięty jak zwinięta sprężyna. Jego wyostrzone zmysły barbarzyńcy wyczuwały zło czyhające w tajemniczej ciszy.

Wiedział, że coś kryje się w mroku. I że się do nich podkrada...

5. KOSZMARY

Conan zasnął wreszcie około północy. Natychmiast opadły go mroczne, chaotyczne wizje. Znów targnęły nim złowieszcze przecucia. W ciemności swego snu zobaczył plażę, na której spał wraz z innymi. Mężczyźni wokół niego byli piratami, jak jego towarzysze, ale ich twarze nie były znajome.

Rozpoznał jednego. Szczupły i wytworny mężczyzna o arystokratycznych rysach miał zimne jak lód, przebiegłe oczy kapitana Gonzago.

We śnie wydało mu się, że Gonzago, otulony w długi płaszcz, siedzi na kłodzie, garbiąc się nad węglami zamierającego ogniska. Spiący Cymmerianin w mroku na skraju milczącej dżungli dostrzegł drugi podobny kształt. Nieznajomego spowijały fałdy długiego czarnego płaszcza, który całkowicie skrywał jego figurę.

Mroczna postać była wysoka, chuda i jakby zniekształcona, lecz Conan nie potrafił dostrzec, na czym to polegało. Może to wysokie, zgarbione ramiona nadawały tej postaci pozór nienormalności, albo zakrzywiona, koścista szczęka i zmrużone żółte oczy, które płonęły niczym ślepa drapieżnej bestii... Conan dostrzegł jeszcze coś. Tajemniczy osobnik był nie tylko otulony płaszczem, spowijał go również cień czegoś

bezimiennego i niejasnego...

Chociaż śniący Cymmerianin wyraźnie widział zarówno pogrążonego w zadumie kapitana oraz wysokiego nieznanego za jego plecami, to sam Gonzago zupełnie nie zdawał sobie sprawy z obecności tajemniczego, emanującego złem przybysza. Wtedy w mózgu barbarzyńcy rozbłysł błękitny płomień zrozumienia. Conan szarpnął się w pętach dręczącej go wizji. Próbował krzyknąć, by ostrzec kapitana. Ale nie mógł ani mówić, ani się ruszyć, ani w żaden inny sposób przyciągnąć uwagi zamyślnego Gonzagi.

Raptem, błyskawicznie, bez najmniejszego ostrzeżenia, otulona płaszczem postać wyskoczyła z dżungli. Jej bursztynowe oczy zapłonęły w mroku. Nieznajomy rzucił się wprost na plecy przygarbionego Gonzagi, unosząc dziwne, smukłe ręce o wychudzonych palcach, przypominających szpony jakiegoś drapieżnego ptaka.

Przeżaszony Conan spostrzegł, że to wcale nie są ramiona, lecz skrzydła olbrzymiego nietoperza.

Conan targnął się, by wstać, krzyknąć i ostrzec kapitana przed złem skaczącym na niego z obnażonymi kłami.

Wtedy nagły krzyk, który wybuchł w nienaturalnej ciszy nocy, roztrzaskał sen na kawałki niczym kryształowe zwierciadło. Przez jedną pozaczasową chwilę Conan leżał oparty o pień palmy, a serce waliło mu w piersiach. Nie wiedział, czy się przebudził, czy nadal leży dręczony koszmarem.

Chrapliwy, rozpaczliwy skrzek obudził śpiących piratów. Ich wrzaski przywróciły Conana do rzeczywistości. Cymmerianin złapał kordelas i zerwał się na równe nogi. Jego kamraci po omacku szukali broni i krzyczeli jeden przez drugiego.

W opalizującej poświacie księżyca wyraźnie rysowała się zgarbiona sylwetka kapitana. Gonzago, milczący i nieruchomy, siedział na kłodzie przed wygasłym ogniskiem, z głową opuszczoną na kolana. On jeden nie zareagował na krzyk i zamieszanie. Naprawdę głęboki musiał być sen Gonzagi, skoro nie zakłócił go tak okropny wrzask!

Ponure przecucie zjeżyło Conanowi włosy. Podszedł do kapitana i potrząsnął go za ramię. Gonzago zachwiał się i przechylił jak szmaciana lalka, a głowa opadła mu na jedno ramię. Wtedy Conan zobaczył, kto krzyczał i dlaczego. Gardło Gonzagi, podobnie jak gardło Meny, zostało przecięte przypominającym nóż pazurem jakiegoś potwora. Z sinej maski, która niegdyś była twarzą kapitana, wyzierały niewidzące oczy.

6. MORDERSTWO W ŚWIETLE KSIĘŻYCA

Nikt nie spał przez resztę nocy. Nawet najtwardszy z piratów nie chciał zaryzykować drzemki i przedwczesnego końca. W ogień wrzucono tyle drewna, że płomienie zaczęły lizać czubki palm, a kłęby dymu zaćmiły gwiazdy.

Conan nikomu nie powiedział o swoim śnie, w którym obserwował okropnego, skrzydlatego stwora. Zdawał sobie sprawę, że piraci są już wystarczająco przerażeni dziwną śmiercią maga i kapitana, i dalsze podsycanie ich zabobonnego lęku mogłoby skończyć się wybuchem paniki. Wówczas nawet Conan nie mógłby ich zmusić do posłuszeństwa. Teraz bowiem dowództwo w tej niefortunnej wyprawie spadło na barki Cymmerianina. I nawet na jego krzepkich ramionach brzemień to spoczęło niepewnie.

Conan wyznaczył nowe warty, dwakroć liczniejsze niż przedtem, i surowo nakazał im zachować najwyższą czujność. Zapewnił piratów, że morderstwo Gonzagi było dziełem jakiegoś nieznanego zwierza, który być może nadal grasuje w pobliżu.

Conan nie był do końca przekonany, czy wyjaśnienie to nie jest prawdziwe. Sen mógł być tylko snem i niczym więcej, choć Cymmerianin nigdy nie powątpiewał w słowa tych, którzy odczytywali przyszłość z sennych wizji. Jednakże zabójcą mogła być jakaś mało znana, drapieżna bestia sprowadzona tutaj z odległej Stygii. A może jeden z ludzi Gonzagi, żywiąc do kapitana skrytą urazę, podkradł się do niego w ciemności i poderżnął mu gardło? Albo, być może, uskrzydłona postać z jego snu była jakąś potworną hybrydą, rezultatem nieczystego eksperymentu stygijskiego czarnoksiężnika. Któż mógł wiedzieć, jakie stworzenia zamieszkiwały tę przeklętą przez bogów wyspę?

O tym rozmyślał Conan, siedząc przy huczącym ogniu wśród czuwających niespokojnie ludzi. Raptem w aksamitnej nocy zabrzmiał zduszony krzyk przerażenia.

Conan podskoczył czując na karku lepkie palce strachu. Stał błysnęła w świetle ognia. Spomiędzy poskręcanych pnączy i palm wyskoczyła jakaś postać, pobiegła ku barbarzyńcy i zatrzymała się, hałaśliwie łapiąc powietrze.

Nie był to żółtoki stwór o zgarbionych i kościstych ramionach, ale jeden z wartowników — krzepki, brązowo — brody Argosańczyk imieniem Fabio. Jego twarz była upiornie blada, a ręka mu drżała, gdy bez słowa wskazał w kierunku dżungli. Conan polecił innym zostać na swoich miejscach i sam podążył za wartownikiem.

Szli ścieżką wyciętą poprzedniego dnia. Stąpający cicho jak kot Cymmerianin szedł za dygocącym piratem. Błękitne oczy barbarzyńcy bacznie penetrowały ciemność, a nozdrza badawczo wciągały powietrze, szukając podejrzanych zapachów. Wtem Fabio zatrzymał się.

Spraque de Camp Lyon - Conan Szermierz

W przytłumionym przez listowie, pocętkowanym świetle księżycy widnieli dwaj rozpostarci na ziemi ludzie. Conan schylił się i przewrócił ciała na plecy, choć w głębi duszy już wiedział, co było przyczyną śmierci. To ci piraci zostali wysłani po narzędzia i właśnie wracali z ładunkiem, gdy spotkała ich niespodziewana śmierć. Wypchane, płócienne worki wały się obok ciał, których twarze były zmienione nie do poznania.

Conan zmarszczył brwi, przyklął i wsunął palce w krew sączącą się z rozdartych gardeł. Krew była świeża i ciepła, piana dopiero co zaczęła znikać. Oznaczało to, że nieszczęśnicy zginęli niecały kwadrans wcześniej. Tak jak kapitan ponieśli śmierć od ciosu szponów.

7. SKRZYDLATY POTWÓR

Conan i Fabio popędzili na polanę, gdzie czekali skuleni przy ogniu piraci. Nie można już było dłużej ukrywać przed nimi natury napastnika, który trzy razy uderzył z ciemności. Wartownik bowiem widział zabójcę pochylającego się nad swą ofiarą i z podnieceniem opowiadał o nim każdemu, kto tylko chciał słuchać.

— Był jak wysoki mężczyzna, miał skrzydła i był łysy, z żółtymi ślepiami jak u kota. Na początku pomyślałem, że ma na sobie płaszcz, ale gdy rozpostarł szeroko ramiona, o tak, wtedy zobaczyłem, że to para skrzydeł, czarnych skrzydeł, jak u olbrzymiego nietoperza.

— Jak był wysoki? — warknął Conan. Fabio wzruszył ramionami.

— Wyższy od ciebie.

— Co zrobił później? — dopytywał się Cymmerianin.

— Ciął ich po gardłach szponami wyrastającymi ze skrzydeł. A potem skoczył w powietrze i zniknął... — rzekł Fabio blednąc jeszcze bardziej.

Conan milczał z nachmurzonym wyrazem twarzy. Piraci patrzyli po sobie ze strachem w oczach. Nigdy nie słyszeli o nietoperzu wielkim jak człowiek, który rozdziera gardła w ciemności nocy. To było niewiarygodne, a jednak cztery trupy potwierdzały opowieść wartownika.

— Jak myślisz, Conanie, czy to sam Siptah? — zapytał ktoś.

Conan potrząsnął kruczą czupryną.

— Z tego, co słyszałem, Siptah jest stygijskim czarnoksiężnikiem, niczym więcej. Jest człowiekiem jak ty czy ja, mimo że włada najczarniejszą magią.

— Zatem co to za bestia? — spytał inny pirat.

— Nie wiem — burknął Cymmerianin. — Może jakiś demon, którego Siptah wywołał z cuchnących głębi piekieł, by strzegł jego wieży przed nieproszonymi gośćmi. Albo należy do jakiejś potwornej rasy, która poza tym jednym stworem przepadła we mgle dawnym zapomnianych wieków. Cokolwiek by to było, zbudowane jest z krwi i ciała, wobec tego może umrzeć. Musimy zabić to straszidło, bo inaczej ono wybije nas jednego po drugim albo zmusi do opuszczenia tej wyspy z pustymi rękami.

— Ale jak mamy go zabić? — zapytał hakonosy Shemita imieniem Abimael. — Nie wiemy, gdzie jest jego leże.

— Zostawcie to mnie — uciął krótko Conan. Zapatrzył się na skaczące płomienie i zafascynowała go ich oszalała furia. Zaświtał mu pewien pomysł.

— Z pewnością ten skrzydlaty stwór mieszka w wieży Siptaha. To dlatego ten człowiek — ptak nie potrzebuje ani drzwi, ani okien.

— Ale wieża zwieńczona jest iglicą — powiedział Abimael. — Czy może być tam wejście?

— Nie mam pojęcia, ale wieża wydaje się najbardziej odpowiednim miejscem. Legowisko każdego stworzenia ma wejście, chociaż nie zawsze wiemy gdzie.

— Jeżeli nawet masz rację, to jak dosięgniemy tego przeklętego stwora? — zapytał Fabio. — My nie umiemy fruwać, a w wieży brakuje drzwi i okien.

Conan skinął głową w kierunku ognia i wyszczerzył zęby. Był to bezlitosny, wilczy uśmiech.

— Wykurzymy tego diabła — powiedział.

7. ŚMIERĆ Z GÓRY

Rankiem ludzie skończyli robotę i teraz zmęczeni, ale nadal czujni, odpoczywali na plaży. Wykonując rozkaz Cymmerianina ściągnęli z dżungli sterty chrustu i pozbierali całe drewno wyrzucone na plażę przez fale. Zwalili uschnięte drzewa i porąbali pnie na kłody, które ułożyli wokół podstawy wieży. Pracowali bez wytchnienia do świtu.

Kiedy niebo na wschodzie zapłonęło czerwienią zapowiadając nadejście nowego dnia, podstawę czarnej wieży otaczał wysoki krąg spiętrzonego drewna. Kłody, chrust i świeże gałęzie piętrzyły się na wysokość chłopa. Conan miał nadzieję, że płomienie i kłęby dymu sprawią, iż żadna żywa istota nie zdoła wytrzymać we wnętrzu wieży.

Z pewnością skrzydlaty stwór, jeżeli naprawdę się tam gnieździ, wyjdzie i spróbuje odlecieć, a wtedy piraci zaatakują go w świetle dziennym. W tym celu Conan ustawił najlepszych łuczników w ten sposób, by mogli ostrzeliwać szczyt wieży ze wszystkich stron.

Spraque de Camp Lyon - Conan Szermierz

Wreszcie wstający dzień przybrał morze i niebo szkarłatem oraz złotem. Niespokojne fale szeleściły na piasku, a mewy zataczały kręgi nad błękitną wodą, wydając chrapliwe okrzyki. Gdy tylko pierwsze promienie wschodzącego słońca omiotły blanki wieży, Conan krzyknął:

— Podpalać!

Piraci wepchnęli żagwie w stos drewna i płomienie niczym zwinne tancerki zaczęły przeskakiwać z gałęzi na gałąź. Jęzory ognia liznęły czarne kamienie, a wieża załśniła złowrogo przed oczami oczekujących widzów. Chmury dymu wirowały nad murkiem i znikwały w wieży bądź ulatywały w lazurowe niebo.

— Dołożyć drewna — rozkazał Cymmerianin.

— Rozkaz! — odkrzyknął z zapalem Abimael Shemita. — Zaraz będziemy go mieli!

— Zobaczmy — warknął Conan. — Trzeba czasu, by dym wcisnął się w taką masę kamieni. Jeszcze więcej drewna, chłopcy!

Wreszcie jeden z łuczników, krzycząc i machając rękami, wskazał na blanki wieży. Conan spojrział w górę.

— Przygotować łuki! — ryknął.

Łucznik wrzasnął, a stojący na szczycie wieży czarnoskrzydły stwór nagle skoczył w powietrze. Był ogromny. Żaden ziemski ptak nigdy nie rozpostarł skrzydeł tak szeroko. Zaśpiewały napięte cięciwy i chyże strzały pomknęły ku unoszącej się w powietrzu postaci, ale żaden pocisk nie trafił w cel. Stwór zaczął lecieć zygzakiem, jak nietoperz. Tylko magia mogła sprawić to, że w jego ciele nie utkwiał ani jeden pocisk.

Conan patrzył w niebo, mrużąc powieki. Wyraźnie widział uskrzydłonego diabła. Był nagi, a ciało miał blade, chude i kościste. Górna część klatki piersiowej wyrzusała się jak ptasi mostek, a po jego obu stronach pęczniały potężne muskuły. Wąska, wydłużona czaszka była łysa i ukształtowana jak łeb drapieżnego gada. Czarne, skórzaste skrzydła podtrzymywały niewiarygodnie długie palce, z których dwa zakończone były zakrzywionymi, ostrymi jak brzytwa szponami.

Demon zwinął skrzydła jak atakujący jastrząb i spadł na łucznika, który właśnie zakładał nową strzałę. Cymmerianin zaatakował z rykiem wściekłości. Jego kordelas błysnął w porannym słońcu. Barbarzyńca zadał cios, który powinien był rozłupać czaszkę potwora na dwoje.

Ostrze pękło tuż przy rękojeści, a na głowie straszdyła powstała jedynie płytka rana. Conan miał wrażenie, że uderzył w niezwykle wytrzymały hełm.

Uzbrojona w pazury stopa śmignęła w kierunku jego piersi. Cymmerianin potężnym wyrzutem lewego ramienia zbił w bok śmiertelnie groźne pazury i zdzielił demona mosiężną głowicą złamanego korda. Potwór, ignorując drugocący cios, zbliżał się z wyszczerzonymi zębami. Conan wiedział już, że walczy o życie z niezniszczalnym przeciwnikiem. Uderzające z nadludzką siłą, zakrzywione pazury na stopach i skrzydłach rozdarły skórzany kaftan barbarzyńcy, jego ramię i rozcięły mu skórę na głowie, zalewając twarz purpurą.

Shemita Abimael miotając przekleństwa, raz za razem rąbał toporem w plecy skrzydlatego stwora, ale bez rezultatu. Conan z oślepiającą jasnością zrozumiał, że jego życie może zakończyć się w przeciągu kilku chwil.

Na wpół oślepiony własną krwią walczył dalej. Pozostali piraci wrzeszcząc i wymachując bronią, pędzili ku niemu ze wszystkich stron. Conan wiedział, że jeżeli wytrwa jeszcze chwilę, na demona spadnie lawina połyskującej stali i mimo swej nienaturalnej żywotności, w końcu ulegnie przytłaczającej przewadze.

Nagle straszdyło z innego świata pojęło groźące mu niebezpieczeństwo, odskoczyło bowiem od Conana, odwróciło się i rozpostarło skrzydła. Ale Cymmerianin, opętany szaleńczą żądzą walki i pierwotną furią, nie cofnął się, a zamiast tego z rykiem wskoczył na plecy potwora i otoczył rękami jego chudą szyję. Natężał się, by skrócić mu kark lub udusić go, ale mięśnie pod pomarszczoną skórą były twarde jak stal.

Czarne skrzydła rozpostarły się, chwytając wiejącą od morza bryzę. Ściągną napięły się, gdy potwór machnął z wysiłkiem skrzydłami, i z Conanem na grzbiecie oderwał się od ziemi. Wzniesli się dwadzieścia kroków nad powierzchnię morza. Conan spojrział na ospałe fale i zastanowił się, czy udałoby mu się przeżyć upadek i dopłynąć do brzegu. A potem wbił żelazne palce głębiej w gardziel swego powietrznego wierzchowca. Zbici z tropy piraci znieruchomieli wytrzeszczając oczy. Żaden nie śmiał puścić za nimi strzały, by nie przypieczętować losu Conana.

Potwór, zataczając szerokie kręgi, piął się w górę, póki nie znalazł się na wysokości blanków. Conan zobaczył, że murek wznosi się dwie stopy ponad kamienny dach wieży. Nad nim, podtrzymywana przez cztery kolumny z czarnego bazaltu strzelała w niebo iglica. Kolumny zdobyły płaskorzeźby przedstawiające stworzenia, których nigdy wcześniej nie widziało ludzkie oko. Jedne przypominały kałamarnice z wyciągniętymi mackami. Inne miały węzowe ciała, z których wyrastały opierzone skrzydła. Atakujące niewidocznego wroga straszdyła na trzeciej kolumnie były rogate, a na czwartej widniały chude, podobne do ludzi istoty z szeroko rozpostartymi skrzydłami. Conan rozpoznał w nich stwory podobne do tego, który go tu przyniósł.

Monstrum ciężko opadło na murek i zeskoczyło na kamienie. Conan zsunął się z jego pleców. Gdy stwór obrócił się, by stawić mu czoło, Conan wyszarpnął zza szarfy sztylet. Była to krucha broń, ale teraz, gdy stracił wszelką nadzieję, nie miał czasu się nad tym zastanawiać. Potwór zbliżał się. Szpony na ptasich stopach zgrzytały na kamieniach, a na wpół rozłożone skrzydła groziły podobnymi do noży pazurami. Conan ugiął kolana i przygotował się do zadania ciosu.

Sprague de Camp Lyon - Conan Szermierz

Nagle potwór zaskrzeczał z bólu i skoczył w bok, a jedno z jego skrzydeł opadło bezwładnie. Spod kościstego ramienia wystawało drzewce strzały, której grot utkwiał głęboko w ciele potwora. Piraci ryknęli głośno na cześć barachańskiego łucznika. Zatem słabymi miejscami skrzydlatego diabła były jego pachy! A jeżeli można było go zranić, to również zabić. Conan uśmiechnął się ponuro.

Potwór stanął do walki raz jeszcze, unosząc drugie skrzydło. Rana wyraźnie sprawiała mu ból. Przez chwilę Conan i demon krążyli między bazaltowymi kolumnami.

Potem Conan uderzył. Wyczerpany utratą krwi i brakiem snu, Cymmerianin zebrał resztę sił. Jak tygrys skoczył w kierunku wroga i wbił sztylet w jedno ze ślepi, mając nadzieję, że stał przesyje mózg.

Ostrze zatoneło w oku po jelec, a demon zachwiał się pod wpływem uderzenia. Skrzeknął rozpaczliwie i zawirował, wyrwijąc rękojeść noża z dłoni Conana, po czym legł na kamieniach. Zasapany Conan wytarł krew zalewającą mu oczy i kopnął potwora. Bestia już nie żyła.

Cymmerianin obejrzał z bliska otwór pod iglicą i zobaczył spiralne kamienne schody wiodące do leżącej niżej komnaty. Wydobywał się stamtąd dym, który wypłoszył potwora. Ogień pod wieżą już prawie wygasł, więc szare kłęby rzedły z każdą chwilą.

Conan ostrożnie postawił nogę na pierwszym, wąskim stopniu i ruszył na dół. Powietrze we wnętrzu wieży było gorące, duszne i siwe od dymu.

Kolista komnata była urządzona z przepychem. Lakowane, drewniane ściany wyłożono jaśniejszym drewnem, tworzącym kunsztowne wzory. Na podłodze leżały małe, jaskrawe kobierce o kształcie pięciokątów, kół oraz innych, bardziej tajemniczych figur. Kamienne ściany obwieszane były gobelinami i bogatymi, brokatowymi draperiami. Złote i srebrne nici połyskiwały w skośnych, zmętniałych promieniach słońca, które dzięki odpowiednio ustawionym lustrom oświetlało całe pomieszczenie. Po jednej stronie stał pulpit z polerowanego drewna, na którym spoczywała otwarta księga z pożółkłymi, pergaminowymi kartami. Dalej pod ścianą krzywił się złośliwie kamienny posązek.

Conan obszedł szybko komnatę, szukając broni, ale nie znalazł niczego. Za jedną z zasłon Cymmerianin zobaczył schody. Zszedł niżej i z wrażenia wytrzeszczył oczy.

Środek alkowy zajmował tron z kremowego marmuru z wysokim rzeźbionym oparciem przypominającym płataninę wężowych ciał i diabelskich głów. Na tronie siedział czarnoksiężnik Siptah. Jego pozbawione wyrazu oczy wpatrywały się uparcie w Conana.

9. NIEWOLNIK KRYSZTAŁU

Cymmerianin, który już spał się do walki, wydał westchnienie ulgi. Siptah był martwy. Jego oczy były matowe i zapadnięte, a twarz była czaszką obciągniętą wysuszoną skórą. Conan wciągnął powietrze, lecz nie wyczuł odoru rozkładu, a jedynie zapach palonego drewna. Siptah od miesięcy siedział na swym tronie. W suchym powietrzu jego mięśnie i narządy wewnętrzne uległy mumifikacji.

W kościstych dłoniach odzianej w szmaragdową szatę mumii spoczywał wielki kryształ płonący topazowym ogniem. Conan domyślił się, że to jest ten władający demonami klejnot, który przywiódł jego towarzyszy na tę wysepkę zamieszkaną przez śmierć.

Conan zbliżył się i obejrzał kryształ. Dla niego wyglądał on po prostu jak lśniąca, rozświetlona wewnętrznym blaskiem, szklana kula. A jednak pożądało jej tak wielu ludzi, że wartość tego klejnotu musiała przekraczać wszelkie wyobrażenia. W tej świecącej kuli zamknięte były demony i jedynie z pomocą tajemniczych zaklęć można było je zwolnić ze służby. Ale Conan nie miał pojęcia, jak to zrobić. Tego typu sprawy zawsze były mu obce, a cała jego istota wzdragała się na myśl o tym, by parać się mocami ciemności.

Klekot szponiastych stóp na kamieniach wyrwał Cymmerianina z zadumy. Barbarzyńca pobiegł na górę. Nietoperzowaty stwór schodził po schodach wspierając się na wpół rozłożonych skrzydłach. Conan ze zdziwieniem spostrzegł, że strzała nadal tkwi pod pachą demona, a sztylet w jego oku. Mimo to stwór poruszał się ze wcześniejszym wigorem. Takie rany zabiłyby każdego człowieka i każde dzikie zwierzę, nieważne jak silne, ale najwyraźniej żywotności strażnika wieży Siptaha nie można było mierzyć zwyczajną miarą.

Stworzenie wzniosło uzbrojoną w pazury, zdrową kończynę i zbliżyło się do Conana. Cymmerianin uskoczył i chwycił pulpit, na którym spoczywał starożytny tom. Księga zadudniła o podłogę, gdy barbarzyńca podniósł ciężki stojak niczym maczugę.

Gdy skrzydlaty demon skoczył ku niemu wyciągając szpon, Conan zamachnął się pulpitem i spuścił go na czaszkę potwora. Siła uderzenia odrzuciła stwora w tył i roztrzaskała mebel na tuzin kawałków.

Człowiek–nietoperz, jęcząc i brocząc krwią ze zmiażdżonej czaszki, powoli podniósł się na nogi i raz jeszcze ruszył do ataku. Conana ogarnął podziw dla istoty, która została tak ciężko ranna, a jednak nie rezygnowała z walki. Uczucie to przeminęło, gdy Conan zastanowił się nad swoim położeniem. Stwora najwyraźniej nie można było zabić, a on był bezbronny!

W ostatniej chwili wpadł mu do głowy prosty i zuchwały pomysł. Przekląwszy swoją dotychczasową głupotę, Conan odwrócił się, wyrwał kryształ z dłoni mumii i cisnął go w zbliżającego się potwora.

Chociaż celował dobrze, chytre stworzenie zrobiło unik. Kryształ załśnił w zadymionym powietrzu i uderzył w

Sprague de Camp Lyon - Conan Szermierz

najniższy stopień kamiennych schodów. Tu z głośnym traskiem i błyskiem bursztynowego światła, rozpadł się na setki kawałków.

Conan zmrużył oczy i znieruchomiał, a jego przeciwnik runął na podłogę wzbijając obłok gryzącego kurzu. Skóra potwora kurczyła się, pękała i rozsypywała w proch. Było tak, jakby proces rozkładu został przyspieszony tysiąc razy. Błony nietoperzowatych skrzydeł znikły, a kości rozpadły się. W ciągu kilku minut po potworze nie zostało nic poza sylwetką, stworzoną przez rozsypany na podłodze pył. Oraz strzałą i sztylblem Conana.

10. SKARB SIPTAHA

Plaża skrzyła się w południowym słońcu, gdy kudłata czupryna Conana ukazała się wreszcie na szczycie wieży. Skrwawione bandaże spowijały mu głowę, a pasy płótna skrywały rany na ramionach i piersi.

Cymmerianin pomachał do rozradowanych piratów i na linie z podartej pościeli opuścił małą skrzynię. Potem sam zsunął się powoli i stanął w popiele u stóp wieży.

— Na Croma, czy w tym przeklętym miejscu jest coś do picia? — wychrypiał.

— Masz! — krzyknęło kilku piratów, podsuwając mu skórzane bukłaki. Conan pociągnął długi łyk, po czym przywitał Borusa.

— Gdy byłeś na górze, chłopcy posłali po jedzenie i picie — wyjaśnił Argossańczyk. — Pomyślałem, że lepiej będzie wyjść na brzeg. Do wszystkich diabłów, co zaszło w tej wieży, Conanie?

— Powiem ci, gdy obmyję i opatrzę te zadrapania — mruknął Cymmerianin.

Godzinę później przysiadł na pniaku, pochłaniając olbrzymie kęsy razowego chleba z serem i popijając je czerwonym winem z okrętowych zapasów.

— Tak więc — mówił — potwór rozsypał się w proch szybciej, niż trwa to opowiadanie. Musiało to być jakieś starożytne truchło utrzymywane przy życiu magią Siptaha. Stary mag rozkazał mu, by przepędzało z wyspy nieproszonych gości i ten stwór, związany kłutwą, wykonywał rozkaz długo po śmierci swego pana.

— W wieży był tylko ten skarb? — zapytał Abimael, wskazując na skrzynię.

— Tak, poza meblami, a tych i tak nie moglibyśmy zabrać. Przejrzałem wszystkie alkozy, gdzie mag warzył swoje mikstury i odprawiał czary, gdzie trzymał zapasy, nawet przeszukałem jego sypialnię, ale znalazłem tylko to. Starczy na dobrą hulankę w Tortage!

— Nie było żadnych sekretnych drzwi? — zapytał Fabio, gdy ludzie przestali się śmiać.

— Nie znalazłem, choć dokładnie przetrząsnąłem to miejsce. Możliwe, że Siptah zgromadził więcej złota niż mieści się w tej skrzynce, lecz ja nie znalazłem ani śladu. Może jest pogrzebane gdzieś na wyspie, ale bez mapy moglibyśmy kopać nawet sto lat — Conan napił się wina i spojrzał na siedzibę Siptaha. — Myślę, że ta wieża została zbudowana dużo wcześniej, zanim zamieszkał tu Stygijczyk.

— A do kogo należała? — zapytał Borus.

— Przypuszczam, że do tego skrzydlatego człowieka i jemu podobnych — rzekł ponuro Conan. — Myślę, że ten diabeł był ostatnim z plemienia, które chodziło po ziemi i latało po niebie, nim pojawiła się ludzkość. Tylko skrzydlaci ludzie mogli wybudować wieżę bez drzwi i okien.

— A Siptah wziął tego nietoperza w niewolę? — spytał Borus.

Conan wzruszył ramionami.

— Tak sędzę. Stygijczyk w jakiś sposób związał jego los z magicznym kryształem, a kiedy ten pękł, czar przestał działać.

— Kto wie? — mruknął Abimael. — Może to stworzenie wcale nie było groźne, dopóki czarnoksiężnik nie zmusił je do wykonywania swych rozkazów.

— Dla mnie diabeł zawsze jest diabłem — rzekł Conan — ale może masz rację. Nigdy się tego nie dowiemy. Wracajmy na „Jastrzębia”, Borusie, i bierzmy kurs Baracha. A jeśli jakiś pies obudzi mnie, nim się wyśpię do syta, to pożałuje, że nietoperz nie podciął mu gardła!

BOGINI Z KOŚCI SŁONIOWEJ

Wśród barachańskich piratów Conan ma coraz więcej wrogów niż przyjaciół. Podczas ucieczki z wysp dostaje się na pokład okrętu zingarańskich korsarzy i zostaje ich kapitanem. Po uratowaniu córki króla Ferdruga z niewoli u Czarnych Amazońki Conan staje się osobą mile widzianą na kordawskim dworze. Jednakże inny Zingarańczyk, zazdrosny o jego powodzenie, topi jego okręt. Conan dostaje się na brzeg i przyłącza do bandy najemników służących w Stygii. Potem znajduje starożytne miasto, którego mieszkańcy, podzieleni na dwa stronnictwa, prowadzą wyniszczającą wojnę. Uniknąwszy końcowej masakry szuka szczęścia w Keshanie, czarnym królestwie, w którym jak wieść niesie, w ruinach miasta Alkmonon kryje się bezcenny skarb. Conan zdobywa klejnoty, ale traci je niemal natychmiast.

Po tych wypadkach, opisanych w opowieści „Klejnoty Gwahlura”, Conan zabiera Murielę — aktorkę, którą poznał w Alkmononie — i rusza na wschód, do Puntu. Z pomocą dziewczyny ma zamiar oszukać Puntyczyków i zabrać im nieco złota. Niestety odkrywa, że jego stygijski wróg Thutmekri również został

Sprague de Camp Lyon - Conan Szermierz

zmuszony do ucieczki z Keshanu i przed nim dotarł do Kassali, stolicy Puntu. Thutmekri knuje intrygi na dworze króla Lalibeha, co powoduje nagłą zmianę w planach Conana.

Niesiony wiatrem dźwięk bębnow uderzał o świątynną wieżę, ogniście czerwoną w promieniach zachodzącego słońca. Na szkarłatnej ścianie rysował się cień Zaramby, naczelnego kapłana Puntu. Zarys jego wychudzonej sylwetki przypominał bociana. Cień na ścianie był nieco jaśniejszy od czarnego człowieka, który go rzucał. Zarys dzioba brał się od szpiczastej kępkę włosów zdobiących przód wełnistej czupryny kapłana.

Zaramba słuchał w napięciu, starając się rozszyfrować wiadomość, która nadciągała z zachodu. Obok przy dwóch wydrążonych kłodach, które służyły jako świątynne bębny, przykucnął człowiek odziany jedynie w płócienną przepaskę biodrową. W skupieniu wsłuchiwał się w każdą nutę, mrużąc oczy w chwilach, gdy odległe dudnienie wielkiego bębna przeplatało się z dźwiękiem mniejszego.

W końcu podniósł ponurą twarz na kapłana.

— Złe wieści — oznajmił.

— Co mówi wiadomość? — zapytał Zaramba.

— Keshan nawiedziła plaga intryg uknutych przez cudzoziemców. Król wypędził wszystkich obcych. Kapłani świątyni w Alkmononie zostali zmasakrowani. Tylko jeden uszedł z życiem i opowiedział, co się stało. Łotrzy, którzy popełnili tę zbrodnię, są w drodze do Puntu. Niech lud Puntu się strzeże!

— Muszę pomówić z królem. Podziękuj za ostrzeżenie naszym braciom kapłanom z Keshanu.

Mężczyzna podniósł pałki i zaczął uderzać w kłody. Zaramba opuścił spieszenie teren świątyni i skierował się ku królewskiemu pałacowi z wysuszonego na słońcu mułu, którego przysadziste wieże wznosiły się ponad Kassalą, stolicą Puntu.

Minął kolejny dzień. Przedwieczne słońce stało nisko nad zachodnim horyzontem. Długie obłoki na ciemniejącym lazurze nieba wyglądały niczym czerwone sztandary. Zachodzące słońce połyskiwało na złotych i kryształowych ornamentach, które wieńczyły brudnobrązowy pałac i użyczało swego blasku stojącej opodal świątyni. Miasto rozpościerało się wokół sanktuarium i pałacu zbudowanych na niskim, szerokim wzniesieniu.

Na wschód od miasta ciągnęły się pokryte lasem wzgórza. Spomiędzy drzew wynurzyły się dwie postacie dosiadające żylastych, stygijskich kucyków.

Na przedzie jechał olbrzymi prawie nagi mężczyzna. Jego masywne ręce, szerokie ramiona i potężna klatka piersiowa były opalone na głęboki, brązowy kolor. Miał na sobie jedynie wystrzępione spodnie, skórzany pendent i sandały ze skóry nosorożca. Za pasem z krokodylej skóry tkwił sztylet, a z ukośnego pendentu zwieszał się długi, prosty miecz w lakowanej, drewnianej pochwie.

Mężczyzna miał grube, granatowoczarne włosy prosto przycięte nad czołem. Pod gęstymi, ściągniętymi brwiami jarzyły się przenikliwe, błękitne oczy. Nieco wcześniej nosił na czole opaskę z kutego srebra, oznaczającą, że z woli króla jest wodzem keshkańskich hord. Po drodze Conan sprzedał ją shemickiemu kupcowi za żywność i inne potrzebne rzeczy, które teraz mieściły się w sakwie na grzbiecie jucznego konia.

Cymmerianin wyjechał spod osłony lasu ściągając wodze i stanął w strzemionach. Zadowolony, że w pobliżu nie ma żywego ducha, skinął na swą towarzyszkę.

Dziewczyna słała się w siodle ze zmęczenia. Była równie skąpo przy odziana jak Conan. Szerokie poacie gładkiego ciała wzywały przez rozdarcia w jej jedwabnym przyodziewku. Miała włosy czarne jak smoła, a oczy niczym czarne opale.

Gdy wyczerpana dziewczyna podjechała bliżej, Cymmerianin uderzył kuca piętami po żebrach i ruszył dalej. Zachodzące słońce już gasło w morzu płomieni, gdy przebywszy trawiastą równinę dotarli do miasta.

Tak oto Conan z Cymmerii w pogoni za złotem przybył do kraju Punt ze swoją obecną kochanką — aktorką i tancerką Murielą, byłą niewolnicą Zargheby.

W Keshanie Zargheba, jego niewolnica Muriela i Stygijszyk Thutmekri uknuli plan wykradzenia ze świątyni w Alkmononie skrzyni z bezcennymi klejnotami. W tym samym czasie Conan, służący w tym kraju jako najemny generał, wpadł na podobny pomysł. Kiedy obydwaj spiski zostały udaremnione, a Zargheba padła ofiarą nadprzyrodzonych strażników świątyni, Conan i Muriela uciekli z Keshanu przed żadnym zemsty Thutmekrim i rozwścieczonymi kapłanami.

Plan polegał na tym, że Muriela, udając boginię Yelayę, nakaże kapłanom wydać świątynne złoto. Gdy podstęp stał się znany w całym Keshanie, Thutmekri i jego ludzie o mały włos nie zostali rzućeni w paszcze królewskich krokodyli. Stygijszyk zaprzysiągł, że nie jest winny świętokradztwa i całą winę zrzucił na Conana. Ale kapłani nie chcieli mu wierzyć i Thutmekri w popłochu i pod osłoną ciemności wyjechał spieszenie do Puntu.

Tam Stygijszyk skierował się do Kessali, prosto do pałacu króla Lalibeha. Przebiegły Thutmekri oznajmił, że Kesh planuje napaść na Punt, i zaofiarował swe usługi czarnemu władcy.

Królewscy doradcy wyśmieli go. Dowodzili, że armie Puntu i Keshanu są równie liczne i silne, więc żadna z

Spraque de Camp Lyon - Conan Szermierz

nich nie ośmieli się zaatakować przeciwnika z nadzieją na zwycięstwo. Stygijczyk oznajmił wówczas, że król Keshanu zawiązał tajemne przymierze z królestwem Zembabwei, i że wspólnie planują zmiążyć Punt. Obiecał, że jeśli dostanie złoto, wprowadzi czarne legiony Puntu w arkana cywilizowanej sztuki wojennej i poprowadzi je na zwycięską wojnę z Keshanetn.

Thutmekri nie był odosobniony w swym pragnieniu bogactwa i władzy. Złoto Puntu przyciągnęło również Conana i Murielę, ponieważ, jak mówiono, w piaszczystych korytach tutejszych strumieni znajdowano samородki wielkie jak gęsie jaja. W okolicach Kessali czczono jeszcze na poły zapomnianą boginię Nebethet, której wyrzeźbiona w kości słoniowej podobizna ozdobiona była diamentami, szafirami i perłami z najdalszych mórz.

Ucieczka z Alkmononu mocno nadwreżyła siły Murieli. Dziewczyna miała nadzieję, że zatrzymają się w Kessali na tyle długo, że zdoła je odzyskać. Niestety, zaraz po przybyciu do miasta Conan dowiedział się, że Thutmekri wyprzedził go. Cymmerianin miał zamiar powtórzyć w Puncie podstęp z Alkmononu, tym razem dając Murieli rolę bogini Nebethet. Sądził, że kapłani Puntu nie będą wzdragali się przed podzieleniem się z nim swym bogactwem, gdy nakaże to im ich bogini. Planował następnie, że na rozkaz bogini stanie na czele puntyjskiej armii.

Muriela od początku wątpiła w powodzenie tego planu. Po rozmowie ze znajomym kupcem Nahorem, w kessalskiej oberży, również Conan zrozumiał, że jego plany mocno się skomplikowały.

— Całe szczęście, że Nahor ostrzegł nas przed Thutmekrim, zanim wystarałem się o audiencję u króla — warknął Cymmerianin. — Chyba nigdy nie dorównam przebiegłością temu podstępniemu diabłu. Jeśli dowie się, że tu jesteśmy, wówczas rozpęta się piekło.

— Och, Conanie! — rzekła ze szlochem Muriela. — Po —

rzuc ten szalony plan! Nahor zaproponował ci pracę w swej karawanie...

Conan parsknął i uderzył pięścią w stół.

— Wolisz nędzną zapłatę Nahora za pilnowanie jego karawany, kiedy tu czeka fortuna? Ja nie!

Jeszcze tej samej nocy, gdy błękitne, żółte i czerwone gwiazdy płonęły jaskrawo na granatowym niebie, Conan i Muriela zbliżyli się do świątyni Nebethet, stojącej na dalekim przedmieściu Kessali.

W pustce i ciszy i w ponurym mroku otulającym wzgórze niczym aksamitny płaszcz było coś, co sprawiło, że serce Murieli zadrżało niespokojnie.

Wspięli się po trawiastym zboczu i stanęli przed świątynią. Jej widok pogłębił niepokój aktorki. Był to okrągły, kryty kopułą budynek z białego marmuru — rzadkość w tym kraju brązowo — szarych ścian i dachów z gliny suszonej na słońcu. Zakratowany portal przypominał paszczę błyskającą obnażonymi kłami, a umieszczone po obu stronach, na piętrze, dwa okrągłe okna wyglądały niczym puste oczodoły. Całość przypominała srebrną czaszkę szczerzącą do nich zęby w świetle wielkiego księżyca — jedyne strażnika strzegącego tego ponurego milczącego sanktuarium. Muriela zadrżała.

— Brama jest zakratowana. Wracajmy, Conanie. Nie zdołamy dostać się do środka.

— Zostaniemy — mruknął Conan. — Wejdziemy tam, nawet gdybym musiał wykopać sobie drogę pazurami. Potrzymaj konie!

Cymmerianin zeskoczył na ziemię, podał wodze przestraszonej dziewczynie i obejrzał wejście. Portal zamykała olbrzymia, pozieleniała ze starości krata z brązu. Conan spróbował ją podnieść, ale, chociaż masywne mięśnie jego ramion i piersi zadrgały niczym pytony, krata nawet nie drgnęła.

— Jeżeli nie da rady jedynym wejściem, skorzystajmy z innego — mruknął wracając do koni. Z sakwy na grzbiecie jucznego wyjął zwój liny zakończony kotwiczką. Potem zniknął za budynkiem, pozostawiając dziewczynę samą. Z wpływem czasu jej strach zmienił się w czyste przerażenie i gdy tuż nad głową jakiś głos wypowiedział jej imię, krzyknęła głośno.

— Tutaj, dziewczyno, tutaj!

Poderwała głowę. Conan kiwał do niej z ciemnego okna nad portalem.

— Spętaj konie — powiedział. — I nie zapomnij im rozluźnić popręgów.

Kiedy Muriela przywiązała zwierzęta do kraty, Cymmerianin dodał:

— Złap to i siadaj w pętli, jaką zrobiłem.

Lina spłynęła w dół i kiedy dziewczyna wsunęła nogi w pętlę, Conan pociągnął ją w górę. Muriela zagryzła wargi i zamknęła oczy. Kostki jej zbierały, gdy kurczowo zaciskała dłonie na linie. Wkrótce znalazła się w silnych ramionach Conana. Poczula zimny marmur pod gołymi udami, gdy przeciskała się przez okno. Kiedy w końcu jej stopy znalazły twardą podłogę, odetchnęła z ulgą i otworzyła oczy.

W nowym otoczeniu nie było nic, co zmniejszyłoby jej strach. Stała w małej, pustej komnacie, której nagie ściany pozbawione były wszelkich ozdób. Naprzeciwko okna zobaczyła zarys kłapy, podniesionej i podpartej kawałkiem drewna.

— Tędy — rzekł Conan i złapał ją za ramię, dziewczyna bowiem zachwiała się niepewnie. — Uważaj. Deski w podłodze są stare i przegniłe.

Pod kłapą znajdowała się opadająca w ciemność drabina. Dziewczyna, zwalczając ogarniające ją mdłości, pozwoliła sprowadzić się na dół. Znaleźli się w rozległej rotundzie, pogrążonej w upiornym półmroku. Otaczał

Sprague de Camp Lyon - Conan Szermierz

ich krąg marmurowych kolumn, które podtrzymywały kopułę.

— Dzisiejsi Puntyczycy nie zbudowali tej świątyni — stwierdził Conan. — Ten marmur musiał pokonać długą drogę.

— A kto ją zbudował? — zapytała Muriela. Conan wzruszył ramionami.

— Nie wiem. Kiedyś spotkałem pewnego uczonego Nemedyczyka, który powiedział mi, że całe cywilizacje wznoszą się i upadają, pozostawiając po sobie jedynie ruiny i monumenty świadczące o ich istnieniu. Widywałem je wiele razy w czasie swoich podróży. Ta świątynia może być właśnie czymś takim. Zapalmy światło!

Pod kopułą wisiało sześć małych, miedzianych lamp na długich łańcuchach. Conan wyciągnął rękę i zdjął jedną.

— Jest w niej olej i knot. To znaczy, że ktoś się nimi zajmuje. Ciekaw jestem kto?

Conan za pomocą krzemienia i kawałka stali skrzesał iskry na kawałek hubki i po chwili pojawił się płomień. Zapalił knot i podniósł lampę, która zapłonęła ciepłym żółtym blaskiem. Teraz mogli obejrzeć całą salę.

Naprzeciwko wielkiego portalu, na tle marmurowego muru, znajdował się podest, na który wiodły trzy marmurowe stopnie. Na podeście stała wyprostowana postać. — Nebethet we własnej osobie! — oznajmił Conan beztrzęsliwie szczerząc zęby do posągu.

Muriela jęknęła. Chwiejne światło lampy wydobyło z mroku piękne ciało nagiej kobiety. Ale w miejscu, gdzie powinna znajdować się pasująca do ponętnego ciała twarz, widniała naga czaszka. Prerażona Muriela natychmiast odwróciła się od tego wizerunku śmierci.

Conan, dla którego śmierć była starą znajomą, mimo wszystko poczuł ciarki przebiegające po krzyżu. Podchodząc bliżej spostrzegł ze zdumieniem, że posąg został wyrzeźbiony z jednego kawałka kości słoniowej. W przeszłości, wędrując po Kush i Hyrkanii, Conan słyszał wiele na temat gigantycznych słoni, lecz nie potrafił wyobrazić sobie potwora, który dźwigałby kiel wielki jak kobiece ciało.

— Na Crom! — mruknął wlepiając oczy w wyszczerzoną czaszkę. — To znaczy, że mój plan przepadł. Miałem zamiar zabrać posąg i postawić ciebie na jego miejscu, ale patrząc na twą twarz nawet głupiec nie uwierzyłby, że jesteś ożywionym posągiem.

— Zatem uciekajmy, Conanie, dopóki jeszcze żyjemy! — błagała Muriela cofając się ku drabinie.

— Bzdury, dziewczyno! Znajdziemy sposób, by przekonać Lalibeha, aby wypędził Thutmekriego i obsypał nas złotem. Ale na razie poszukajmy datków składanych tu przez wiernych. Może są w komnacie za posągiem albo w podziemnej krypcie. Sprawdźmy...

— Nie mogę — szepnęła Muriela. — Jestem półprzymrotna ze zmęczenia.

— Wobec tego zostań tutaj, a ja się rozejrzę. Ale nie odchodź i zawołaj mnie, gdyby coś się stało!

Conan zabrał lampę i wyszedł z sali, pozostawiając Murielę samą. Kiedy oczy tancerki przyzwyczały się do mroku, ujrzała posąg z krągłym, kobiecym ciałem i trupa czaszką oświetloną przez promienie księżyca wpadające przez otwór w kopule. Grobowa cisza wydawała się nieledwie namacalna, a figura bogini w księżycowej poświacie zdawała się kołysać i falować.

Udręczona Muriela odwróciła się plecami do posągu i usiadła na pierwszym stopniu schodów. Powtarzała sobie, że wszystkie dziwne rzeczy, jakie widziała i czuła, były jedynie tworami jej chorej ze zmęczenia wyobraźni. Jednakże strach aktorki narastał aż do punktu, w którym mogłaby klnąć się na bogów Korynthii, że mrok sali rozjaśnia narastająca, widmowa poświata i że słyszy szepty niewidocznych istot.

Muriela poczuła nagłą potrzebę obejrzenia się, odniosła bowiem niesamowite wrażenie, że coś stało tuż za nią i przygląda się jej uporczywie. Raz i drugi oparła się pokusie, ze wszystkich sił trzymając na wodzy ogłupiające ją przerażenie.

Nagle na jej nagim ramieniu niczym szpon drapieżnego ptaka zamknęła się brudna, koścista ręka. Dziewczyna wrzasnęła i odwróciła się. Zobaczyła zapadniętą twarz, głębokie oczodoły, zasuszoną szczękę i skołtunione włosy, ledwo widoczne w ciemności. Gdy szarpnęła się w bok, natychmiast zmaterializowała się druga postać, która podniosła ją jak lalkę i przycisnęła do włochatej, muskularnej piersi. Muriela znów wrzasnęła z przerażenia i straciła przytomność.

Conan oglądał właśnie pełne kurzu pomieszczenia na tyłach świątyni. Zawirował niczym przestraszony, dziki kot, gdy krzyk dotarł do jego uszu. Z chrapliwym przekleństwem wyskoczył z komnaty i popędził korytarzem do głównej sali. Gdyby coś stało się Murieli, byłaby to wyłącznie jego wina. Niepotrzebnie zostawił ją samą. Powinien był zabrać ją z sobą, ale wiedząc, że dziewczyna jest u kresu sił, uzalił się nad jej słabością.

Kiedy z mieczem w ręku i wysoko uniesioną lampą wrócił pod posąg, dziewczyny nie było. Nie znalazł jej też za bladymi kolumnami. Bystre oczy Conana nie dostrzegły śladu walki. Było tak, jakby Muriela nagle wyparowała.

Zabobonny strach przeniknął barbarzyńcę do szpiku kości. Jego cymmeriańscy bogowie rzadko wtrącali się w sprawy śmiertelników, więc Conan nie poświęcał nigdy wiele uwagi naukom kapłanów czy prorocstwom jasnowidzów. Ale tutaj, w Puncie, mogło być inaczej. Poza tym sam przeżył dość spotkań z istotami z innych wymiarów, by nabrać szacunku dla ich mocy.

Sprague de Camp Lyon - Conan Szermierz

Cymmerianin klnąc zwiększył płomień lampy, która zaczęła przygasać i migotać, i raz jeszcze przejrzał zakamarki sali, ale daremnie. Dziewczyna zniknęła.

Muriela powoli wróciła do siebie i poczuła, że siedzi oparta o ścianę gładkiego kamienia. Otaczała ją nieprzenikniona ciemność. Pomyślała, że chyba od początku świata światło nie rozjaśniło tej otchłani mroku.

Wstała i macając rękami po ścianie ruszyła przed siebie. Dotarła do kąta i skręciła w lewo, muskając palcami szorstki kamień. Znów skręciła i jeszcze raz, aż uświadomiła sobie, że wędruje wokół małej celi, w której nie było ani drzwi, ani żadnego innego otworu. Znajdowała się w wyciętym w kamieniu pustym sześcianie. Zatem jak tu się dostała? Czy opuszczono ją z góry przez jakąś klapę w suficie? A może była to głęboka studnia? Czy to miejsce miało stać się jej grobem?

Muriela zwinęła się w kłębek, wlepiając oczy w nieprzeniknioną ciemność. Postanowiła przypomnieć sobie, co wydarzyło się, zanim zemdląca. Nagle bramy pamięci stanęły otworem i zalały jej umysł czystym przerażeniem. Znów poczuła na sobie dotyk szponów skurczonego stwora, który zaszedł ją od tyłu, oraz uchwyt ogromnego monstrum, które przycisnęło ją do włochatej piersi. Wstrząśnięta krzyknęła raz jeszcze, wypowiadając ze szlochaniem imię Conana.

Błagalny płacz był cichutki, lecz Cymmerianin usłyszał go. Jego kocie zmysły, odziedziczone po barbarzyńskich przodkach, rozpoznały głos Murieli. Conan zawrócił spieszenie i skierował w stronę, z której dochodził płacz. Wydało mu się, że żółty płomień jego lampy wcale nie rozprasza ciemności. Mrok jakby tłumiał migoczące światło.

Chociaż kamienne korytarze i posępne komory wyglądały na nie zamieszkane, Cymmerianin nasłuchiwał w skupieniu. Kiedy usłyszał stłumiony zgrzyt dobiegający z czarnego wylotu bocznego tunelu, zatrzymał się i obrócił kierując tam smugę światła.

Zasuszona i pokurczona, podobna do mumii, nie większa od dziecka istota drgnęła gwałtownie. Wydawała się równie stara jak otaczające ją kamienie i gdyby nie mściwy błysk w głęboko zapadniętych oczach, można by uznać ją za nieżywą. Istota cofnęła się przed światłem lampy i uniosła wychudzoną rękę, jakby broniąc się przed ciosem.

Zaraz potem w ciemności zmaterializowała się druga zjawia. Przepięła się obok mniejszej i rzuciła na Conana niczym dzika bestia. Atak był tak szybki, że Cymmerianin zdążył tylko ujrzeć bryłę czarnego futra. Jakaś siła wyrwała mu lampę i odrzuciła ją daleko, gdzie zgasła. Conan musiał walczyć o życie w zupełnej ciemności.

Zareagował niczym schwyty w pułapkę lampart; instynktownie i gwałtownie. Wyrwał się z ramion napastnika i na oślep zamachnął się pięściami, które zaduńczyły niczym młoty. W mroku nie był w stanie rozpoznać natury swego przeciwnika, ale założył, że jest to jakaś dwunoga bestia.

Uderzył więc tam, gdzie powinna być głowa. Poczucił ból w całej ręce i usłyszał zadowolający chrzęst kości szczęki.

Nieznany napastnik zaatakował jeszcze raz, wymachując długimi ramionami. Conan skoczył w tył, ale pazury rozorały mu pierś. Poczucił, jak jego skóra pęka i rozchodzi się na boki. Rany palące jak samo piekło sprawiły, że Cymmerianin zawrzał czarnym barbarzyńskim gniewem. Ból zdarł cienką powłokę, jaką cywilizacja pokryła jego dziką duszę. Odrzucił w tył spletaną grzywę włosów, zawył jak wilk i rzucił się na napastnika, zgniatając go w uścisku. Gorący, smrodliwy oddech uderzył go w twarz jak powiew znad cuchnących, tropikalnych bagien. Ostre kły zamknęły się z trzaskiem tuż przy jego naprężonej szyi. Włochate ręce niczym kleszcze unieruchomiły nadgarstki Cymmerianina i odepchnęły jego ramiona.

Conan z całej siły kopnął wroga w kroczce. Stwór z wrzaskiem zatoczył się w tył i rozluźnił uchwyt na rękach Conana. Barbarzyńca wyrwał się i ze zwierzęcym rykiem rzucił na potwora, łapiąc go za gardło. Gdy dławili niewidoczną tchawicę, bestia uwolniła się zwinnie i zacisnęła zębate szczęki na jego przedramieniu. Cymmerianin zniżył głowę jak oszalały z bólu byk i uderzył bestię w brzuch.

Przeciwnik był wyższy od niego co najmniej o pięćdziesiąt centymetrów i dużo cięższy, ale sapnął z bólu i z hukiem runął na ziemię. Conan wyszarpnął sztylet, złapał szorstkie kudły na łbie potwora i dźgał raz za razem jak szalenciec, wbijając ostrze w brzuch, piersi i gardło, póki ostatnia iskra życia nie zgasła w zmaltretowanym cielsku.

Conan stanął chwiejnie na nogach, dysząc i klnąc z bólu. Z licznych ugryzień i zadrapań sączyła się krew. Kiedy ochłonął i odzyskał oddech, wytarł ostrze o kudłatą nogę bestii i schował je do pochwy. Potem zaczął macać wokół siebie, by znaleźć lampę. Wkrótce odnalazł ją i ponownie zapalił.

Martwy stwór u jego stóp był dziwną półludzką hybrydą. Kształtem przypominał człowieka, jednakże pokryty był czarnym futrem jak niedźwiedź czy goryl. Ale nie była to małpa, ciało bowiem i kończyny miały ludzkie proporcje. Z kolei głowa nie przypominała niczego, z czym Conan wcześniej się spotkał. Miała skośne czoło i wystający, psi pysk, a wąskie czarne wargi odsłaniały błyszczące kły. Bez wątpliwości stwór ten był istotą rozumną o prymitywnej kulturze, gdyż jego łędźwie zakrywała brudna przepaska.

Muriela, drżąc z przerażenia, słuchała wrzasków, ryku i łomotu, rozlegających się nad jej więzieniem. Kiedy było po wszystkim, podjęła swe żalosne krzyki. Dzięki nim Conan znalazł niszę w korytarzu. Jej podłogę stanowiła kamienna płyta zaopatrzona w pierścień z brązu. Podniósł ją i po chwili złapał ręce, które

wyciągnęła ku niemu Muriela.

Dziewczyna jęknęła i odskoczyła od skrwawionej zjawy, która pomogła jej wyjść z lochu, ale dźwięk znajomego głosu Conana uspokoił ją. Cymmerianin pomógł jej przejść nad kosmatym trupem barykadującym przejście.

Dziewczyna urywanym głosem opisała pomarszczoną zjawę, która chwyciła ją za ramię, i opowiedziała, jak ten wielki potwór złapał ją i podniósł. Conan chrząknął.

— Ta starucha musiała być kapłanką lub wyrocznią tej świątyni. Używała swego głosu bogini z kości słoniowej. Za posągiem jest mała tajemna komnata. Ukrywając się w niej, mogła bez trudu widzieć i przemawiać do tych, którzy przychodzili, by zasięgnąć rady bogini.

— A ten potwór? — zaciekała się dziewczyna.

Conan wzruszył ramionami.

— Crom wie! Może był jej sługą albo jakimś zniekształconym osiłkiem z pundyjskiej dziczy, którego uznano za godnego, by służył w świątyni. W każdym razie on już nie żyje, a kapłanka uciekła. Nie pozostało nam nic innego, jak czekać, aż ktoś przyjdzie zasięgnąć rady wyroczni.

— Możemy czekać miesiącami. Może nikt nigdy nie przyjdzie.

— Nie, nasz przyjaciel Nahor wspominał, że władcy Puntu naradzają się z tą kościaną dziewuchą przed podjęciem każdej ważniejszej decyzji. Myślę, że niebawem przyjdzie ci odegrać rolę czaszkogłowej bogini.

— Och, Conanie, tak się boję. Zresztą nie możemy tu zostać, nawet gdybyśmy chcieli, bo pomrzemy z głodu.

— Bzdury, dziewczyno! Nasz juczny koń ma na grzbiecie dość żywności na wiele dni, a to miejsce nadaje się, by w nim odpocząć.

— A co z kapłanką? — upierała się przerażona dziewczyna.

— Ta stara wiedźma nie może zrobić nam krzywdy teraz, gdy jej potwór nie żyje — powiedział Conan i dodał z uśmiechem: — Oczywiście nie przyjąłbym z jej ręki jedzenia ani napoju.

— Zatem niech tak będzie — cień smutku przeciął piękną twarz Murieli. — Co prawda nie jestem wyrocznią, ale przepowiadam, że ta przygoda skończy się dla nas nieszczęściem!

Conan objął dziewczynę, by ją pocieszyć. I wtedy w porannym świetle, które wpadało przez otwór w kopule, Muriela zobaczyła krew sączącą się z ran na jego piersiach.

— Ukochany, jesteś ranny, a ja o tym nie wiedziałam! Muszę przemyć i opatrzyć ci rany.

— To tylko parę zadrapań — mruknął Conan. Ale pozwolił jej zaprowadzić się do studni na małym, zamkniętym dziedzińcu za świątynią. Dziewczyna zmyła zaschniętą krew i owinęła ugryzienia pasami tkaniny. Pół godziny później Conan i Muriela wrócili do rotundy i spoczęli za filarem, w miejscu, skąd nie było widać bogini. Czuwając na zmianę, spali przez cały dzień i noc.

Kiedy Conan przebudził się, promienie słońca, wpadające przez otwór w dachu, tworzyły świetlisty słup, w którym wirował kurz. Muriela siedziała oparta plecami o kolumnę, kryjąc głowę w ramionach.

Barbarzyńca przeciągnął się.

— Muszę iść po jedzenie. Weź sztylet na wypadek, gdyby wróciła ta stara kapłanka.

Wspiął się po drabinie do komnaty z oknem. Przymocował hak do parapetu przygotowując linę do zrzucenia. Raptem znieruchomiał i spojrzał na zachód, ponieważ wydało mu się, że dostrzegł odległy ruch.

Za wzgórzami, które otaczały świątynię, wznosiły się mury miasta Kassali. Ornamenty zdobiące dachy pałacu i świątyni mrugały w skośnych promieniach wschodzącego słońca. Wszystko trwało w bezruchu. Miasto było jeszcze pogrążone w głębokim śnie. Jednakże bystre oczy Conana dostrzegły rząd czarnych cętków wyjeżdżających z bramy w kierunku świątyni. Nad nimi wznosił się obłok kurzu.

— Nasi goście nadciągają szybciej, niż myślałem! — zawołał do Murieli. — Nie mogę zostawić koni na widoku.

Przerzucił nogi przez parapet i szybko zsunął się na ziemię. Odwiązał konie, docisnął popręg jednego, skoczył na siodło i oddalił się galopem, wiodąc za sobą dwa pozostałe kuce. Kwadrans później wrócił, dysząc po biegu pod górę. Wspiął się po linie i wciągnął ją za sobą, potem podszedł do drabiny.

— Są już blisko! — wysapał. — Przywiązałem kuce... w lesie... u stóp wzgórza! Pospiesz się!

Wróciwszy do okna zobaczył, że szereg cętków zamienił się w kawalkadę, podjeżdżającą już do pagórka, na którym wznosiła się świątynia. Popędził do drabiny, zsunął się na dół i powiedział:

— Chodź! Musimy ukryć się w komórce wyroczni. Pamiętaj, co masz mówić?

— T—tak, ale boję się. Nic nie wyszło, gdy próbowaliśmy w Alkmononie...

— Wtedy był tam ten szubrawiec i przekłęci słudzy Bit—Yakina. Tutaj kapłanka straciła swego potwora, a nie wiedziałem, by ktoś inny mieszkał w świątyni. Tym razem będę przy tobie. Chodź!

Złapał ją za rękę i prawie zaciągnął do komórki. Nim jeźdźcy dotarli do świątyni, Conan i Muriela stłoczyli się w małej komnacie za posągiem bogini z kości słoniowej.

Usłyszeli klekot kopyt, podzwanianie uprzęży i pomruk odległych głosów, gdy przybysze zsiadali z koni. Później Conan usłyszał ciężki łoskot metalu.

— To na pewno krata — szepnął. — Kapłani muszą mieć klucz.

Spraque de Camp Lyon - Conan Szermierz

Głosy rozbrzmiały głośniejsz i zmieszały się z tupotem licznych stóp. Przez szczelinę w ścianie Conan zobaczył wchodzący do rotundy orszak. Najpierw weszła grupa Murzynów w bogatych barbarzyńskich strojach. W środku szedł ogromny mężczyzna o posiwiałych wełnistych włosach, na których spoczywała kunsztowna korona wykuta ze złotej blachy w kształt jastrzębia z rozpostartymi skrzydłami. Conan domyślił się, że musi być to król Lalibeha. Domyślił się, że wysoki chudy człowiek w purpurowej szacie tuż obok to Zaramba, najwyższy kapłan.

Za nimi podążał oddział puntyjskich włóczników z głowami przybranymi w strusie pióra i z tarczami ze skóry nosorożca. Po nich wmaszerował Stygijczyk Thutmekri i dwudziestu jego kushyckich i shemickich najemników.

Conanowi na ten widok włosy zjeżyły się na karku.

Thutmekri czuł na plecach lodowaty powiew. Ten sam chłód mroził jego serce. Chociaż był łajdakiem i awanturnikiem, obawiał się tej niespodziewanej wizyty w świątyni bogini z kości słoniowej. Aż nazbyt dobrze pamiętał nieszczęście, które spadło na jego kamrata w świątyni bogini Yelayi w Alkmononie.

Mimo że Thutmekri przekonująco dowodził, że sąsiednie królestwa chcą rozpocząć wojnę przeciwko Puntowi, król Lalibeha nadal żywił co do tego głębokie wątpliwości. Wśród władców czarnych królestw ten stary król słynął ze swej przezorności i ostrożności. Na dodatek najwyższy kapłan Zaramba otrzymał od zaprzyjaźnionych kapłanów z zachodu wieści ostrzegające przed jasnoskórymi awanturnikami, którzy uciekli w kierunku Puntu. Kiedy gładkousty Stygijczyk dalej upierał się przy swoim, Zaramba zaproponował wizytę w świątyni Nebethet i poproszenie bogini o radę.

Dlatego też król i najwyższy kapłan wraz z orszakiem wyprawili się na przedmieście Kassali. Wypadało, żeby Thutmekri przyłączył się do nich, chociaż nie za bardzo mu to odpowiadało. Stygijczyk nie przejmował się tymi południowymi bogami, ale bał się ich fanatycznych kapłanów, którzy mogli zwrócić się przeciwko niemu i okrzyknąć go cudzoziemskim natrętem. Niepowodzenie w Keshanie niezmiernie przyczyniło się do podsycenia tych obaw. W drodze do świątyni Thutmekri cały czas zastanawiał się, czy ta wyprawa nie jest dla Lalibehy i Zaramby jedynie pretekstem mającym na celu jego pojmanie i zgładzenie.

Gdy przybyli do świątyni bogini Nebethet, Zaramba wcisnęła ukrytą dźwignię, co umożliwiło jego sługom podniesienie kraty, po czym wszyscy weszli do środka. Król nakazał, by Thutmekri i jego ludzie stanęli w środku orszaku. Stygijczyk podejrzewał, że Lalibeha uczynił tak dlatego, by w przypadku awantury królewska straż zyskała natychmiastową przewagę.

Kapłan i dworacy uklękli i pokłonili się do ziemi. Na podwyższeniu przed posągami bogini o trupiej twarzy król położył małą szkatułkę z laki. Gdy ją otworzył, blask klejnotów przyćmił biel kości słoniowej.

Czarne ręce uniosły się pozdrawiając boginię. Zaramba zaintonował podniosły hymn, podczas gdy dwaj młodzi kapłani kołysali złotymi kadzidłami, z których buchały kłęby wonnego dymu.

Thutmekri był zdenerwowany jak nigdy w życiu. Miał wrażenie, że spoczywa na nim czyjeś baczne spojrzenie. Gdy kapłan przemówił w starym puntyjskim dialekcie, którego Stygijczyk nie rozumiał, jego niepokój powiększył się jeszcze bardziej. Przeczucie mówiło mu, że stanie się coś niedobrego. Raptem zabrzmiał głos dźwięczny niczym dzwon. Przemówił posąg kobiety, która zamiast twarzy miała trupią czaszkę. — Strzeż się, o królu, podstępny Stygii! Strzeż się, o Lalibeha, spisku bluźnierców z dalekich krajów! Człowiek, który ci towarzyszy, nie jest przyjacielem, ale słodkoustym zdrajcą, który zakradł się tu z Keshanu, by wybrukować drogę twego przeznaczenia!

Puntyjscy wojownicy z gniewnym pomrukiem, unosząc włócznie, otoczyli Thutmekriego i jego eskortę. Najemnicy Stygijczyka przysunęli się do siebie zwierając tarcze. Łucznicy sięgnęli do kołczanów i znieruchomieli gotowi do wyjęcia strzał. W każdej chwili świątynia mogła stać się miejscem rzezi.

Thutmekri nawet nie drgnął. W tym głosie było coś znajomego. Mógłby przysiąc, że był to głos młodej kobiety zniekształcony tak, by uchodził za głos dojrzałej. Po chwili był już pewien, że słyszał go wcześniej.

— Czekaj, o królu! — zawołał. — Zostałeś oszukany... Lecz uwaga władcy skupiona była na posagu, który mówił:

— Mianuj wodzem swej armii Conana z Cymmerii. Człowiek ów wojował w krajach rozciągających się od śniegów Vanaheimu po dżungle Kush. Od stepów Hyrkanii po pirackie wyspy na Oceanie Zachodnim. Jest ulubieńcem bogów, którzy dają mu zwycięstwa w bitwach. On powiedzie twoje legiony do zwycięstwa!

Gdy głos ucichł, Conan wymknął się z małej komnatki. Odczekawszy jeszcze chwilę wynurzył się z mroku, ruszył majestatycznie do przodu i z powagą skłonił się królowi Lalibehrze oraz najwyższemu kapłanowi.

— Ty diable! — warknął Thutmekri. Jego twarz drżała z gniewu, gdy obejrzał się na łuczników: — Zastrzelić tego błazna!

Conan zobaczył, jak sześciu Shemitów wyjmują strzały i napina łuki. Ugiął nogi w kolanach, przygotowując się do skoku na najbliższą kolumnę. Czarny król otworzył usta, ale nie zdążył nic powiedzieć.

W tej samej chwili posąg bogini Nebethet skrzypnęła i runęła do przodu, roztrzaskując się na stopniach podestu. W jego miejscu pojawiła się kobieta, na której skupiła się uwaga wszystkich obecnych.

Conan wytrzeszczył oczy jak pozostali. To była Muriela, a jednak nie ona. Ta kobieta miała na sobie połyskującą, białą, długą do kostek szatę. Wyglądała jak Muriela, lecz była od niej wyższa, bardziej

Spraque de Camp Lyon - Conan Szermierz

majestatyczna, a nawet piękniejsza. Wokół tej kobiety jarzyło się dziwne, fioletowe światło, a powietrze w rotundzie nagle zawibrowało. Jej głos nie był ani miękkiem sopranem Murieli, ani też imitacją głosu bogini, którą udawała aktorka. Był głębszy i pełniejszy. Sprawiał, że podłoga świątyni zdawała się dygotać niczym szarpnięta struna lutni.

— Królu! Wiedz, że jestem prawdziwą boginią Nebethet, która wstąpiła w ciało śmiertelnej kobiety. Czy jakiś śmiertelnik śmie w to wątpić?

Thutmekri, obłąkany z wściekłości i rozpacz, warknął do jednego z Shemitów:

— Zastrzel ją!

Mężczyzna uniósł łuk. Kobieta zaś uśmiechnęła się lekko i wyciągnęła palec. Nastąpił błysk, ostry trzask i Shemita padł martwy między swoich towarzyszy.

— Teraz wierzycie? — zapytała.

Odpowiedziało jej milczenie. Potem wszyscy: król, kapłani, wojownicy i najemnicy, a nawet Conan i Thutmekri padli na kolana i pochylili głowy. Bogini rzekła:

— Wiedz, o królu, że ci dwaj łotrowie, Thutmekri i Conan, pragnęli wykorzystać ciebie, nie udało się im bowiem oszukać kapłanów w Keshanie. Stygijczyk zasługuje jedynie, by rzucić go krokodylom. Cymmerianin nie zasługuje na lepszy los, ale chcę obejść się z nim łagodniej, ponieważ był dobry dla kobiety, w której ciało wstąpiłam. Daj mu dwa dni na opuszczenie królestwa, a jeśli nie posłucha, niech stanie się ofiarą gadów.

Zobowiązuję cię, królu, do wypełnienia jeszcze jednego rozkazu. Mój wizerunek, strzaskany przed chwilą, już mi się znudził. Zbierz swych artystów, o królu, i każ wyrzeźbić im nowy posąg na podobieństwo kobiety, w którą wstąpiłam. Na razie zamieszkałam w jej ciele. Zadbaj, by temu ciału nie brakowało najlepszego jedzenia i wina. Nie zapomnij o moich rozkazach. Teraz możesz odejść.

Fioletowe światło zgasło i bogini znieruchomiała. Zdumieni ludzie podnieśli się w milczeniu i stali jak sparaliżowani. Stygijczyk i jego świta ukradkiem ruszyli w kierunku drzwi.

Rozkaz króla położył kres ciszy.

— Brać ich! — ryknął.

Oszczep o długim ostrzu wystrzelił z ręki puntyjskiego wojownika i wbił się w pierś jednego ze Stygijczyków. Ofiara wrzasnęła, zatoczyła jak pijana i rozpostarła na marmurowej posadzce. Z ust najemnika buchnęła krew.

W następnej chwili świątynię wypełnił wrzask walczących. Oszczepy śmigły nad głowami, ciężki jęczały, włócznie dźgały na prawo i lewo, w powietrzu zawirowały noże o zębatych ostrzach. Maczugi z twardego drewna dudniły na tarczach ze skóry nosorożca i wełnistowłosych łbach. Wojownicy Punktu raz za razem atakowali zbitą gromadkę strażników Thutmekriego. Po każdym starciu cofająca się fala napastników pozostawiała po sobie rannych i umierających, z poszarpanymi tętnicami i zaplątanych we własne jelita.

Thutmekri dobył szablę. Klnąc i wzywając Seta, Yiga oraz wszystkie inne demony ze stygijskiego panteonu, rąbał swych wrogów jak szalenię. Wkrótce wokół niego zrobiło się pusto. Najbliżsi Puntyjczycy umknęli w popłochu, a wówczas Thutmekri dostrzegł Conana, stojącego z mieczem w dłoni w pobliżu podestu.

Z ustami wykrzywionymi z nienawiści, Stygijczyk przedarł się przez tłum i rzucił na człowieka, którego obwinał o udaremnienie wszystkich swoich knowań.

— To dla ciebie, cymmeriański prostaku! — wrzasnął, wyprowadzając cios, który miał ściąć głowę Conana.

Barbarzyńca sparował i ostrza spotkały się z dźwiękiem przypominającym uderzenie dzwonu. Klingi odskoczyły od siebie, zatoczyły koło i znów starły się ze zgrzytem, krzesząc snopy iskier. Przeciwnicy miotając przekleństwa krążyli wokół siebie, tnąc, rąbiąc i zbijając ciosy.

Conan po szybkim wypadzie ciał mieczem w bok swego wroga. Stygijczyk jęknął i zgiął się we dwoje. Rzucił szablę i złapał się za rozrąbany bok. Krew trysnęła spomiędzy jego palców. Po drugim ciosie Conana głowa Thutmekriego odpadła od ramion i potoczyła po posadzce.

Na widok śmierci dowódcy, ludzie Stygijczyka hurmą pognali do wyjścia. Zdesperowani rzucili się na otaczających ich Puntyjczyków, odpychając jednych, a tratując innych. Po chwili wypadli przed świątynię.

— Za nimi! — krzyknął Lalibeha. — Wybić ich do nogi. Król, kapłani i wojownicy wybiegli za uciekinierami.

Kiedy Conan dotarł do wyjścia, na trawiastym stoku roili się ścigający i ścigani. Niektórzy dosiadali koni, inni biegli w koło jak szaleńcy. Tylko nielicznym najemnikom udało się zniknąć w pobliskim lesie.

Conan cofnął się i przestępując ciała martwych i rannych podszedł do podestu. Muriela stała bez ruchu w miejscu, które wcześniej zajmował posąg z kości słoniowej.

— Chodź, Murielo, musimy iść — rzekł Cymmerianin. — Jak ci się udało stworzyć ten fioletowy blask?

— Iść? — powtórzyła patrząc w jego oczy. Głowę kobiety znów otoczyło fioletowe światło, a jej ton i zachowanie cechowała jakaś zimna obojętność, daleko wykraczająca poza umiejętności Murieli. — Nie pozwalaj sobie na zbyt wiele, śmiertelniku, chyba że chcesz, by spotkał cię los taki sam jak ten, który przypadł w udziale temu nieszczęsnemu Shemicie.

Conanowi ścierpła skóra na grzbiecie. Strach błysnął w jego błękitnych oczach, gdy zwrócił się do bogini:

— Jesteś, pani, prawdziwą Nebethet?

— Tak niektórzy mnie nazywają.

— Ale co się stało z Murielą? Nie mogę tak jej zostawić.

Spraque de Camp Lyon - Conan Szermierz

— Twoja troska świadczy na twoją korzyść, Conanie. Ale nie obawiaj się o nią. Będę mieszkała w jej ciele tak długo, jak zapragnę. Kiedy zadecyduję inaczej, dopilnuję, by nic jej nie brakowało. Teraz ruszaj w drogę, chyba że wolisz skończyć w brzuchach krokodyli Lalibehy.

Conan w swym burzliwym życiu rzadko ulegał woli innych ludzi. Lecz teraz stała przed nim nie zwyczajna śmiertelniczka, lecz sama bogini. Po raz pierwszy w jego głosie zabrzmiał szacunek, a nawet pokora:

— W drogę? Pani, chyba wiesz, że nie mam pieniędzy. Kupiec Nahor wyjechał z Kessali i nie mogę już przyjąć jego oferty.

— Zatem jedź do Zembabwei. Nahor z Asgalunu ma siostrzeńca w mieście Nowe Zembabwei, który zatrudni cię jako strażnika karawany. Teraz idź, nim przypomnę sobie o bluźnierstwie, jakie chciałeś popełnić w moim imieniu!

Conan skłonił się, cofnął kilka kroków, po czym odwrócił i ruszył do wyjścia. Gdy przechodził pod wzniesioną kratą, nagle szuranie dobiegające zza jego pleców sprawiło, że obrócił się błyskawicznie.

Z ciemności wypełzła pokurczona, zgarbiona i pomarszczona postać przypominająca mumię. Niegdyś była kobietą.

Wiekowa kapłanka świątyni Nebethet potrząsnęła kościstą pięścią. Z bezzębnych ust wydostały się zgrzytliwe słowa.

— Mój syn! Zabijeś mojego syna! Spoczywa na tobie klątwa bogini! Rzucam na ciebie przekleństwo ojca dziecka, demona Jamanakha! Wzywam Jamanakha, demona-hienę, by uderzył i rozdarł na strzępy tego mordercę i bluźniercę! Oby twoje oczy zgniły ci w głowie! Oby twoje wnętrzności powoli wypruwano ci z brzucha! Obyś został zakopany w mrowisku! Chodź, Jamanakhu! Pomścij...

Atak kaszlu przerwał przekleństwa wiekowej wiedźmy. Starucha przycisnęła obie ręce do piersi. Jej wyblakłe oczy rozszerzyły się i runęła jak długi.

Conan podszedł do niej i dotknął pomarszczonego ciała. Nie żyje, pomyślał. Była tak stara, że każdy wstrząs mógł ją zabić. Może demoniczny kochanek, który obdarzył ją tak potwornym synem, przyjdzie po mnie, a może nie. W każdym razie trzeba ruszać w drogę.

Zamknął wytrzeszczone oczy trupa, wyszedł ze świątyni i ruszył po stoku do miejsca, w którym zostawił konie.

KRWAWY KSIĘŻYC

Conanowi w funkcji nie udało się zdobyć fortuny, wyrusza więc na północ do Aquilonii. Tam wstępuje do służby jako zwiadowca na granicy Kraju Piktów. Po wypadkach przedstawionych w opowieści „Za Czarną Rzeką” szybko pnie się po szczeblach wojskowej kariery. Jako kapitan aquilońskiej armii bierze udział w wojnie, która szaleje w całej prowincji Conajohara, od Velitrium aż po Czarną Rzekę. Piktowie ponownie wkraczą na tereny, które wcześniej wydarli im Aquilończycy. Wieść niesie, że skłócone klany Piktów zjednoczyły się ponownie i zamierzają zaatakować Velitrium, stolicę prowincji. Conan wraz z drugim oficerem zostaje wysłany, by dowiedzieć się, co naprawdę zamierzają Piktowie.

1. SOWA, KTÓRA KRZYCZY W DZIEŃ.

W lesie panowała niezwykła cisza. Wiatr szeptał w nefrytowym, wiosennym listowiu, ale mieszkańcy zielonych ostępów milczeli. Sprawiało to wrażenie, jakby las wyczuł obecność obcych. Potem między rzędami potężnych dębów rozległ się szelest idących ludzi, pobrzękiwanie rynsztunku, stłumiony pomruk głosów.

Nagle gałęzie rozsunęły się i na polanę wszedł spalony słońcem olbrzym. Gładki, stalowy hełm okrywał szorstką czarną czuprynę. Szeroką klatkę piersiową i grube jak konary ramiona chroniła czarna kolczuga. Spod hełmu wyzierała ciemna, poznaczona bliznami twarz, w której płonęły oczy błękitne niczym lód.

Mężczyzna nie szedł prosto, ale pomykał od krzaka do krzaka i zatrzymywał się co chwila, nasłuchując i węsząc. Był czujny jak ktoś, kto w każdej chwili spodziewa się zasadzki. Wkrótce za pierwszym wojownikiem pojawił się drugi — dobrze zbudowany blondyn średniego wzrostu, w błękitnej tunice porucznika Legionu Pogranicznego króla Aquilonii, Numedidesa.

Różnica między tymi dwoma była uderzająca. Czarnogrzywy olbrzym, Cymmerianin z dzikiej Pomocy, był czujny, lecz rozluźniony. Młodszy oficer podskakiwał na każdy szelest i bez przerwy opędzał się od niezliczonych much. Ostrożnie zbliżył się do Cymmerianina i zwrócił doń z szacunkiem:

— Kapitanie Conanie, kapitan Arno pyta, czy wszystko w porządku. Czeka na twój znak, by ruszyć żołnierzy.

Conan chrząknął, ale nic nie powiedział. Porucznik rozejrzał się po polanie.

— Według mnie jest tu spokojnie — dodał.

Conan wzruszył ramionami.

— Za cicho. Las w środku dnia powinien żyć ptasim śpiewem, a tutaj panuje cisza jak na cmentarzu.

— Może obecność naszych żołnierzy przestraszyła leśne stworzenia — zasugerował Aquilończyk.

— Albo obecność Piktów, chociaż jak na razie nie dostrzegłem żadnego pewnego znaku. Mogą tu być albo

Spraque de Camp Lyon - Conan Szermierz

nie. Powiedz mi, Flaviusie, czy wrócił któryś z naszych zwiadowców?

— Jeszcze nie, panie — powiedział młody oficer. — Ale zwiadowcy wysłani przez generała Luciana meldują, że w lesie nie ma Piktów.

Conan obnażył zęby w bezlitosnym wilczym uśmiechu.

— Tak, wiem. Zwiadowcy generała przysięgają, że w całej Conajoharze nie ma ani jednego Pikta. Twierdzą, że te malowane diabły wycofały się przed naszym atakiem. Ale...

— Nie ufasz zwiadowcom, kapitanie?

Conan zerknął przelotnie na porucznika.

— Nie znam ich. Nie wiem też, skąd Lucian ich wytrzasnął. Ufałbym tylko słowom własnych zwiadowców, ludziom, których miałem przed upadkiem Fortu Tuscelan.

Flavius zamrugał z niedowierzaniem.

— Czy podejrzewasz, panie, że Viscount Lucian źle nam życzy?

Twarz Conana przemieniła się w pozbawioną wyrazu maskę, gdy olbrzym wpatrzył się w oczy młodszego towarzysza.

— Nic takiego nie powiedziałem. Ale widziałem na tym świecie dość, by darzyć zaufaniem bardzo niewielu ludzi. Idź, powiedz kapitanowi Arno... Czekaj, idzie jeden z tych próżniaków Luciana.

Zza pnia ogromnego dębu, który był już stary, gdy Piktowie po raz pierwszy pojawili się w tych stronach, wyłonił się chudy mężczyzna o brązowej skórze poznaczonej setkami drobnych zmarszczek. Odziany był w kożle skóry, miał łuk i krótki miecz o szerokim ostrzu.

— I co? — zapytał Conan zamiast powitania.

— Ani śladu Piktów na całej długości rzeki Południowej — odparł zwiadowca.

— Kto jest na naszych skrzydłach? Zwiadowca wymienił kilka imion.

— Nigdzie nie ma Piktów — powtórzył. — Przed wami jest strumień — dodał, wyciągając rękę.

— To wiem — odparł oschle Conan.

Nim Flavius, wpatrując się między masywne pnie, wypatrzył srebrny błysk wody, zwiadowca zniknął w lesie.

Hałas poruszających się ludzi nasilił się, gdy czoło kolumny pojawiło się na szlaku. Z setki aquilońskich żołnierzy, idących dwójkami wąskim duktem, połowa uzbrojona była w piki, a połowa w łuki. Pikierzy, głównie krępi, brązowowłosi Gunderlandczycy, nosili hełmy i kolczugi. Łucznicy, głównie Bossończycy, mieli jedynie skórzane kaftany nabite brązowymi pierścieniami lub guzami, a nieliczni stalowe szyszaki. Wyglądało na to, że Arno ma dość czekania.

Przysadzisty, brązowowłosy oficer zbliżył się spiesznym do Conana. Pot spływał po jego okrągłej, czerwonej twarzy. Zsunął hełm i powiedział:

— Kapitanie Conanie, moi ludzie są zmęczeni. Potrzebują krótkiego wypoczynku.

— Twardy marsz? Ha! Trzeba by ich zahartować, Arno, tak jak ja zahartowałem swoich łuczników. Ale dobrze, niech spoczną przez chwilę. Tylko cicho, bo jeżeli w promieniu mili jest jakiś Pikt, od razu pozna, gdzie jesteśmy i w jakiej sile.

Kapitan Arno klepnął się w kark, gdzie ciął go natrętny komar.

— Niewielu ludzi ma nogi tak długie jak ty, Conanie, i równie krótki język — wrócił do swoich żołnierzy.

— Też mi rekonesans! — warknął Conan do Flaviusa. — W takich okolicznościach wręcz kusimy nieszczęście.

— Rozkazy generała były wyraźne — powiedział Flavius.

— Tak, ale głupie. By wojować z Piktami, trzeba cały czas wiedzieć, gdzie oni są. Więc wysyłasz zwiadowców, by dowiedzieli się, gdzie jest wróg i jak liczny, a potem zbierasz swoje wojsko i uderzasz.

— To, panie, wymaga starannego planu, prawda?

— Tak. Jeżeli źle to wyliczysz, jesteś martwy. Czas, chłopcze, to połowa sztuki wojennej. Pozłacani wodzowie Numedidasa nazywają tę prostą prawdę strategią. Ale wysyłanie dwóch półkompanii nad ten strumień, bez wsparcia w razie kłopotów, w sytuacji gdy Piktowie mogą sprowadzić tysiące...

Błękitne oczy Conana czujnie wpatrywały się między starożytne drzewa, usiłując przeniknąć gąszcz i wejrzeć w cieniistą dal. Nic nie podobało mu się w tej wyprawie, która jego zdaniem była nieroztropna aż do szaleństwa. Aquilońscy żołnierze nigdy nie kwestionowali poleceń ani wiedzy swych zwierzchników, ale Conan Cymmerianin nie był bezmyślnym wykonawcą rozkazów. Od ponad roku służył w Aquilonii jako najemnik i brał udział w wojnie z Piktami. Zaczynał żałować, że zgodził się przyjąć stopień kapitana i służbę w Legionie Pogranicznym, chociaż swego czasu wydawało mu się to najmądrzejszą decyzją. Dzielenie dowództwa z kapitanem Arno było jednym z powodów jego niezadowolenia, ale bardziej denerwowała go ta ekspedycja w nieznaną. Wszystkie dzikie instynkty w jego barbarzyńskiej duszy buntowały się przeciwko tak głupiemu planowi. — Czas ruszać — warknął. — Flaviusie, wracaj do Arno i każ mu podnieść żołnierzy.

Przez cały poranek Aquilończycy brnęli przez skały i korzenie drzew wzdłuż brzegu Południowego Strumienia, który oddzielał prowincję Schohira od straconej Conajohary, zalanej przez hordy Piktów o malowanej skórze.

Flavius przebiegł wzdłuż szeregu maszerujących ludzi, przyłączył się do Conana i przekazał wiadomość:

— Kapitan Arno utrzyma tempo, jakie nakazałeś, do czasu, gdy nie wydasz innego polecenia.

Spraque de Camp Lyon - Conan Szermierz

Conan skinął głową i uśmiechnął się krzywo.

— Cromowi niech będą dzięki — powiedział.

— Za co?

— Za to, że Arno ma dość rozsądku, by wiedzieć, że nie zna pogranicza. I dlatego trzyma się moich rad. Gdyby było inaczej, to dwaj dowódcy jednego oddziału rychło skusiliby bogów do zesłania nieszczęścia.

— Generał Lucian upierał się, że ma być was dwóch.

— Nadal mi się to nie podoba. Coś śmierdzi w całej tej wyprawie.

Gdy zbliżyli się do strumienia, Conan odwrócił się do żołnierzy idących w straży przedniej.

— Napętnijcie wodą bukłaki, wszyscy. Przekażcie ten rozkaz, ale szeptem.

Kiedy słońce spojrzało w dół ze środka nieba, żołnierze pokonali kolejną milę. Południowy Strumień skakał po skalistym podłożu, śpiesząc na spotkanie z Czarną Rzeką. Pomijając szmer wody, las był cichy jak grobowiec.

Nagle rozległo się pohukiwanie sowy. Conan stanął jak wryty, po czym rzucił się w kierunku maszerującej kolumny.

— Formować kwadrat! — ryknął. — Łucznicy, nie strzelać, póki cel nie będzie wyraźny.

Biegący za nim Flavius wysapał:

— To tylko sowa, kapitanie. Nie ma...

— A kto słyszał sowę w środku dnia? — prychnął Conan.

Wrzask dobiegający spomiędzy drzew prawie zagłuszył jego słowa.

2. ŚMIERĆ Z DRZEW

Arno wykrzyczał rozkazy i przypominająca węża kolumna stopiła się w bezkształtną masę ludzi. Potem, zgodnie z manewrem, którego nauczył ich Conan, żołnierze utworzyli pusty w środku kwadrat. Na jego obwodzie jeżyły się nisko schylone piki, a za każdym klęczącym pikinierem stanął żołnierz z łukiem przygotowanym do strzału.

Ludzki mur był już z grubsza uformowany, kiedy spomiędzy drzew wyskoczyła horda wymalowanych dzikusów. Mieli oni na sobie jedynie opaski biodrowe i mokasyny, a w splecione włosy wetknęli barwne pióra. Piktowie z wyciem popędzili ku Aquilończykom. Straszni byli ci smagli muskularni wojownicy z toporami i włóczniami o miedzianych ostrzach! Niektórzy mieli broń ze świetnej aquilońskiej stali, zdobytą podczas szturm Fortu Tuscelan.

— Na Mitrę! Są ich tysiące — wydyszał Flavius.

— Idź na tamten róg kwadratu — rozkazał Conan, zajmując stanowisko na narożniku z prawej. Arno i jego porucznik zajęli pozostałe, zwracając się ku otaczającym ich wrogom.

Kilkunastu Piktów padło od bossońskich strzał, lecz w chwilę później dzicy wojownicy rzucili się na Aquilończyków. Wielu w bitewnym szale nadziało się na ostrza pik. Inni tańczyli poza zasięgiem włóczni, wrzeszcząc i potrząsając bronią. Kilku padło na ziemię i próbowało przetoczyć się pod drzewcami, ale ci szybko zostali wybici. Broniący swego rogu kwadratu Conan wywijał ciężkim mieczem, odrąbując głowy i ramiona. Łucznicy niezmordowanie zakładali strzały na cięciwy i wypuszczali je w rozszały tłum. Piktowie jeden po drugim walili się z wrzaskiem na ziemię. Daremnie próbowali wyciągnąć drzewca z piersi i miotali się w śmiertelnych drgawkach. Krew tryskała na opadłe liście i wsiąkała w brązową ściółkę. Powietrze przesycił zapach krwi, potu i strachu.

Świst kościanego gwizdka przebił się przez zgiełk bitwy. Piktyjscy wodzowie biegali wśród opętanych morderczym szalem dzikusów, odciągając ich w tył i wyrzaskując niezrozumiałe komendy. Niełatwo było zapanować nad rozszałymi wojownikami, ale w końcu wszyscy odwrócili się plecami do przeciwników. Pokłusowali w las i kulejąc, bądź zataczając pod ciężarem ranionych towarzyszy, zniknęli wśród pni.

Wokół najeżonego pikami kwadratu pozostało ponad czterdziestu martwych i rannych Piktów. Niektórzy jęczeli, inni niemrawo usiłowali odczołgać się w krzaki. Conan wytarł z twarzy krew i pot, po czym zwrócił się do swoich żołnierzy, którzy zbierali się obok poległych członków kompanii.

— Ty! I ty! — szczechnął wskazując dwóch pikinierów, — Dobić mi te psy, które się jeszcze ruszają. Pamiętajcie, że te dzikusy potrafią dobrze udawać trupy. Reszta na miejsca! Wyrzucić martwych z kwadratu. Opatrzeć rannych.

Conan wyznaczył trzech łuczników, którzy wyszli z szeregu i zebrali strzały leżące na ziemi oraz tkwiące w ciałach Piktów. Arno zapytał:

— Dlaczego oni się wycofali? Przecież mieli nad nami dziesięciokrotną przewagę!

— Crom tylko wie. Pewnie po to, by obmyślić jakąś diabelską sztuczkę. Na razie więc nie powinniśmy łamać szyku.

Delikatny powiew przyniósł dudnienie bębna i stukot grzechotki. Aquilończycy na razie odetchnęli z ulgą. Wycierali pot z twarzy i pili wodę z bukłaków, lecz kiedy niektórzy zdjęli hełmy i kolczugi, Conan ryknął:

— Założyć zbroje, durnie! Myślicie, że to już koniec?! Popołudnie było duszne. Roje much krążyły nad ciałami poległych i opadały, tworząc na ranach czarne, ruchome plastry. Bębnienie i grzechotanie trwały

Spraque de Camp Lyon - Conan Szermierz

nadal. Czterej oficerowie stanęli z dala od zmęczonych żołnierzy i zaczęli naradzać się ściszonymi głosami.

— Słyszałem, że mają nowego czarownika — powiedział Conan. — To Sagayetha, bratanek starego Zogar Zaga. Moim zdaniem ten harmider oznacza, że jest on wśród nich i przygotowuje kolejny podstęp.

— Cicho, Conanie! — syknął Arno. — Jeżeli ludzie domyśla się, że czary...

— Każdy, kto wojuje z Piktami, walczy z czarami — odrzekł Conan. — To naturalny stan rzeczy w tej krainie. Piktowie ustępują przed dobrą aquilońską stalą, która wydarła im Conajoharę, więc zwracają się do swych diabelskich szamanów, by wyrównać szansę.

— Co masz na myśli mówiąc: „wydarła”? — zapytał oburzony Arno. — Kraj został wykupiony, kawałek po kawałku, przez legalne traktaty zaopatrzone w królewskie pieczęcie. Conan parsknął drwiąco.

— Znam ja te traktaty, podpisane przez piktyjskich opojów, którzy nie wiedzieli, pod czym stawiają swoje krzyżyki. Nie kocham Piktów, ale potrafię zrozumieć ich wściekłość. Najlepiej będzie, jeżeli wycofamy się czwórkami; piki na zewnątrz, łuki w środku. Jeżeli zaatakują ponownie, znów uformujemy jeża.

Oficerowie wrócili na swoje miejsca, ale nim cofająca się kolumna zrobiła sto kroków, grzechotanie i dudnienie umilkło. Żołnierze zatrzymali się, zaniepokojeni nagłym spokojem.

Niesamowitą ciszę rozdarł przesywający wrzask. Jeden z żołnierzy wypadł z szeregu i runął między powykręcane korzenie. Inny przewrócił się zaraz za nim i nagle szeregiem wstrząsnęły krzyki przerażenia.

Węże — piktyjskie żmije, niektóre grube jak ludzkie ramię, z trójkątnymi głowami i diamentowymi wzorami na grubych, pokrytych łuskami ciałach, spadały z drzew wprost na Aquilończyków. Zwijają się na ściółce, kołysały głowami i rzucały na żołnierzy. Po pierwszym ataku sunęły do następnej ofiary, sprzężały się i uderzały.

— Miecze! — krzyknął Conan. — Zabijaj je! Nie łamać szyku!

Ostrze Conana rozplatało najbliższego węża na wijące się połówki, ale zdawało się, że przerażająca ulewa nie ma końca. Jeden z łuczników, wrzeszcząc obłąkańczo cisnął łuk i rzucił się do ucieczki.

— Do szeregu! — ryknął Conan.

Plazem miecza zwałił z nóg uciekającego Aquilończyka, ale już było za późno. Panika owładnęła karnymi dotychczas żołnierzami. Arno ukąszony przez węża, wił się w agonii.

Bossończycy i Gunderladczy, porzucając broń i pędząc na oślep, przemienili się w bezładne stado uciekinierów. Piktowie, którzy nagle wypadli spod drzew, ruszyli w pościg rąbiąc toporami, dźgając włóczniami i tłukąc maczugami.

Conan jednym kolistym cięciem miecza powalił dwóch nieostrożnych Piktów.

— Flaviusie! — krzyknął Cymmerianin. — Tędy! Młody porucznik przedarł się przez tłum i przyłączył do Conana, który oddalał się w przeciwną stronę niż uciekający Aquilończycy.

— Zwariowałeś? — wysapał Flavius przyjmując piktyjski topór na swą tarczę i zamierzając się na przeciwnika.

— Sam decyduj! — warknął Conan przesywając mieczem kolejnego Pikta. — Jeżeli chcesz wyjść z tego żywy, chodź ze mną.

Dwaj mężczyźni pobiegli na północny zachód. Piktowie chcąc nie chcąc ustępowali z drogi dwóm odzianym w kolczugi wojownikom ze skrwawionymi ostrzami. Conan i Flavius wkrótce stracili z oczu pole bitwy.

Dzicy popędzili za główną gromadą Aquilończyków, umykających w kierunku Velitrium. Na leśnym trakcie pozostały tylko nieruchome ciała, wśród których nadal pełzały i wiły się węże.

3. KRWAWY PIENIĄDZE

Po pewnym czasie strumień wypłynął spod drzew i rozlał szeroko. Błękitne niebo odbiło się w nim lśniącym lazurem. Gdy Conan i Flavius przedarli się przez bujną zieleń otulającą brzegi, ostre klaśniecie przerwało panującą wokół ciszę. Coś wzburzyło spokojną powierzchnię sadzawki i krople rozbryźniętej wody załśniły w skośnych promieniach popołudniowego słońca.

— Ryba? — spytał Flavius.

— Bóbr. Klaskają ogonami jak plazem miecza, by ostrzec inne przed niebezpieczeństwem. Widzisz tę tamę po drugiej stronie sadzawki? To ich siedlisko.

— Czy to znaczy, że żyją pod wodą?

— Nie, w gniazdach z gałęzi nad jej powierzchnią. Tylko wejścia do nich są pod wodą. Widzisz tę polanę za tamą?

Miejsce wskazywane przez Conana znajdowało się na prawym brzegu strumienia, poniżej bobrzej zapory. Polana ta niegdyś zarośnięta krzakami, ostatnio znów została oczyszczona. Dalej pomiędzy drzewami Flavius dojrzał stalowobłękitną wodę Czarnej Rzeki.

Na środku polany wznosił się granitowy posąg dwakroć wyższy od człowieka. Był to ustawiony pionowo głaz, ledwie z grubsza ociosany w ludzki kształt. Przed tym topornym idolem leżał mniejszy, płaski głaz.

— Skąły Rady — mruknął Conan. — Piktowie spotykali się tutaj, póki Aquilończycy nie wypędzili ich z Conajohary. Teraz oczyścili to miejsce i znów odbywają tu swe zgromadzenia. Ukryjemy się za tamą, by obserwować i słuchać. To pewne, że teraz, gdy nasze wojska są w rozsypce, zwołają radę.

Spraque de Camp Lyon - Conan Szermierz

— Ale odkryją nas, Conanie, i zgotują nam śmierć w męczarniach.

— Nie sądzę — Conan wyrwał z brzegu sadzawki pęk liści wodnej rośliny i przywiązał je do hełmu. — Zrób to, co ja.

— To ukryje nasze głowy, ale co z resztą?

— W czarnej wodzie wszystko jest niewidoczne, synu.

— Mamy zanurzyć się w tej sadzawce, w całym rynsztunku? Jak ryby?

— Tak. Lepiej być mokrym niż umrzeć.

Flavius westchnął.

— Chyba masz rację.

— W dniu, w którym się pomylę, Piktowie uwędzą moją głowę. Chodź!

Conan wszedł do wody, która sięgała mu do pasa, i powiodł swego młodszego towarzysza do żeremia — szerokiego kopca z patyków i błota, wystającego dwie stopy nad powierzchnię wody. Żółw, wygrzewający się na tamie, zsunął się do wody i zniknął.

Przykucnęli tak, by woda sięgała im do szyi. Ponad jej powierzchnię wystawili jedynie głowy przystrojone w zlewające się z tłem pióropusze z liści.

— Wolałbym modlić się do Mitry w świątyni, niż klęczeć w tym błocie — szepnął Flavius z krzywym uśmiechem.

— Spokojnie. Od tego zależy nasze życie. Wytrwasz w takiej pozycji, jeżeli będzie trzeba, przez kilka godzin?

— Spróbuję — powiedział dzielnie porucznik.

Conan mruknął z zadowoleniem i znieruchomiał jak przyczajony w zasadzce lampart.

Owady brzęczały wokół nich, a żaby, które zamilkły, gdy pojawili się ludzie, teraz podjęły chrapliwy rechot. Czerwone słońce osuwało się coraz niżej. Drzewa powoli ciemniały.

— Coś mnie gryzie — szepnął z rozpaczą Flavius.

— Pijawka. Nie ma obawy. Nie wypije ci krwi na tyle, byś osłabł.

Flavius wzdrygnął się, oderwał wijącą się pijawkę i odrzucił ją od siebie.

— Ciii! Idą — syknął Conan.

Flavius znieruchomiał. Ledwo ważył się oddychać, gdy Piktowie pojedynczo i dwójkami wychodzili spomiędzy drzew. Pokrzykiwali wesoło i zataczali się ze śmiechu. Flavius był zaskoczony. Do tej pory uważał Piktów za ponury i milczący lud, a najwidoczniej ci dzicy potrafili się cieszyć tak jak wszyscy inni ludzie.

Polana zapełniła się, gdy Piktowie pokryci klanowymi malunkami, pokrzykując i przechwalając się, przykucnęli w rzędach i przekazywali sobie bukłaki z piwem.

— Widzę Wilki, Jastrzębie, Żółwie, Dzikie Koty i Kruki — wyszeptał Flavius. — Wszyscy w zgodzie... To niezwykle!

— Nauczyli się odkładać na bok klanowe waśnie — mruknął Conan. — Jeżeli kiedykolwiek się zjednoczą, niech Mitra ma w opiece Aquilonię. Ha! Spójrz na tych dwóch!

Na polanę wkroczyły dwie postacie znacznie odróżniające się od prawie nagich dzikusów. Jeden był piktyjskim szamanem w pióropuszu z dwudziestu barwionych strusich piór. Flavius wiedział, że te pióra przebyły ponad tysiąc mil szlakami handlowymi, które wiły się niczym wstążki po pustyniach i sawannach Południa.

Drugi mężczyzna był chudym, spalonym przez słońce i wiatr Aquilończykiem w koźlich skórkach.

— Sagayetha i... Na Croma! To Edric, zwiadowca, którego wcisnął nam Lucian! — warknął Conan.

Szaman i zwiadowca weszli między wojowników, którzy zakołysali się niczym łan zboża, by zrobić im przejście. Obaj mężczyźni wspięli się na mniejszy głaz. Aquilończyk przemówił do Piktów w swym rodzinnym języku. Od czasu do czasu przerywał, a Sagayetha tłumaczył jego słowa.

— Widzicie, moje dzieci — mówił Edric — że wasz wielki i wierny przyjaciel, generał Viscount Lucian, nie rzuca słów na wiatr. Powiedział, że odda w wasze ręce kompanię Aquilończyków i czyż tego nie uczynił? I pamiętajcie, że nie zwodzi was, obiecując wam całą Schohirę. Teraz jednak nadszedł czas obrachunku. W zamian za pomoc w odzyskaniu kraju, który przed laty został wam podstępnie wydarty, generał prosi o obiecaną zapłatę.

Sagayetha przetłumaczył ostatnie zdanie i dodał kilka słów od siebie.

— Co on mówi? — zapytał Flavius.

— Powiedział, żeby przynieśli pieniądze. A teraz bądź cicho!

Pojawiło się czterech Piktów, uginających się pod ciężarem skrzyni zawieszonych na drągu. Gdy postavili ją na ziemi, Sagayetha i Edric zeskoczyli z głazu i podnieśli wieko. Ze swej kryjówki Conan i Flavius nie mogli zobaczyć zawartości, ale Edric zanurzył w skrzyni rękę i podniósł garść połyskujących monet. Po chwili pozwolił im spaść z powrotem do skrzyni. Flavius usłyszał metaliczny brzęk.

— Skąd Piktowie mają tyle złota i srebra? Sami przecież nie używają monet. Chyba że do zdobyci.

— To kasa Valannusa — mruknął Conan. — Tuż przed upadkiem Fortu Tuscelan przybyła skrzynia z żołdem, która widać wpadła w ręce Piktów.

— Dlaczego, na wszystkich bogów, Lucian zdradza własny lud i sprzedaje kraj dzikim?

Spraque de Camp Lyon - Conan Szermierz

— Nie wiem, choć może się domyślam.

— Zabiję tych łajdaków! Mógłbym dosięgnąć ich, nim mnie powalą...

— Spróbuj tylko, a uduszę cię! — warknął Conan. — Słowa, które usłyszeliśmy, są ważniejsze od wszystkiego, co mógłbyś zrobić. Jeżeli nie przeżyjemy, wieść o zdradzie nigdy nie dotrze do Velitrium. Schyl głowę i trzymaj język za zębami.

Dwaj mężczyźni ukryci za tamą patrzyli w milczeniu, jak czterej Piktowie podnoszą drąg ze skrzynią i odchodzą z Edrikiem w głąb lasu. Sagayetha znów wspiął się na głaz i rozpoczął przemowę. Mówił Piktom o ich minionym bohaterstwie i przyszłych zwycięstwach. Jaskrawy pióropusz chwiał się i podskakiwał w ruchu, gdy szaman gestykułował zamasyżście.

Nim Sagayetha skończył, zapadła noc. W ciemności niektórzy Piktowie rozpoczęli taniec zwycięstwa. Podskakiwali, szurali nogami i stąpali rytmicznie, podczas gdy inni nadal raczyli się piwem. Nim gwiazdy pokazały się nad baldachimem liści, dostoyny taniec przemienił się w dziki, rozpasany płąs. Pijani zwycięstwem Piktowie stracili wszelki umiar i przemienili się w dzikie bestie. Niektórzy rzucali się na siebie, raniąc zębami i paznokciami. Conan chrząknął z odrazą.

Księżyc wisiał już wysoko na niebie, gdy w lesie wreszcie zapadła cisza. Nad leżącymi pokotem Piktami błyskały światelka kołujących świetlików. — Wszyscy posnęli — powiedział Conan. — Idziemy. Nisko schyleni przebrnęli na drugą stronę sadzawki. Gdy wyszli na brzeg i skryli się pod osłoną drzew, przemoczony Flavius zadrzał z zimna. Zdusił jęk przeciągając zdrętwiałe mięśnie i zwalczył pragnienie kichnięcia.

Conan ruszył szlakiem, który doprowadził ich do żeremia. Wydawało się, że Cymmerianin, kluczący między drzewami z kocią zwinnością, widzi w ciemnościach równie dobrze jak w dzień. W przeciwieństwie do niego Flavius brnął jak ślepiec. Często zbaczał ze szlaku i wpadał na kępy krzewów oraz pnie drzew. W końcu doszedł do wniosku, że najlepiej będzie zdać się na barbarzyński instynkt Conana i iść jak najbliżej za jego plecami.

Wkrótce dotarli do pobojuwiska. Ciała poległych zaczęły już cuchnąć. W lesie aż huczało od brzęku nocnych owadów. Flavius zadrzał, gdy dobiegło go warczenie jakiegoś grasującego w ciemności zwierzęcia.

Młody oficer zasapał się, Cymmerianin bowiem narzucał mordercze tempo. W końcu Conan zatrzymał się, by jego towarzysz mógł odpocząć.

— Dlaczego Lucian stał się zdrajcą swego kraju? — zapytał wtedy Flavius. — Powiedziałeś, że wiesz.

— To proste — rzekł Conan, wyciągając miecz, by wylać wodę z pochwy. — Po upadku Tuscelan Lucian został tymczasowym gubernatorem Conajohary i dowódcą wojsk tej małej prowincji.

— Istotnie, prowincja jest mała. To tylko pas wzdłuż Grzmiącej Rzeki, łączący Conawagę i Schohirę z Oriskonie... i miastem Velitrium.

— Tak niewielka prowincja nie mogła długo utrzymać swej niezależności. Thasperas z Schohiry i Brocas z Conawagi już udali się do Tarancii, by namówić króla do podziału Conajohary pomiędzy nich. Lucian doskonale wie, że jego rządy zakończą się, gdy król Nemedides obdarzy tą ziemią jednego bądź drugiego lennika, albo podzieli ją między nich. Mówi się, że Thasperas i Lucian nienawidzą się, więc generał oddając Schohirę Piktom zyska fortunę oraz zaspokoi żądzę zemsty. Ta skrzynia zawiera żołąd dla tysiąca ludzi, a to, w rzeczy samej, niemała suma. Mówi się, że Lucian jest hazardzistą po uszy pogrążonym w długach.

— Ale, Conanie, jaki los spotka zwykłych mieszkańców Schohiry?

— Luciana nic to nie obchodzi. On dba tylko i wyłącznie o generała Viscounta Luciana, jak zresztą większość feudalnych paniątek jego pokroju.

— Wiem, że baron Thasperas nie dopuściłby się takiej podłości! — powiedział gorliwie Flavius.

— Być może. Thasperas nie odwołał kompanii, które przysłał nam jako posiłki po klęsce w Tuscelan, a tego nie można powiedzieć o Brocasie. Ja jednak nadal nie ufam żadnemu z nich. Poza tym matactwa Luciana nie są bardziej nieuczciwe od tych, za pomocą których wy, Aquilończycy, przejęliście Conajoharę. Przynajmniej tak uważają dzicy.

Gniew Flaviusa wziął górę nad posłuszeństwem wobec starszego stopniem.

— Skoro tak pogardzasz nami, Aquilończykami, dlaczego nadstawiasz karku walcząc dla nas przeciwko Piktom?

Conan wzruszył ramionami.

— Nie pogardzam tobą, Flaviusie, ani żadnym porządnym człowiekiem, jakiego poznałem wśród twego ludu. Ale porządnych ludzi trudno znaleźć w każdym kraju. Klótnie lordów i królów nic dla mnie nie znaczą, ponieważ jestem najemnikiem. Sprzedaję swój miecz temu, kto płaci najwięcej. I tak długo, jak mi płaci, daję mu w zamian uczciwą równowartość w sile i mieczu. Ale, w drogę, młody panie! Nie możemy stać tu i plotkować przez całą noc.

4. ZŁOTO W BLASKU KSIĘŻYCA

W oficerskiej kwaterze w koszarach w Velitrium, w żółtym świetle oliwnej lampy zwieszającej się z pokrytego sadzą sufitu, siedzieli czterej mężczyźni. Dwaj z nich byli ubłoceni i czerwoni od niezliczonych ukąszeń komarów. Conan, najwyraźniej zupełnie nie zmęczony bogatym w wydarzenia ostatnim dniem i

Spraque de Camp Lyon - Conan Szermierz

nocą, mówił z przekonaniem i siłą. Flavius walczył z falami snu, które usiłowały go pochłonać. Za każdym razem, gdy głowa opadała mu na piersi, podrywał ją gwałtownie i skupiał uwagę na dwóch mężczyznach, którzy patrzyli nań badawczo. Potem powieki znów mu opadały, ciało rozluźniało się, a głowa zwisała bezwładnie, póki na nowo się nie obudził.

Pozostali dwaj ubrani byli w tuniki aquilońskich oficerów. Żaden jednak nie miał na sobie kompletnego stroju, ponieważ obaj zostali przebudzeni w środku nocy i niemalże siłą wyciągnięci z łóżek. Jeden był potężnie zbudowanym człowiekiem ze szpakowatą brodą i poznaczoną bliznami twarzą. Drugi, młodszy o patrycjuszowskich rysach, miał faliste blond włosy, które opadały mu na ramiona. Właśnie mówił:

— To, coś nam rzekł, kapitanie Conanie, zdaje się niewiarygodne! Człowiek szlachetnie urodzony, jak generał Lucian, nie zdradziłby tak podstępnie naszego zaufania i swych własnych żołnierzy! Nie mogę w to uwierzyć. Gdybyś rzucił takie oskarżenie publicznie, poczułbym się zobowiązany do nazwania zdrajcą ciebie, Conanie.

Conan parsknął.

— Wierz w co chcesz, Laodamasie, ale Flavius i ja widzieliśmy to, co widzieliśmy.

Laodamas zwrócił się do starszego oficera:

— Glyco, powiedz mi, czy tu chodzi o zdradę, czy też oni obaj oszaleli?

Glyco namyślał się dłuższą chwilę.

— Z pewnością to poważne oskarżenie. Z drugiej strony, Flavius jest jednym z naszych najlepszych poruczników, a nasz cymmeriański przyjaciel okazał swoją lojalność ubiegłej jesieni. Luciana znam tylko od czasu, gdy objął nad nami dowództwo. Bez dowodów nie powiem na niego ani złego, ani dobrego słowa.

— Ale Lucian jest szlachcicem! — upierał się Laodamas.

— Tak? — warknął Conan. — Laodamasie, jeżeli wierzysz, że sam tytuł wyznosi człowieka ponad małosłowną pokusę, to musisz się jeszcze wiele nauczyć o ludziach.

— Cóż, jeżeli ta fantastyczna opowieść jest prawdziwa... Czekaj! — rzekł szybko Laodamas, bo w błękitnych oczach Conana błysnęła złość, w jego gardle zaś zabrzmiał głęboki pomruk. — Nie zadaję kłamu twym słowom, kapitanie. Powiedziałem tylko: jeżeli. Jeżeli to prawda, co proponujesz? Nie możemy iść do naszego dowódcy i powiedzieć: „Zdrajco, zrezygnuj z dowództwa i czekaj pod strażą na sąd”.

Conan roześmiał się chrapliwie.

— Nie położę na pniu niczyjego karku bez dowodów. Ta skrzynia z żołdem powinna wkrótce przebyć Grzmiącą Rzekę i zostać cichcem przekazana w ręce generała. Flavius i ja szliśmy przez połowę nocy, by zdążyć przed nią. Liczyliśmy, że jej ciężar opóźni przybycie. Jeżeli się ubierzecie, możemy przejąć ją, nim dotrze do brzegu!

Czterej otuleni w płaszcze oficerowie, rozmawiający przyciszonymi głosami, zatrzymali się przy wąskim pomoście, który wychodził w rzekę z przystani Velitrium. Kilka uwiązanych przy nim małych łodzi podskakiwało na rzecznych falach. Księżyc, prawie w pełni, wisiał jak nadgryziony dysk nad zachodnim horyzontem. W górze krążyły powoli białe gwiazdy, a nad powierzchnią rzeki snuła się mgła. Ponad mlecznobiałymi kłębami widniały kudłate sylwetki drzew na drugim brzegu.

Jedynymi dźwiękami zakłócającymi nocną ciszę był chłopot wody o pale pomostu i ciche poskrzypywanie trących o siebie łodzi. Z daleka dobiegł krzyk nura. Oficerowie spojrzeli pytająco na Conana, lecz on potrząsnął przecząco głową.

— To prawdziwy ptak, nie piktyjski sygnał.

— Flaviusie! — rzucił ostro Laodamas.

Porucznik drzemał oparty plecami o pal.

— Niech chłopak śpi — powiedział Conan. — Zastużył sobie na to po trzykroć.

Wkrótce Flavius zaczął pochrapywać cichutko. Laodamas spojrzął na wschód i zapytał:

— Niebo poblądło trochę. Czy to już dzieje?

Conan znów potrząsnął głową.

— To tak zwany fałszywy świt. Prawdziwy nastanie nie wcześniej jak za godzinę.

Rozmawiający umilkli. Wszyscy trzej zaczęli chodzić po pomoście w tę i z powrotem. Wtem Conan zatrzymał się, by zawrócić, i znieruchomiał.

— Słuchajcie! — To wiosła! — dodał po chwili. — Zająć miejsca!

Szturchnął Flaviusa czubkiem buta. Czterej oficerowie zeszli na brzeg i skryli się w cieniach.

— Teraz cicho! — nakazał Conan.

Znów zapadła cisza. Księżyc zaszedł i gwiazdy zapłonęły jaśniej. Potem, gdy niebo na wschodzie zbladło, zapowiadając nadejście dnia, ponownie straciły blask.

Oficerowie usłyszeli lekki, rytmiczny plusk i poskrzypywanie. We mgle pojawił się czarny kształt łodzi. Gdy podpłynęła bliżej, mogli rozróżnić głowy pięciu ludzi wznoszące się nad kadłubem.

Łódź zbliżyła się do końca pomostu. Jeden z mężczyzn wyskoczył na pomost i szybko przywiązał cumę do kołka. Czterej wiosłarze stękając podnieśli ciężki, niewygodny przedmiot i wepchnęli go na deski pomostu. Potem wyskoczyli z łodzi, złapali drąg i dźwignęli ładunek na ramiona. Piąty poprowadził ich w kierunku

Sprague de Camp Lyon - Conan Szermierz

brzegu. Po chwili dało się dostrzec, że wszyscy odziani są w kożle skóry aquilońskich zwiadowców. Najwyraźniej w czasie transportu Piktowie musieli przekazać ładunek tej piątce.

Zwiadowcy zbliżyli się do brzegu, a wtedy na pomost wskoczył Conan z dobytym mieczem.

— Stać albo zginiecie! — krzyknął ostro.

Trzej pozostali oficerowie stanęli za nim z obnażonymi mieczami w dłoniach. Przez jedno uderzenie serca wokół panowała grobowa cisza.

Tragarze z hukiem rzucili skrzynię. Jak jeden mąż popędzili na koniec pomostu i skoczyli do swojej łodzi, która zakołysała się niebezpiecznie. Jeden ciął cumę nożem, inni złapali wiosła i odbili.

Przywódca również rzucił się do ucieczki, ale potknął się o skrzynię i przewrócił. Conan szybko jak błyskawica złapał go za żyłasty kark i przycisnął mu do gardła ostrze miecza.

— Jedno słowo, a już nigdy nie powiesz drugiego — warknął ostrzegawczo. Jego oczy zapłonęły jak ślepie głodnego drapieznika.

Pozostali oficerowie precyzyjnie się obok Conana oraz jego jeńca i dotarli do końca pomostu. Lecz zwiadowcy odpłynęli już daleko, a wkrótce roztopili się w mlecznych oparach.

— Niech sobie te psy idą — warknął Conan. — Ważne, że mamy tego. To Edric, zdrajca, który wprowadził nas we wczorajszą zasadzkę. Powie nam to, co chcemy wiedzieć, prawda, Edricu?

Kiedy zwiadowca nie odpowiedział, Conan dodał:

— Nieważne. Zmuszę go do mówienia.

— Co teraz, Conanie? — zapytał Glyco.

— Wracamy do koszar. Do twojej kwatery.

— Conanie, jak zabierzemy do koszar skrzynię i tego człowieka? — zapytał Flavius. — Żeby ją ponieść, trzeba czterech ludzi, a wtedy zabraknie strażnika dla więźnia.

— Flaviusie, zabierz temu psu nóż i zwiąż mu ręce na plecach. Jego pasem. Teraz ty za niego odpowiadasz.

Cymmerianin rozluźnił żelazny uścisk na szyi zwiadowcy, wyprostował barczyste ramiona i pochylił się nad skrzynią.

— Glyco, Laodamasie, dźwignijcie ją na chwilę.

Dwaj oficerowie wsunęli ramiona pod końce dragi i wyprostowali się sapiąc ciężko. Conan przykucnął i wsunął plecy pod skrzynię. Napięte mięśnie zatrzeszczały, gdy prostował kolana.

— Na bogów! — rzekł Laodamas. — Nigdy bym nie pomyślał, że śmiertelnik zdoła dźwignąć taki ciężar.

— Pomóżcie Flaviusowi doprowadzić więźnia do koszar. Nie mogę tak stać do wschodu słońca!

W bladym świetle brzasku ruszyli błotnistymi ulicami Velitrium. Najpierw szedł zwiadowca, z Glykiem i Laodamasem po bokach i Flaviusem za plecami. Ostry czubek miecza co chwila przynaglał ociągającego się jeńca. Pochód zamykał Conan. Trochę zataczał się pod ciężarem skrzyni, ale trzymał ją pewnie na grzbiecie.

Dotarli do koszar w chwili, gdy pierwszy ptasi śpiew przywitał wschodzące słońce. Strażnik wytrzeszczył oczy, ale rozpoznawszy oficerów, zasalutował bez słowa.

5. „GENERAŁ SIĘ GOLI”

Kilka minut później w kwaterze Glyca siedziało pięciu ludzi. Skrzynia z podniesionym wiekiem, ukazując swą migoczącą zawartość, stała na środku pokoju. Edric siedział na podłodze z rękami i nogami związanymi razem.

— Oto dowód — zaczął Conan dysząc ciężko. Odwrócił się do Edrica. — Teraz, człowieku, albo będziesz mówić, albo ja będę musiał wypróbować na tobie pewną piktyjską torturę...

Ponury więzień milczał.

— Dobrze. Flaviusie, daj mi jego nóż.

Oficer wyciągnął zza cholewy nóż zwiadowcy i podał go Cymmerianinowi, który pokiwał nim znacząco.

— Nie lubię używać własnego — powiedział. — Bo przy rozgrzewaniu do czerwoności stał się rozhartowany. Przysuń mi kosz z węglami.

— Będę mówił! — zaskamlał więzień. — Diabeł taki jak ty wycisnąłby zeznania nawet z nieboszczyka. — Edric nabrał powietrza do płuc i zaczął mówić: — My, ludzie z Oriskonie, żyjemy z dala od reszty Conajohary i mało obchodzą nas inne prowincje. Poza tym generał obiecał, że uczyni nas bogatymi, jeśli oddamy Schohirę Piktom. Jesteśmy biedakami. Cóż poza rozbojem i złorzeczeniami mamy od naszego barona czy innych panów?

— Twoim obowiązkiem jest słuchać swych naturalnych panów... — zaczął Laodamas, ale Conan gestem nakazał mu milczenie.

— Mów dalej, Edricu. Nie zważaj na dobro i zło swego postępu.

Edric opowiedział, jak generał Lucian namówił jego i innych zwiadowców do wciągnięcia Aquilończyków w piktyjską zasadzkę.

— Zastawiliśmy pułapkę nad Południowym Strumieniem po to, by udowodnić dobrą wolę generała wobec piktyjskich sprzymierzeńców i żeby odebrać im skrzynię z żoldem.

Spraque de Camp Lyon - Conan Szermierz

— Jak szlachetnie urodzony człowiek może zdradzać swoich dla złota?! — krzyknął zapalczywie Laodamas.

Conan zmarszczył brwi i odwrócił się do oficera.

— Cicho, Laodamasie. Edricu, mów dokładniej, na czym polegała zastawiona przez generała pułapka?

— Czarownik Sagayetha umie rządzić węzami z daleka. Piktowie mówią, że wkłada duszę w ciało węża, ale ja nie rozumiem się na takich rzeczach.

— Ani ja, ani żaden uczciwy człowiek — rzekł Conan. — Myślisz, że Lucian naprawdę oddałby Schohirę Piktom?

Edric wzruszył ramionami.

— Nie wiem. Nie wybiegałem myślami tak daleko do przodu.

— Czy nie pomyślałeś, że was także by zdradził? Kazałby zabić ciebie i twoich kamratów, żeby żaden świadek jego zdrady nie doniósł o niej królowi Aquilonii.

— Na Mitrę! Nie! — wysapał Edric, odwracając głowę od ognia, żeby ukryć przerażenie w oczach.

— Może ten łajdak łże, a Lucian jest lojalnym Aquilończykiem — wtrącił Laodamas. — Zatem nie musimy...

— Głupcze! — wybuchnął Conan. — Jaki lojalny Aquilończyk poświęca kompanię dobrych żołnierzy zaledwie po to, by zastawić pułapkę? Glyco, ilu przeżyło ten pogrom?

— Cztery dziesiątki wróciły przed nocą. Mamy nadzieję, że może jeszcze kilku...

— Ale... — zaczął Laodamas.

Conan trzasnął pięścią w dłoń.

— To byli moi ludzie! — warknął. — Sam ich wyszkoliłem i znałem każdego z nich. Arno był porządnym człowiekiem i moim przyjacielem. Już nieważne, jaki plan uknuł Lucian. Glyco, Laodamasie, idźcie do swoich kompanii i wybierzcie po tuzinie ludzi, którym ufacie. Powiedzcie im, że chodzi o zdradę wysokiego oficera i że jeśli chcą pomsty za Południowy Strumień, muszą wykonywać rozkazy. Spotkacie się ze mną za pół godziny na placu koszarowym. Flaviusie, zamknij naszego więźnia i potem dołącz do mnie.

— Conanie — powiedział Laodamas — przynaję, że twój plan jest rozumny, ale to ja powinienem dowodzić. Ja jestem szlachcicem, więc stoję nad tobą w wojskowej hierarchii...

— A ja stoję nad tobą, młody człowieku — warknął Glyco. — Jeżeli kłócisz się o szarżę, ja obejmę dowodzenie. Prowadź, Conanie! Zdaje się, że wiesz, co robisz.

— Jeżeli nie — mruknął pośpiesznie Laodamas — wszyscy zawiśniemy za bunt. Założmy, że generał krzyknie: „Brać tych zdrajców!” Kogo posłuchają?

— Odpowiedź jest kwestią czasu — rzekł Conan. — Idziemy!

Na placu koszarowym trzech oficerowie i ich porucznicy zebrali czterdziestu żołnierzy. Conan pokrótce wyjaśnił, na czym polegała piktyjska zasadzka i kto zaplanował masakrę. Kazał czterem ludziom przynieść skrzynię i powiedział:

— Chodźcie za mną.

Słońce wspięło się nad wierzchołki falistych, bossoniańskich wzgórz, gdy oddział Conana przybył przed siedzibę dowódcy Pogranicznego Legionu Conajohary. Do wybudowanego na stoku domostwa wchodziło się z ulicy po dwunastu stopniach. Dwaj strażnicy stanęli na baczność na widok oficerów.

Conan wszedł na schody.

— Sprowadźcie generała! — szczechnął.

— Ależ panie, generał jeszcze nie wstał — powiedział wartownik.

— Sprowadźcie go. Ta sprawa nie może czekać.

Obrzuciwszy badawczym spojrzeniem ponure twarze oficerów, wartownik odwrócił się i wszedł do domu. Na ulicy pojawił się stajenny, prowadzący jednego z generalskich wierzchowców.

— Po co ten koń? — zapytał Conan drugiego strażnika,

— Jego lordowska mość często zażywa przejażdżki przed śniadaniem.

— Wspaniałe zwierzę.

Wrócił pierwszy strażnik i powiedział:

— Generał się goli, panie. Prosi, żeby zaczekać...

— Do diabła z nim! Jeżeli nie wyjdzie do nas, my pójdziemy do niego. Idź i powiedz to jego lordowskiej mości!

Wartownik westchnął ciężko i wrócił do domu. Wkrótce na tarasie pojawił się generał Viscount Lucian z rękami na ramieniu. Poza nim miał na sobie tylko spodnie i buty. Był to niski, krępy mężczyzna w średnim wieku, którego dobrze rozwinięte muskuły zaczynały już tracić sprężystość, a czarne wąsy, zazwyczaj sterczące jak para nawoskowanych szydeł bez porannej pomady, były wystrzępione i oklapłe.

— Panowie — zaczął wyniośle Lucian. — Czemu zawdzięczam wizytę o tak niewczesnej porze? — odwrócił się do strażnika i powiedział: — Przynieś stołek. Hermius może skończyć mnie golić, a ja w tym czasie wysłucham mych porannych gości. Ty, kapitanie Conan, o ile dobrze pamiętam godność, wyglądasz na przywódcę. Co masz do powiedzenia?

— Tylko kilka słów, milordzie — warknął Conan. — Ale za to mamy coś do pokazania.

Gwałtownie machnął ręką i żołnierze czekający na ulicy szybko wspięli się po schodach i postawili skrzynię

Sprague de Camp Lyon - Conan Szermierz

na mozaikowej posadzce tarasu. Potem cofnęli się kilka kroków.

Glyco i Laodamas wpatrywali się w generała niczym nemedyscy kronikarze w starożytny pergamin. Lucian rzucił okiem na skrzynię i drgnął. Twarz mu zbladła i zagryzł dolną wargę. Nic nie powiedział, ale w sercach tych, którzy go obserwowali, nie pozostała najmniejsza wątpliwość co do tego, że generał wie, co to jest za skrzynia.

Conan kopniakiem odrzucił wieko. Zawiasy zaskrzypiały. Strażnicy zamrugali. Lucian wzdrygnął się, gdy złote monety zalśniły w słońcu.

— Nadeszła chwila prawdy, Viscount — rzekł ponuro Conan. Jego bezlitosne spojrzenie zawisło na twarzy zwierzchnika. — Stoi przed tobą dowód twego przestępstwa. Nie wątpię, że król Numedides nazwie je zdradą. Ja mam na to inne określenie: śmierdząca zdrada. Najpodlejszą zdradą jest wpędzenie w pułapkę własnych żołnierzy, którzy ufali ci, dzielnie dla ciebie walczyli i ślepo wykonywali twoje rozkazy!

Lucian nie poruszył się, jedynie koniuszek języka przesunął się po jego wargach. Oczy miał jasne i niewzruszone.

Oczy Conana zwięzły się w szczeliny, w których zapłonęła czysta nienawiść.

— Widzieliśmy, jak Piktowie dali tę skrzynię twojemu człowiekowi Edricowi i mamy jego zeznanie. Jesteś aresztowany...

Balwierz, trzymający pod brodą generała miskę z gorącą wodą, cofnął brzytwę. Lucian skoczył jak atakujący wąż. Wyrwał miskę z rąk zdumionego golibrody i cisnął ją Conanowi w twarz. W następnej chwili chwycił oburącz skrzynię i pchnął ją potężnie. Skrzynia zwała się z tarasu, wieko odpadło. Po schodach lunęła kaskada złotych monet. Była to istna ulewa szczerzego złota.

Z ust żołnierzy, którzy przybyli tu wraz z Conanem, wyrwał się zbiorowe sapnięcie zachwytu. Gdy skrzynia trzasnęła o ziemię, a monety potoczyły się po ulicy, żołnierze złamali szyk i rzucili się w pogoń za złotem.

Lucian przemknął obok Cymmerianina chwilowo oślepionego przez gorącą wodę z mydłem, pokonał schody po dwa stopnia naraz, rozepchnął zdezorientowanych żołnierzy i skoczył na siodło ogiera. Nim Conan otrząsnął się z mydlin, pyszny wierzchowiec zniknął na końcu ulicy. Bryły błota tryskały spod kopyt, młócących ziemię w szalonym galopie.

Laodamas wrzasnął na swoich ludzi, by biegli do koszar po konie i ruszyli w pościg za uciekinierem.

— Nigdy go nie złapiesz — powiedział Conan. — Ten koń jest najlepszy na całym Pograniczu Bossońskim. Ale to bez znaczenia. Kiedy nasze złożone pod przysięgą oświadczenie dotrze do Tarancii, będziemy mieli spokój z Lucianem. Czy król każe go ściąć, czy obdarzy nim jakąś inną prowincję, to już nie nasza sprawa. Teraz musimy powstrzymać Piktów od zagarnięcia całej Schohiry i skapania jej we krwi! — Podszedł do żołnierzy czekających pod tarasem i powiedział: — Zbierzcie te monety, nim pogubią się w błocie. Potem wracajcie do koszar i czekajcie na moje rozkazy. Kto pójdzie ze mną ratować kraj w imię Mityry i Numedidesa?

6. ŁĄKA MASAKRY

— Ja nie lękam się węży, ale nie ręcę za swoich pikinierów, gdy te paskudztwa zaczną im spadać na głowy — mówił Glyco. — Wszyscy żołnierze wiedzą już o tym piktyjskim czarowniku.

Laodamas wzruszył ramionami.

— W bitwie nie jestem tchórzem większym od innych, ale węże... To nie rycerski sposób wojowania. Zwabmy Piktów na otwarte pole, gdzie nie ma drzew, z których mogłyby spadać węże, i gdzie moja konnica mogłaby porąbać tę dzicz na kawałki.

— Nie widzę sposobu — burknął Conan. — Ich następnym posunięciem będzie zapewne sforsowanie Rzeki Południowej i wejście do Schohiry, skoro to tę prowincję sprzedał im Lucian. Ta kraina to ciągnące się milami puszcze. Aquilończycy jeszcze ich nie wykarczowali.

— Zatem — upierał się Laodamas — dlaczegóż by nie zgromadzić naszych sił w Schondarze. Tam moglibyśmy użyć jazdy.

— Nie możemy zmusić Piktów, by spotkali się z nami na wybranym przez nas polu. Osady w Schohirze są rozrzucone i Piktowie bez przeszkód spaliliby całą prowincję, podczas gdy my siedzielibyśmy kamieniem czekając na ich atak. Oni przemykają między drzewami jak woda przez sito, a nasi ludzie muszą walczyć w bojowym szyku.

— Więc jaki jest twój plan? — zapytał Glyco.

— Wybrałem spośród moich łuczników doświadczonych zwiadowców. Kiedy wrócą z meldunkami, odszukam miejsce, w którym Piktowie mają zamiar przebyć Południowy Strumień, i tam uderzę.

— Ale węże... — zaczął Laodamas.

— Niech je piekło pochłonie! Kto ci powiedział, że żołnierka jest bezpiecznym rzemiosłem? Węże przestaną nas nękać, gdy Sagayetha zginie. Być może uda mi się go zabić. Na razie musimy zrobić to, co można z tym, co mamy. A na Croma i Mitrę, mamy dość!

Trzy mile powyżej Skał Rady, Południowy Strumień płynął przez połąć w miarę równego gruntu, błotnistego

Sprague de Camp Lyon - Conan Szermierz

po obu stronach koryta. Strumień był w tym miejscu szeroki i płytki, łatwy do przebycia, dlatego zbiegało się tu kilka szlaków. Podmokłą równinę porastały trawy i krzewy, ale drzewa były nieliczne. Łąka Masakry, jak ją zwano, była najbardziej przestronnym terenem w okolicy.

Na obrzeżach tego miejsca, gdzie zaczynał się gęsty las, Conan rozstawił swoją armię. Pikinierzy i łucznicy stanęli półksiężycem pod drzewami, konnica Laodamasa zaś na prawej flance. Jeźdźcy siedzieli na ziemi i grali w kości, a spętane wierzchowce gryzły trawę i machały ogonami opędzając się przed dokuczliwymi muchami. Conan chodził wzdłuż szeregów, sprawdzając ekwipunek, wydając rozkazy i poprawiając nastrój myślących o wężach żołnierzy za pomocą niewybrednych żartów.

— Glyco! — zawołał. — Wyznaczyłeś ludzi, którzy mają przymocować łuczycywa na pikach?

— Właśnie je przygotowują — odrzekł Glyco, wskazując na dwunastu Aquilończyków, którzy przywiązywali do włóczni smolne szczapy.

— Dobrze. Zapalcie je, gdy tylko zobaczycie Piktów.

Conan poszedł dalej.

— Laodamasie! Daj rozkaz do szarży, gdy połowa Piktów przejdzie przez strumień.

— W ten sposób zdobędziemy nieuczciwą przewagę. To nie po rycersku.

— Na Croma i Mitrę, człowieku, to nie turniej! Wydadz rozkaz.

Znalazszy się z powrotem wśród piechoty, Cymmerianin skinął na Flaviusa i powiedział:

— Kapitanie Flaviusie, czy twoi ludzie są gotowi?

Flavius skłonił się, słysząc swój nowy stopień.

— Tak jest, panie. Przygotowują dodatkowe strzały.

— Dobrze. Nie wiem, co naraża armię na większe niebezpieczeństwo: uczciwy bałwan jak Laodamas czy przebiegły szakal jak Lucian. Na szczęście na ciebie mogę liczyć bez zastrzeżeń.

Flavius w odpowiedzi błysnął zębami w szerokim uśmiechu.

Popołudnie mijalo wśród brzęczenia much i żołnierskich narzeknięć. Przekazywano sobie z rąk do rąk bukłaki z wodą. Siedzący na zwalonej kłodzie Conan, na płacie kory, w miarę przybywania meldunków zwiadowców zaznaczał położenia piktyjskich hord. W końcu miał szkicową mapę, na podstawie której zaplanował nadchodzącą bitwę.

Tuż przed zachodem słońca na Łące Masakry pojawili się pierwsi Piktowie, wywrzaskujący wyzwania i wymachujący bronią. Kolejne dziesiątki i setki wojowników wylewały się z lasu, aż obniżenie za Południowym Strumieniem wypełniło się nagimi, malowanymi ciałami.

— Przeważają licznie jak w czasie bitwy z węzami — mruknął Flavius.

Conan wzruszył ramionami i wstał. Wzdłuż szeregów Aquilończyków przekazywano spieszenie rozkazy. Pikinierzy wyznaczeni do tępienia węży rozpalali ogniska, od których mieli zapalić pochodnie na pikach. Łucznicy wyciągali strzały z kołczanów i wbijali je w ziemię przed sobą.

Nagle zaczął bić bęben. Jego dudnienie przypominało łomot oszalonego serca. Piktowie, wykrzykując wojenne krzyki, rzucili się do strumienia, tratując podmokły grunt po południowo — zachodniej stronie łąki. Wśród dzikiego wycia strzały zajęczały nad łąką niczym duchy potępionych.

Pierwsze grupy Piktów rzuciły się na szeregi pikinierów. Kiedy jeden z napastników nadział się na pikę i jego ciężar ściągnął ostrze w dół, inni wepchnęli się w tę lukę, ciskając oszczepy i tnąc toporami. Pikinierzy z drugiego szeregu, wrzeszcząc i klnąc, zdołali ich odeprzeć. Wkrótce wzdłuż aquilońskiego szyku pełzali, wili się i zawodzili ranni i konający.

Sam Conan stał w środku bitewnego zamętu, górując niczym olbrzym nad niższymi Gunderlandczykami i Bossończykami. Uzbrojony w potężny topór zbierał krwawe żniwo wśród wrogów, którzy rzucali się na niego jak ujadające psy na odyńca. Straszliwe ostrze, którym wywijał z taką łatwością, jakby to była wierzbowy witek, rozłupywało czaszki, miażdżyło żebra, odrąbywało głowy i ramiona z bezlitosną dokładnością. Nucąc gardłowo monotonną pieśń swego klanu, walczył niezmiernie, a stosy trupów rosły wokół niego jak ścięte zboże wokół kosiarza.

Piktowie zaczęli w końcu omijać miejsce, w którym nad wałem poległych stał niepokonany Cymmerianin. Choć byli odurzeni walką i krwią, do ich dzikiej świadomości dotarło, że tego odzianego w żelazo olbrzymia, zbryzganego posoką od stóp do głów, nigdy nie zdołają pokonać.

Naraz odstąpili i wokół Conana zrobiło się pusto. Gdy Cymmerianin oparł się na toporze, przybiegł jego świeżo upieczony kapitan.

— Conanie! — zawołał Flavius. — Zostaliśmy otoczeni! Kiedy zacznie się szarża?

— Jeszcze nie, Flaviusie. Spójrz tam, na drugi brzeg. Ani ćwierć tych malowańców jeszcze nie przeszła przez strumień. Ta walka to zaledwie potyczka. Chcą wymacać nasze słabe punkty. Niedługo odstąpią.

Istotnie, wkrótce zabrzmiały świstawki. Piktowie cofnęli się i przebrnęli przez strumień, ścigani aquilońskimi strzałami.

— Łucznicy! — krzyknął Conan. — Dwaj ludzie z każdego oddziału zbierają strzały.

Łucznicy przepchnęli się między pikinierami i zebrali wystrzelone pociski wyciągając je z ziemi i ze skrwawionych ciał poległych Piktów.

— Uff! — sapnął Flavius, zsuwając hełm, by otrzeć zbryzganą krwią twarz. — Jeżeli to była tylko potyczka,

Spraque de Camp Lyon - Conan Szermierz

wolałbym nie widzieć prawdziwego ataku. Skąd wiedziałeś, kiedy te diabły odstąpią?

— Kiedy dzicy odkrywają skuteczną taktykę, często powtarzają ją bezmyślnie — objaśnił Cymmerianin. — Wcześniejszy atak Sagayethy zniszczył nas, więc teraz czarownik spróbuje powtórzyć sprawdzony sposób. Niektórzy cywilizowani oficerowie czynią podobnie.

— Zatem wkrótce zaatakują węże?

— Bez wątplenia. Słuchaj!

Z głębi lasu dobiegł odległy dźwięk bębna i grzechotki. Tworzyły tę samą melodię, jaka poprzedziła magiczny atak w poprzedniej bitwie.

— Niedługo zrobi się całkiem ciemno — powiedział zaniepokojony Flavius. — Trudno będzie strzelać do Piktów i palić węże.

— Róbcie wszystko, co będzie można — rzekł Conan. — Ja mam zamiar udać się po tego diabła Sagayethę. Przekaż to innym oficerom.

Conan ruszył szybko wzdłuż szeregu do miejsca, w którym stał Glyco. Cymmerianin pokrótce przedstawił swój plan staremu wiarusowi.

— Ależ, Conanie...

— Nie próbuj mi odradzać, człowieku! W pojedynkę może uda mi się odkryć legowisko tej hieny. Póki nie wrócę, ty dowodzisz.

— O ile wrócisz — mruknął Glyco. Uniósł głowę i odkrył, że przemawia do pustki.

Conan zniknął.

7. WĘŻOWY SZAMAN

Nocne powietrze wibrowało od brzęczenia owadów. Conan obszedł linie Aquilończyków i wydostał się na trakt wiodący do Velitrium. Pobiegł nim, a kiedy jego oddziały zostały daleko z tyłu, zboczył ze szlaku i dotarł do Południowego Strumienia. Bez namysłu wszedł do wody. Zaklął siarczyście, bo wpadł w dziurę i zanurzył się od razu po szyję. Brnąc i płynąc, dotarł na drugi brzeg. Przedarł się przez krzaki i wreszcie znalazł w dziewiczym lesie.

Księżyc, który od czasu klęski nad Południowym Strumieniem zdążył przemienić się w wielki, srebrny dysk, wznosił się wysoko na niebie. Conan, idąc ostrożnie, zatoczył szerokie koło. Liczył, że w końcu znajdzie się na tyłach piktyjskich hord. Szedł po cichu i od czasu do czasu zatrzymywał się, by słuchać i łowić obce zapachy. Chociaż pragnienie zabicia czarownika paliło go żywym ogniem, był wojownikiem na tyle doświadczonego, by wiedzieć, że pośpiech może jedynie przyspieszyć nadejście jego własnej śmierci.

Po pewnym czasie wyłowił odgłos bębna i grzechotki. Znieruchomiał, wstrzymując oddech i przekrzywiając głowę, by określić kierunek, z którego dobiegały dźwięki. Po chwili ruszył dalej. Potem do jego uszu dotarła wrzawa czyniona przez piktyjską armię. Główne siły dzikich gromadziły się po drugiej stronie Łąki Masakry, naprzeciwko aquilońskich wojsk. Conan podwoił ostrożność.

Nie spotkał ani jednego Pikta do chwili, gdy bębnienie i grzechotanie stały się tak głośne, że pozwoliły dokładnie trafić do źródła hałasu. Namiot czarownika stał między dwoma potężnymi dębami na polance rozjaśnionej przez kilka promieni księżycowego światła, które zdołały przedrzeć się przez listowie. Conan spiął się wewnątrz wyczuwając magiczną aurę.

Potem jego bystre oczy wypatrzyły Pikta, który oparty o drzewo spoglądał w kierunku gromadzących się dzikich. Conan z największą ostrożnością zbliżył się doń od tyłu. Dzikus usłyszał trzask pękającego za nim źdźbła trawy i zawirował. W tej samej chwili topór Conana trzasnął go w twarz pokrytą barwami wojennymi. Głowa dzikiego wojownika rozpękła się jak melon.

Conan znieruchomiał. Bał się, że trzask i chrzęst mogły ostrzec Sagayethę. Jednakże w rytmicznym bębnieniu nie nastąpiła żadna przerwa. Conan zbliżył się do namiotu. Gdy wyciągnął rękę, by odchylić kłapę, hałas umilkł. W czasie poprzedniej bitwy taka sama cisza poprzedziła węzowy deszcz.

Conan podniósł kłapę przysłaniającą wejście i wszedł do środka. Skrzywił nos, czując gadzi smród. Jedyne źródło światła były żarzące się węgle. Przyćmiony, czerwony blask pełgał po ścianach namiotu. Za ogniem w różowym mroku siedziała niewyraźna zgarbiona postać.

Conan obszedł ognisko, przygotowując się do ciosu, który raz na zawsze położyłby kres złu. Milcząca postać nie zmieniła pozycji. Cymmerianin zobaczył, że rzeczywiście był to Sagayetha, w przepasce na biodrach i mokasynach. Czarownik siedział z zamkniętymi oczami. Wyglądało na to, że jest pogrążony w transie, że jego dusza odeszła, by rządzić węzami. I dobrze! Conan zrobił jeszcze jeden krok.

Coś poruszyło się na ziemi. Conan schylił się, by lepiej zobaczyć, i poczuł ostre ułkucie na lewej ręce poniżej krótkiego rękawa kolczugi.

Barbarzyńca odskoczył. Olbrzymia żmija zatopiła kły w jego przedramieniu. To musiała być królowa wszystkich piktyjskich żmij. Była co najmniej o stopę dłuższa, niż wynosił wzrost potężnego Cymmerianina. Gdy wojownik szarpnął się w tył, zaledwie połowa węża uniosła się z klepiska.

Conan sapnął z odrazą i ciął toporem. Ostrze, choć stępione podczas walki, przecięło kark gada pięćdziesiąt centymetrów za głową. Cymmerianin oderwał zdrową ręką łeb żmii i wyrzucił go z namiotu. Ciało węża zakotłowało się na

Spraque de Camp Lyon - Conan Szermierz

ziemi i wpadło w ogień, rozrzucając węgle. W namiocie rozszedł się smród przypalonego mięsa.

Conan wlepił oczy w przedramię i zimny pot zrosił mu czoło. Dwa czerwone znaki pojawiły się tam, gdzie kły wniknęły w nagą skórę, a z każdego naktucia wypływały kropelki krwi. Skóra wokół ranek ciemniała szybko, a ostry ból obezwładniał mu rękę.

Conan rzucił topór tak, że ostrze wryło się w ziemię. Wyciągnął nóż, by naciąć skórę wokół ukąszenia. Nim zdążył to zrobić, siedząca postać poruszyła się. Oczy Sagayethy otworzyły się. Były zimne i śmiertelnie groźne niczym ślepią żmii.

— Cymmerianinie! — zawołał szaman. Słowo to zabrzmiało jak syk demona. — Zabiłeś węża, w którego posłałem moją duszę, ale...

Conan cisnął nóż. Czarownik odchylił się wężowym ruchem i nóż utkwił w skórzanej ścianie namiotu. Sagayetha podniósł się i wyciągnął kościstą rękę.

Nim zdołał wykrzyknąć klątwę, Conan złapał topór i wywinął nim ze świstem. Ostrze załśniło szkarłatem i z okropnym młaśnięciem ugrzęzło w karku szamana. Głowa Sagayethy odleciała od tułowia, potoczyła w kierunku wyjścia i znieruchomiła na klepisku. Krew trysnęła z przewracającego się korpusu, sycząc na gorących węglach. W różowej poświacie zawirowały cuchnące opary.

Conan chwycił nóż i ciął ukąszoną rękę. Ssał krew z rany i spluwał raz za razem. Ciemna plama dotarła do łokcia, a ból odbierał zmysły. Cymmerianin ściągnął z trupa pas i zrobił z niego prowizoryczną opaskę, którą zacisnął nad raną.

Znów zaczął ssać zatrutą jadem krew, gdy raptem zabrzmiał mu w uszach narastający ryk. To zniecierpliwieni Piktowie, nie czekając na swych gadzich sojuszników, rozpoczęli atak. Conan wściekł się, że nie może co tchu popędzić do swoich, ale wiedział, że dla człowieka dopiero co ukąszonego przez jadowitego węża taki bieg oznaczałby szybką śmierć. Wysiłkiem woli zmusił się do kontynuowania ssania i plucia.

Po pewnym czasie stwierdził, że purpurowa plama już się nie rozprzestrzenia. Kiedy cofnęła się nieco, zabandażował przedramię płótnem znalezionym w sakwie czarownika. Niosąc w zdrowym ręku topór i głowę Sagayethy, wyszedł z namiotu.

8. KRWAWE KSIĘZYC

W blasku księżyca nie kończąca się lawina Piktów brnęła przez Południowy Strumień. Na Łące Masakry ciała Aquilończyków dołączyły do ciał poległych Piktów.

— Laodamas! — dobiegł z cieni głęboki, chrapliwy krzyk. Dowódca kawalerii obrócił się w siodle.

— Na Mitre! Conan!

— A kogoś się spodziewał? — warknął Cymmerianin.

Gdy światło księżyca padło na twarz barbarzyńcy, Laodamas zobaczył, że maluje się na niej skrajne wyczerpanie. Oblicze Cymmerianina było śmiertelnie blade, jakby Conan zmuszał się do nadludzkiego wysiłku.

— Do diabła, dlaczego nie dałeś rozkazu do szarży? Już połowa Piktów przeszła przez strumień!

— Nie zrobię tego! — zawołał Laodamas. — Korzystanie z tego, że siły nieprzyjaciela są podzielone, byłoby sprzeczne z regułami rycerskości.

— Ty durniu! — wrzasnął Conan. — Zatem musimy zrobić to inaczej!

Odłożył swe przerażające trofeum i broń, złapał Laodamasa za kostkę, wyszarpnął stopę ze strzemienia i dźwignął ją w górę.

— Co...! — krzyknął kapitan. Potem został wysadzony z siodła i runął z chrzęstem zbroi na ziemię po drugiej stronie konia.

W chwilę później Conan wskoczył na zwolnione siodło. Podniósł topór, a na włócznię Laodamasa nadział głowę Sagayethy.

— Tu jest wasz piktyjski czarownik! — ryknął. — Dalej, żołnierze, za mną!

Trębacz zadał w róg. Aquilońscy jeźdźcy, zełtoszczeni dotychczasową zwłoką, spięli wierzchowce ostrogami. Konnica ruszyła ze szczękiem i skrzypieniem rynsztunku. Conan ryknął:

— Krzyczcie: „Sagayetha nie żyje!” Trąb do szarży, trębacz!

Conan trzymał swój makabryczny łup wysoko niczym chorągiew. Żołnierze wylegli z lasu, wrzeszcząc, by piechury zeszli im z drogi. Piechota rozstała się i kawaleria wpadła w powstałą lukę.

Grupy odzianych w kolczugi jeźdźców przeorały luźne watahy Piktów niczym stalowy grom. Na czele pędził Conan trzymając drzewce włóczni w zgięciu lewej ręki. Odrąbana głowa czarownika podskakiwała nad nim niczym upiorny sztandar. W zdrowej ręce trzymał stylisko topora, a w zębach wodze wierzchowca.

Okryta żelazem konnica pędziła niczym wichur, tnąc i rąbiąc na prawo i lewo. Zgniatając chwiejne szeregi wroga, jeźdźcy zawodzili swój bitewny okrzyk: „Sagayetha nie żyje! Sagayetha nie żyje!” Piktowie w większości nie rozumieli słów, lecz gdy w blasku księżyca zobaczyli oblicze martwego szamana, szybko pojęli ich znaczenie. Teraz piechota podjęła pieśń. Nad łąką zadudnił głęboki, odbijający się echem chór. Krępi Gunderlandczycy pochylając piki w bryzgach wody przebyli bród w ślad za konnymi. Dzicy wrzeszcząc pokazywali sobie wzajemnie głowę na włóczni Conana. Potem zawodząc z przerażenia, rozbiegli się we

Spraque de Camp Lyon - Conan Szermierz

wszystkie strony. Nie zwracali najmniejszej uwagi na krzyki swoich wodzów. Bitwa przekształciła się w pogrom. Wymalowani wojownicy, wyjąć przeraźliwie pomykali w smugach księżycowego światła między pniami drzew.

Żołnierze, nie łamiąc szyku, przebyli podmokłą łąkę i popędzili za uciekającymi Piktami. Aquilońscy pikinierzy i łucznicy gnali za końmi, dźgając i tnąc jak anioły zemsty. Piktyjska armia przemieniła się w ogarnięty paniką tłum. Tarcza księżycy, odbijająca się w powierzchni strumienia, była czerwona od krwi.

W końcu Conan wykrzyknął nowe rozkazy do trębacza. Na sygnał jeźdźcy zawrócili i pogalopowali w kierunku pola, z którego wyruszyli. Conan wiedział, że nocą, w gęstym lesie jeźdźcy byłiby beużyteczni.

— Dalej, Glyco! — zawołał. — Nie daj im okazji, by oprzytomnieli i zebrali siły!

Glyco skinął głową i wraz ze swoimi ludźmi rzucił się w pościg za uciekającymi Piktami. Conan spiął konia, by pogonić na czoło zawracającej jazdy, a wtedy świat zasnuła mu wirująca ciemność. Posunął się za daleko. Poza granicę ludzkiej wytrzymałości.

Glyco i Flavius siedzieli w pokoju Conana w koszarach w Velitrium. Oparty na poduszkach Cymmerianin z krzywym uśmiechem poddawał się zabiegom wojskowego cyrulika. Stary Sura robił wokół swego pacjenta wiele zamieszania. Teraz zmieniał mu opatrunek na lewej ręce, którą od nadgarstka po ramię znaczyły wszystkie barwy tęczy.

— To istny cud — mówił Glyco. — Jak taką ręką udało ci się trzymać włócznię z głową czarownika?

Conan splunął.

— Zrobiłem to, co było trzeba — odwrócił się do medyka i zapytał: — Jak długo będziesz mnie tu trzymał, pielęgnując niczym niemowlę, mój dobry Suro? Mam parę spraw do załatwienia.

— Kilka dni cię nie zbawi, generale — rzekł siwowłósy cyrulik. — Jeżeli jednak znów zaczniesz się wysilać, grozi ci nawrót słabości.

Conan wymamrotał barbarzyńskie przekleństwo.

— Jak wyglądała ostatnia część bitwy?

Glyco chrząknął.

— Po tym, jak spadłeś z konia — powiedział — nękaliśmy tych malowanych diabłów, póki ostatni nie zniknął jak dym w głębi lasu. Straciliśmy niewielu dobrych ludzi, a wycięliśmy wielekroć więcej Piktów.

— Chyba się starzeję, żeby zastąpić jak dziewczyna od zwyczajnego ukąszenia węża i odrobiny ruchu... Ale ktoś to nazwał mnie generałem?

— Podczas gdy ty leżałeś bez czucia — odezwał się Flavius — my wysłaliśmy umyślnego do króla z wieścią o tym, jak nam się powiodło, i z petycją, w której błagaliśmy, by zatwierdził cię jako naszego nowego dowódcę. Nasz wybór był jednogłówny, chociaż musieliśmy trochę przycisnąć Laodamasa, który z początku wzdrygał się przed złożeniem podpisu. Był wielce zły na ciebie za to, że go ośmieszyleś, i gadał coś o wyzwaniu cię na pojedynek.

Conan wybuchnął gromkim śmiechem, który zadudnił aż na korytarzu.

— Byłoby mi przykro zrobić krzywdę temu ciamajdzie. Ten chłopak ma dobre chęci, ale brakuje mu rozumu.

Rozległo się pukanie do drzwi i po chwili wszedł szczupły mężczyzna w obcisłym skórzanym ubraniu królewskiego posłańca.

— Generał Conan?

— Tak. O co chodzi?

— Mam zaszczyt wręczyć ci to pismo od jego wysokości — posłaniec podał zwój z pełnym szacunku ukłonem.

Conan złamał pieczęć, rozwinął pergamin i zerknął na treść.

— Daj bliżej świecę, Sura — powiedział.

Przyjaciele patrzyli z zainteresowaniem, jak czyta, bezgłośnie poruszając wargami.

— Tak — wycedził w końcu. — Król potwierdza moją nominację. Co więcej, wzywa mnie do Tarancji na oficjalną audiencję i królewską ucztę.

Cymmerianin wyszczerzył zęby i przeciągnął swe muskularne ciało.

— Po roku wymykania się Piktom i demaskowaniu zdradzieckich dowódców, karczmy Tarancji zdają się rajem. Numedides może ma wiele wad, ale mówi się, że ma też doskonałych kucharzy — Conan uśmiechnął się z rozmarzeniem. — Mógłbym zakosztować królewskiego wina zamiast tego obozowego cienkusa i poigrać z pannami ze szlachetnych rodów zamiast z nie domytlami markietankami.

— Panowie, teraz chory musi odpocząć — wtrącił Sura.

Glyco i Flavius podnieśli się, a stary wiarus powiedział:

— Zatem bywaj, Conanie. Ale uważaj na siebie. Mówią, że w pałacu pod każdą jedwabną poduszką kryje się skorpion.

— Będę uważał, nie ma obawy. Ale skoro ani Zogar Zag, ani Sagayetha nie dali mi rady, to myślę, że bohaterowi spod Velitrium nie zagrozi byle intrygant na dworze króla Aquilonii!

* Od rozdziału 6. opowiadanie dokończył Konrad T. Lewandowski.